LISTY Z TYCH CZASÓW...

Z pozwolenia cenzury wojennej 6 Marca 1915 roku.

JAN AUGUSTYNOWICZ

LISTY Z TYCH CZASÓW...

NAKŁADEM KSIĘGARNI LEONA IDZIKOWSKIEGO
KIJÓW — WARSZAWA
Kreszczatyk № 29. — 1915 — Marszałkowska 119.
KRAKÓW: S. A. KRZYŻANOWSKI.

DRUKARNIA POLSKA
w KIJOWIE

MOJEJ DROGIEJ MATCE

SZCZODRA RZEKA ŻYCIA, DĄŻĄC WCIĄŻ W DALE LOSÓW, WYRZUCA NA BRZEGI I ŹDŹBŁA, PRZEZ NURT UNOSZONE. PRZECHODZIEŃ, ZWANY PISARZEM, SCHYLA SIĘ CZASEM PO NIE W SWEJ WIECZNEJ WŚRÓD DUSZ, SERC I MÓZGÓW WĘDRÓWCE, BY JE ZBADAĆ I OKREŚLIĆ...

ZDAŁO MI SIĘ, ŻE DOBRZE BĘDZIE, JEŚLI CZĘŚĆ TYCH ZDZIEBEŁ W FORMIE LISTÓW UKAŻĘ CZYTELNIKOWI. STANĄ SIĘ ONE MIMOWOLI JAKBY JEDNYM Z DOKUMENTÓW DOBY OBECNEJ, A MOŻE ZDOŁAJĄ I KIEDYŚ COŚ INTERESUJĄCYM SIĘ NIĄ POWIEDZIEĆ.

J. A.

Weź moją szczerość, najwyższy skarb i największe dostojeństwo człowieka.

S. ŻEROMSKI. *„Dzieje grzechu“*

...Szara, powszednia codzienność, władczyni serc znękanych, domów nudy, wielka Ksieni nad tłumem byłych farysów...

ART. GÓRSKI. *„Monsalwat“.*

Toutes les fables se levaient, qui sont en nous comme des êtres et qui déforment chaque parcelle de la réalité.

J. H. ROSNY. *„La conquête du vieux“.*

Wszystko runie, spłynie i zgnije, ale nadejdzie dzień, kiedy na tych samych miejscach zboże będzie się kołysało. Nie nam to zresztą myśleć o złotych kłosach. Dzieci nasze będą je zbierały na kościach naszych zbielałych...

Z. KRASIŃSKI. *Z listu do Reevego.*

Jesteś (Polsko) córką Boga
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego...

J. SŁOWACKI. *„Beniowski“.*

Kijów.

Kochany przyjacielu!

Wojna, wojna! A więc stała się ciałem — tak niespodzianie. Zmora — i oto rzeczywistość zaśmiała się. Ten śmiech! Znamy go. Pamiętasz Mandżurję? Ale tyś ją znał tylko z czytania, a ja?..

Co się myśli? Huragan w duszy, piekło. Obłęd pocałował strasznemi ustami i czuje się je, czuje...

I zda się, jasno: światło gdzieś w otchłani, utajona dla ludów i dla nas — nadzieja. Okropne i prawdziwe.

Zaskoczyło mię to tak i osobiście. Właśnie skończyłem kłopoty z budowaniem domu i miałem pojechać do Winnicy dla zobaczenia się z Łażeńskim, który, jak ci mówiłem, obiecał mi dostarczyć kredytu. Inaczej — mogłem zginąć. A oto przyszedł krótki rozkaz mobilizacji i biorą mię. Nóż losu przecina troskę. Ja i moi najbliżsi zostać możemy w nędzy, bo wiesz, ile długów na tę budowę zaciągnąłem.

Wyekwipowałem się. Więc znowu na wojnę. A przecie ta wojna wojen, na którą wołają, od lat całych jęczała naprawdę swą wymową w myślach naszych...

Miasto zaczyna nabierać wyglądu obozu: pewnie i u was to samo i wszędzie teraz w połowie Europy. Patrzę i nie umiem zrozumieć, że ja jeden z tych i że, jak oni...

Pierwszy raz w swym mundurze chorążego pokazałem się matce dziś rano. Nie rzekła nic, tylko powieki zaczęły jej drgać, a później dwie łzy stoczyły się po biednej zwiędłej twarzy — mnie w serce.

Och, jakże mi żal matki. Dobra, święta, dobra. Moja matka, matka!

Żona, łkając, pocałowała mię w czoło na dzień dobry. Objąłem ją i Krzysztofka i spojrzałem im w oczy.

Marynia chodzi, jak błędna. Ona tak do mnie przywiązana. Miła, kochana siostra. Chwila zbliżyć tak umie ludzi, by rozłączyć. Na wieki?

Nie myślę o śmierci. To dziwne. Nie myślę. Może już stoi ona przy mnie, może już we mnie tkwi. Biedna matka! Zastałem ją później klęczącą przed «Częstochowską», co w naszej rodzinie już trzysta lat jest. Nieruchome oczy Madonny ożywiły się, a z ust matki wyszedł głuchy jęk.

Uciekłem. Wolę nie myśleć. Śmiałem się po obiedzie, gdy przyszedł Dołurecki. Opowiadał zabawne rzeczy. Jego też biorą, jak tylu. Chorąży artylerji. A później nagle zwaliła mię myśl: wzajemnie my, ludzie, będziemy się ubijali.

Jutro mam się meldować władzy. Pojutrze, albo za dwa dni — w pochód. A później...

Jeżeli zajrzysz tu, nie omiń matki, żony, sióstr. Z góry ci dziękuję. Ściskam cię serdecznie i mocno. Napiszę z obozu. Bądź zdrów!

PIOTR.

Berdyczów.

Kochany Sławku!

Właśnie przed chwilą wyczytałam: wojna między Niemcami i Rosją. Przetarłam oczy. Nie między Austrją i Rosją, lecz między Niemcami i Rosją. No, ale to pierwsze przyjdzie jutro.

Wiemy już, lecz jeszcze nie wierzymy. Może to niewczesny żart? Może w redakcji się kto upił i «wyrżnął» taki dowcip? Przecie już leje się krew w Serbji. Czy tego nie dość?

Mama odmawia litanję za konających. Chyba za wcześnie? Przed krucyfiksem, co wisi pod «Ostrobramską» w jej pokoju, postawiła płonącą gromnicę—i modli się.

Ale co martwe słowo, gdy działać potrzeba? Lecz gdzie?

Pomimo twych piętnastu lat, uważam cię za kawałek mężczyzny. Poradź mi więc, swej matce, co i jak?

Panika dziś, jutro się zacznie. Mobilizacja od paru dni. Oddziały wojska ściągają.

Nieswojo mi tak z matką. Cóż ona, ta nasza dobra, kochana «mateczka»? I ją jeszcze, jak dziecko, chronić będzie trzeba.

Mówią, że przyjdą tu austryjacy. Co chcesz, dalekoż od granicy? Wielu chce uciekać.

Sławku, dziecko: w tej chwili po odebraniu tego listu pakuj manatki i żegnaj się z wujem Pawłem. Ja nie chcę, byś ty w takich czasach był nie ze mną, tak daleko odemnie — i jeszcze bliżej granicy.

Sławku, dziecko. Twoja matka dzisiaj z dziwną, podwójną tkliwością myśli o tobie i, chociaż dumna z twej pół-męzkości, chce ci dać silniejszą jeszcze pieczę swej troski matczynej, matczynego ciepła i miłości.

Jakże drży mi serce na myśl, że tobie się co przytrafić może, że ty, sokole mój, bez winy ucierpieć jakkolwiek możesz.

Musisz spieszyć! Dosłownie! Wyjeżdżaj zaraz! Pojutrze, pozajutrze koleje staną, wezmą wszystko pod wojsko i jak ty się do mnie dostaniesz?

Właśnie podeszła mama. Pyta, a taka niespokojna: «Jak będzie z Sławkiem?» «Przyjedzie» — odrzekłam. «Czy aby zaraz? czy zdąży?» — patrzy na mnie z trwogą. «Naturalnie!» — mówię, ale w sercu mię tak zabolalo i jakiś strach nagle owionął mię.

Sławku! Jak to źle może, żem cię tak na tę kanikułę u wuja Pawła namawiała. Ale czy ja wiedzieć mogłam, przeczuć? Dziecko drogie moje, nie chcę być i nie będę «babą», twoja «ma» będzie człowiekiem i rozumną, ale i ty pomóż mi w tem nieco.

Wujowi się kłaniaj i ucałuj go. Wujenkę uściskaj. Podziękuj im odemnie serdecznie za do-

broć, jaką ci okazali. Halkę w oba ślepki, Mirę w same ustka całuję. Panu Telesforowi się pokłoń, a zacną starą Barbarę obejmij za kolana odemnie: nie zapominaj, że ona twoją «ma» wyniańczyła. Serce mi się ściska, co będzie z wujostwem? Może i oniby, nie czekając, opuścili lepiej tamte strony? Niech zrobią to koniecznie! Namów, mały!

Sławku, synku. Wezmę cię w objęcia i przytulę tak mocno do piersi. Przecie ty jeden mój na świecie i tak ciebie kocham. Ty, drogi synu mój, ty, synu...

Twoja «ma» będzie liczyła godziny i minuty i ty je licz także. Pokój twój ustroję w róże i heljantusy, jak dla dziewczyny, a gdy przyjedziesz, siądę u twych kolan i, położywszy na nich głowę, będę słuchała twoich słów, ty, synu, synu...

Tyle, tyle ucałowań !!!

Twoja

«MA«.

N.

(Po rosyjsku).

Kochana moja Dalo!

Widzisz, dziecko: ogłoszono mobilizację i, ani spodziawszy się, wyruszę z pułkiem za kilka dni w pochód. Dokąd? Sami jeszcze nie wiemy, o tem się nie mówi.

Więc — może nie zobaczymy się już więcej? Bo jeśli ty, droga, nie zdążysz? Z Sławuty tak daleko! I teraz nagle zamieszanie takie na kolejach! Jeden pocztowy pociąg tylko na dobę! Myślę o tem. Posłałem ci już depeszę. Ale — czy zdążysz? I posyłam ten list na wszelki wypadek, byś wiedziała i miała dowód mojej o tobie pamięci. I pisać będę często...

U nas wszędzie zdumienie. Na kogo spojrzę, do kogo przemówię: prawie osłupienie. «Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji». A jeszcze wczoraj, zdaje się... Jeszcze wczoraj jakże głupią wydałyby się myśl ta. I właśnie Niemcy. Skąd one?

Śnił mi się dzisiaj Sergjusz. Taki był blady i gorączką świeciły mu oczy. Droga... Czy jemu aby nic? A nad ranem przyśniła mi się Wiera — obejmowała mię i płakała cichutko. Co to znaczy? I powiedziała: «Ty nie zapomnij o mamie, tatku».

Dala... Czyż mógłbym cię zapomnieć? Ty, radości życia mego, boży promieniu, co w mękę moją spłynął, by ogrzać duszę? Ty, gołębico wia-

ry i spokoju, coś skrzydłem ukojenia zakryła ranę serca mego?

Dala! Jakże kocham ciebie! Jak kocham zrodzone przezemnie z ciebie dzieci, jak widzę w Sergjuszu i Wierze — ciebie! W głuchą noc dzisiejszą anioł żałoby omotał mi dłonie i próżno wyciągałem je ku tobie, żono jedyna i najdroższa, przyjaciółko!..

Idę wojować. Dziś Lezginin mówił do mnie: «Cóż, kapitanie, nową sławą okryje się pułk pański, a pańska rota szczególniej — pod dowództwem pana?» Nie odpowiedziałem nic. Nową sławą pułk... sławą moja rota pod mojem dowództwem... Myślałem w tej chwili o innej sławie: sławie wschodzących lepszych dni.

Może one przyjdą. Może przyjść muszą, powinny? Może Chrystus Pan niedarmo krew swą za nas, ludzi, przelał, może my bracia i siostry — naprawdę?

Ty, dumna polko, żono moja, Dalo! Ty, obca mi krwią i obyczajem, tradycją, bliska mi sercem i duszą, ukochana matko dzieci moich, małych rosjan!

Jakaś wielka, może cudowna, epoka nadeszła. Ja to zgaduję, odczuwam, — przeczuwam. Moje rosyjskie serce zapragnęło — tak nagle i gwałtownie — zabić jednem tętnem i zupełnie z twojem polskiem sercem!

Pójdę na tę wojnę z prusakiem, twoim wrogiem. Tak chciałbym nie być już i dla ciebie wro-

giem, bodaj w najmniejszej części, ty, najdroższa moja. Kocham w tobie twój smutek i twą rozpacz, głuchą, dławioną, i kocham twój męczeński uśmiech i tę ślinę, którą — szalona — chciałaś opluć nasz święty związek, i twoje bezsenne noce i krzyk matki przy wezgłowiu Sergjusza i Wiery. Kocham twoje biczujące łkanie, gdy Sergjusz...

Pod sercem mam ciebie i perłą mi życia jesteś, Dala.

Będę walczył i za twoją Polskę. Może za nią przedewszystkiem? Niechże krew moja, którą przelać pragnę, padnie do stóp twej ojczyzny i przyczyni się do jej nowego życia.

Jakgdyby mię błogosławią cienie mych rosyjskich przodków na ofiarę, którą z rozkoszą poniosę. Mój głos rosyjski krzyczy we mnie głębią pożądania — i ja to rozumiem. A jeśli sądzone mi tam zostać, gdzieś w zimnej obczyźnie, lec kośćmi na nieznanej ziemi, wiedz, Dala, że ostatnia ma myśl będzie o tobie, dzieciach — i tej chęci.

Żono ty droga, droga! Żono ty! Ja wierzę, że cię zobaczę, wierzę, że jeszcze tu zdążysz może, ale jeśli... Żono ty! Jakież słowa umiałyby oddać to, co dla ciebie zawsze — i teraz także — czuję?

Nogi twe obejmuję, całuję twoje dłonie najdroższe, całuję twoje oczy i twoje czoło przeczyste. Pobłogosław ty mnie, żono ukochana. i otrzyj się duszą swą o moją raz jeszcze.

Twój

BORYS.

Warszawa.

Kochana mamo!

Chciałam mamie donieść, że trza, by mama. przerwała kurację w Ciechocinku i zaraz, ale to zaraz, przyjeżdżała do Warszawy, bo tatę zabierają na wojnę i wuja Michała też, i stryja Joachima i stryja Karola. Słychane rzeczy, coś okropnego, przecie to już chyba naprawdę koniec świata, jak mówiła jeszcze dwa tygodnie temu panna Balbina (jaka ona mądra i wszystko odgadnie), a ja jeszcze taka młoda, piętnaście lat dopiero, i chciałabym jeszcze trochę pożyć, aby tyci. Moja złota mamo, u nas piekło i skaranie boskie. Tato lata, jak warjat, wuj Michał także, a stryj Joachim i stryj Karol to przycwałowywali bezustanku i prawie zębami zgrzytali, jęcząc, że co to będzie, jak stryjenki z głodu pozdychają (tak powiedział stryj Joachim) i ich dzieci? Stryj Karol to mniej, bo jeszcze młody, więc z trochą fantazji, pożartował nawet, że stryjenkę zdradzi (jak on to zdradzi, mamo?) i w Wiedniu, albo Berlinie, jak tam powędruje z wojskiem, w nową, i niemkę, ma się rozumieć, się «zaopatrzy». Zaopatrzy! Mnie się zdaje, że swoją drogą stryj Karol, choć bardzo przyjemny i taki różowy (mamo, on ma dopiero dwadzieścia osiem lat, a nie dwadzieścia osiem i

pół, jak sam skłamał przed miesiącem!), jest trochę nieprzyzwoity i bezczelny, bo jak można «zaopatrywać się» w kobietę, szczególniej na miejsce własnej żony? Tato skrzyczał go i powiedział, że jest głupi kanarek (?), a on poklepał tatę po ramieniu i wyszczerzył zęby: «Cóż, boiwa się trochę, panie *fieldfiebiel*, panie *untier*, a, e, ę, hm?» Tato omało go w kark nie wyciął, ale przyszła pani Magdalińska i powiedziała, że jak tato komornego nie zapłaci, to tatę na bruk razem z nami wyrzuci. Więc tato podniósł alarm i zwymyślał panią Magdalińską, na czem świat stoi, a sama słyszałam, jak dosyć głośno powiedział, niby do ściany: «Świnia». Tato krzyczał na cały głos, że on idzie Rosję i Polskę zbawiać, że z całym wykształconym światem, bo i Anglją, i Ameryką, i Kamerunem i Francją, będzie z pludrem na śmierć i zwycięstwo wojował, a tu taka pani Magdalińska, tfu... Tato zapowiedział jej, że ją na Pawiak wsadzi, albo do Cytadeli, albo zeszle, gdzie pieprz rośnie, a stryj Karol za boki się brał i pękał ze śmiechu i pytał tatę (kiedy już pani Magdalińska uciekła): «A co, *sałdat, fieldfiebiel, untier,* — a, e, ę, hm? Wy—borrrrrr—nie!» Jak mamę kocham, z tysiąc tych «r» wydławił, nim do swojego «nie» dojechał.

Mamo kochana, niech mama zaraz się pakuje i nie zapomni też coś przywieść mi z tego Ciechocinka na pamiątkę, bo strasznie jestem ciekawa maminego dobrego serca. Tato mówił, że

mama siedzi, jak św..., od rana do nocy w błocie, a polewa się słoną wodzianką,—czy to może być prawda? I że mamy zdrowie taty chorobę już kosztuje.

Michalina zwiała dwa dni temu z jakimś kominiarzem, więc jesteśmy bez sługi i ja sama chodzę do miasta i gotuję. Tato wymyśla, że paskudnie, ale co robić. Już i tak niedługo tego wydziwiania, a później barszczyk z kotła i czerstwy razowiec, albo suchar, to będzie lepsze.

Mamo kochana, czekam z niecierpliwością, bo tato nam tu wszystkim głowy pourywa. Józio miał rozwolnienie, ale już przeszło, Maniusia wczoraj wymioty.

Całuję mamę i ściskam.

Mamy

WANDA.

Lwów.

Wielmożny Panie!

Oto, jak grom, spadła na nas wiadomość: wojna między Rosją a Niemcami. A więc pójdziemy i my, t. j. Austrja, i wszystko to już jest kwestją dni.

Gorączka, jak i w Krakowie pewnie i jak wszędzie. Cóż za biedy narobili ten cały obłąkany Princip i ten Cabrynowicz i wszyscy ich sojusznicy, serbowie, i Białogród... Już się tam leje krew, a i polska także, a wnet poleje się strumieniami — i bliżej.

Nic nie wiemy, to jedno wiemy tylko: idziemy z austryjakiem. Mamy walczyć o ziemię swoją i los, o życie. I że z prusakiem razem, przy pruskiej piersi — to mi się w głowie nie mieści.

Jakie czasy, Boże. Ale przecie to przewidzieć można było, to wiedzieć. Cały świat wszak rozumiał i my, kto jest w trójprzymierzu.

Francja idzie na nas, a mówią, że pójdzie i Anglja. To nie może być! Taki kraj! Lecz, Boże, Francja! A przecie i to jasne i było też do zupełnego rozumienia.

Jaką jednak potęgą zabłyśnie Austrja wraz z Niemcami i Włochami! A ileż jeszcze państw zapragnie się z niemi połączyć? Szwecja, Norwegja,

Holandja, Belgja, Rumunja, Turcja, może Szwajcarja...

Ale, gdy pomyślę, że pruskie orkiestry wojskowe grać będą, jak w 1870-ym, «Jeszcze nie zginęła»?.. One! Hańba i ironja?

Niech mi pan wybaczy, że, zamiast o interesie, o tem się rozpisałem. Jakież teraz interesy i jakaż do nich głowa? A jednak... A więc: termin w tutejszym sądzie krajowym w sprawie pańskiej z Liwszycem odroczono z powodu niezałatwienia pewnych formalności przez Liwszyca. Kiedy nowy termin — powiadomię specjalnie. A może tymczasem i sąd działalność zawiesi, gdy sędziów zabiorą na wojnę?

Żart? Nie wiem. Może żart. Z strachem myślę o przyszłości. Co z nami? Jak długo trwać będzie walka? Ile pochłonie ofiar? Co przyniesie?

A nasi w Królestwie? Co myślą oni? Jak tę straszną chwilę rozumieją? I dokąd prowadzi nas nasz los?

Będziemy się mordowali. Jakie okropne, haniebne. «Brat zabił brata, mnóstwo Kainów jest pośród nas».

Będzie... Będzie...

Ja w dodatku mam rodzinę w Królestwie. Stryjeczny mój jest chorążym zapasu wojsk rosyjskich, a siostrzeniec służy teraz wojskowo tam, jako jednoroczniak. Dziś, jutro idę w roli «K. K. Reserveleutnanta» bić się i może umrzeć «für Kaiser und Vaterland».

Spotkamy się oko w oko z stryjecznym i siostrzeńcem. Może od ich kuli polegnę, a oni od mojej. Mnóstwo Kainów będzie pośród nas.

Niech mi pan wybaczy. W głowie się mąci. Łzy podchodzą do oczu, łzy niemęskie, ja wiem, ludzkie tylko.

Czy wolno tak pisać list adwokacki do klijenta? Boże, czy wolno?

Niech pan się nie gniewa. Ja pana zawsze ceniłem i miałem dla niego tyle sympatji, nietylko adwokackiej.

Sprawę pana, jeśli sąd się odbędzie, poprowadzi już kolega Wyżychnowski, którego o to dziś prosiłem i który się zgodził, o ile pan z usług jego korzystać zechce.

Proszę o łaskawe zawiadomienie jaknajprędzej. Słowa prawdziwego poważania i ukłony łączę. Dałby Bóg — do widzenia!

ZYGMUNT SIELICKI.

Warszawa.

Kochana Felu!

Ani się spodziejesz, ma się wiedzieć, że to odemnie list, bo prosiłam, żeby zaadresowała Staśka. Nie chcę, rozumiesz, ciekawości twojej starej, która niech sobie myśli, że my się jeszcze prztykamy, o wa, tak będzie lepiej.

Słuchaj, przebaczam ci z całego serca i ty mi przebacz, Różka. W tych czasach grzech i wstyd się kłócić i jeszcze takie koleżanki, przyjaciółki, bez mała od wspólnego smoczka, abo nie? A przyszły, przecie wiesz, czasy, że niech je! Dziś, kiedy byłam w kościele, modliłam się do Najświętszego Serca Jezusa, żeby nastąpiła odmiana, bo inaczej zwarjuję chyba, abo co.

Nie myśl, że żartuję. E, czy to w głowie teraz jakie żartowanie! W lombardzie mam wszystko pozastawiane, u krawcowej długi, a przecie też potrzebuję kiecki nowej na jesień i okrycia, żem to na dziadówkę jeszcze nie zeszła. I kapelusza nowego (do dwu już nie wzdycham), i kilku par rękawiczek, i bucików i pończoch (noszą jeszcze cieńsze, niż dawniej; ta francuzica, coś ją widziała w przeszłym roku u mnie, mówiła mi o tem). No, i trochy bielizny, bom się odrapała do ostatniej koszuli, a do gorsetu to się lepiej nie przyznawać: trzy kwartały go już noszę.

Żeby wszyscy djabli tę całą wojnę, człowiek sobie żył, jak u Pana Boga za piecem, i właśnie mieliśmy z Bronkiem do Ostendy jechać, aż tu nagle! Zwarjowanie! Powiadam ci, zgłupieli do reszty na świecie, a najwięcej to ten Wiluś, żeby go żywcem pochowano,—mówią, że to wszystko przez niego. I czego się zachciało staremu durniowi na resztę życia? A mnie przez to zmartwienie i choroba, bo nietylko że nie będę miała kapelusza i bucików, i pończoch, i bielizny i Ostendy, ale jeszcze Bronka zabierają w sołdaty, że to niby należy do tego. Te sołdaty to takie oficerskie, ale sołdaty, pożal się Boże, co za oficerowie: chorążowie zapasu. Już nadział na siebie swój uniform i każe mi przed sobą salutować, że to chce mię pocieszyć, i musztruje. A mię łzy w gardle cisną i jego dziś w gabinecie na płaczu złapałam, bo czy my to wiemy, czy się jeszcze żywi zobaczymy? On pojutrze na tę wojnę okropną, mnie zaś coś w żyłach aż stygnie. Żebym mogła, zniosłabym te wszystkie wojny, by się nie mordowali i bym ja jeszcze choć trochę bodaj z Bronkiem pożyła.

Widzisz, mówią ciągle (ilu!), że ja—dziewka (ty nie wiesz, jak to ciężko; tyś, ot, »przyzwoita« jeszcze facetka, niedarmo twoja stara, jak buldog, przy tobie), że ja—kokotka i tylko kokotka, metresa, utrzymanka i jak oni to jeszcze wydziwiają, że Bronka ssę i że go na boku w dodatku z ga-

chami zdradzam, żem pusta i głupia, jak pęcherz, albo amerykański balon (to ten idjota Roliński tak powiedział), że mnie nic, prócz żarcia, kiecek i wytumaniania pieniędzy nie obchodzi. A, widzisz, klnę ci się Sercem Jezusowem, jak Bozię najświęciej kocham, przecie przed tobą nie potrzebowałabym udawać, że, jak mię słyszysz (choć z daleka), Różka, ryczałam dziś w poduszkę znowu całą bez mała noc. I chodziłam, jak stumaniona, tak że nawet z bólu musiałam po aspirynę do apteki posyłać i plasterki cytryny do skroni przykładać i nacierać migrensztyftem nawet. O, moja Różko kochana, może przyszedł już koniec mojego spokoju. Napewno. Już wiem, co się zacznie: czekanie dniami i tygodniami, czy niema listu, a później może przywiozą Bronka z przestrzeloną ręką czy nogą, czy gorzej jeszcze, lecz, Jezus Marja, aby żywego, bo...

A jeśli go wezmą do niewoli, tam gdzieś te szwaby? Ach, podłe, podłe szwabce! Za włosy ciągałabym od rana do nocy, a gdyby który ośmielił się w koperczaki — w gębę lu! odrazu, ażby się rozpłaszczył. Ale czy mi to wszystko wróci, już nie mówię ubrania i kapelusza i Ostendy, ale choćby mojego Bronka? Módl się, Rózia, za mnie, żebym nie zwarjowała, i za Bronka, a ja się będę modliła, żebyś wyszła zamąż jaknajprędzej, nawet w te czasy, bo wiem, jak bardzo na to jesteś łasa.

Bronek przysięga się na wszystkie świętości, że mi wierności dochowa, choćby nie wiem jakie były szwabki, i że mię będzie kochał jeszcze więcej. No, niech pamięta! Bo ja żartów nie znam!

Setki ucałowań.

STEFA.

Chełm.

Kochana cioteczko!

Przestraszyłyśmy się tak okropnie: wojna! Ktoby się był spodziewał? Już tam z pewnością cioteczka wie o niej, jak i wszyscy, ale wy tam przynajmniej spokojni w swoich stronach, ale my tu, w Chełmie? Ja nie wiem, może i ma rację pan Kiernozik, mówiąc, że tu «wwalić się mogą austryjacy», a wtedy co? Nie powiem, żeby tu nie było znać strachu, a najwięcej to łydki drżą nam, panienkom, szczególniej przyzwoitym, bo tu głośno o tem, że takie czasy, to najniebezpieczniejsze dla płci żeńskiej. A, moja cioteczko, gdy się jest fertyczną i przystojną w dodatku, to co? Chybabym sobie życie odebrała, gdyby się mię taki świntuch austryjak dotknął, albobym do klasztoru już na całe życie poszła. A przysięgam cioteczce, że mi się znowu klasztor tak nigdy nie uśmiechał i myślę, że każda prawdziwie szczera panna to też z serca potwierdzi. Do klasztoru idą tylko stare, albo z nieszczęścia.

Ojciec gwałtuje o tę wojnę, bo jest, cioteczko, przecie «ratnik apałczenja», i, choć pan Dusiakiewicz mu tłomaczy, że się jeszcze nie rozratniczyło i że dopiero biorą zapas,—lamentuje. E, z ojcem to zawsze jakieś kabały, jak nie taka, to inna, ale teraz, doprawdy, trochę strachu mamy, bo

nuż? A kto wtedy piekarnię poprowadzi? Mama? Kiedy mama i teraz wtrącać się nie chciała i ciągle mówiła, że dla «pieczenia buks» nie szła ani trochę za ojca. No, buksy buksami, ale może się tak stać, że zabraknie ich i dla nas, to wtedy już chyba machniemy do kochanej cioteczki i cioteczka przytuli nas z przyległościami, bo i z naszym Burkiem i z tym kochanym kociusiem, Bobem.

Tak sobie myślę: jeszcze uwierzyć trudno w tę wojnę, a tam podobno się już tłuką gdzieś koło Mławy, czytała cioteczka? — i kozacy rozbili jakichś szwabów. No, a ta Austrja przeklęta to tylko czeka i wszyscy gadają, że ruszy zaraz, jak od papieża pozwolenie dostanie. Czy to może być prawda, cioteczko, żeby oni byli tak pobożni i zarazem o krzywdzeniu panien myśleli?

Aż mię ręka świerzbi. Żebym miała jakiego szwaba pod ręką, tobym mu szpilkę w sam krzyż wpakowała—po główkę. Bo po co zaczynają, kiedy ich nikt nie ruszał, i całe wakacje mi psują, szelmy?

Ma się rozumieć, com miała pojechać na pensję do Warszawy, to teraz figa z pasternakiem. Wściekła jestem, to się wie, bo się tak już cieszyłam na tę Warszawę i już sobie świeże koszule i majtki szyłam i miałam sobie mundurek sprawiać, a mama, po okropnych prośbach, obiecała mi pierwszy w życiu prawdziwy gorset, nie żadne tam leniuszki.

Ja myślę, że cała ta wojna to niebłogosławieństwo boskie na mnie za to, że—tylko niech cioteczka to, proszę na wszystko, przy sobie zachowa i nikomu czasem tego listu nie pokaże,—chociaż mama bardzo mi i babcia zakazywały, chodziłam na spotkania z Józiem Blascugiem, cioteczka wie, tym brunecikiem-uczniem, synem tego bogatego kupca tutaj, Blascuga,—i kilka razy pocałowałam się z nim. No, a Józio przecie nietylko mężczyzna, ale i żyd, a jak mówi mama—parszywiec. A teraz mam za swoje: wojna i moja Warszawa się wściekła.

Niech cioteczka w te pędy odpowie, to będę bardzo wdzięczna, bo mi się nudzi, i zresztą boimy się. Całuję cioteczkę tysiąc i jeden razy i jeszcze jeden.

FRANIA.

Radom.

Drogi mój!

Wieki, zdaje się, upłynęły od naszego ostatniego widzenia się. Dławiłam, jak mogłam, tęsknotę i myślą szukałam twej duszy, łudząc się, że cię mam znów przy sobie i że znów jesteś— moim.

Jakiem szyderstwem tchną te słowa: moim! Dziś lepiej, niż może kiedykolwiek, czuję i widzę i rozumiem, że ty nigdy moim nie byłeś, nie jesteś—i nie będziesz.

Ty wiesz, w jakiem znaczeniu: moim. Przecie myśl posiadania cię i stopienia się z tobą w jedno, pieszczona cudowna myśl samotnych cichych godzin i płakanych nocy, myśl dnia i nocy,— tylko na krótko, jak błyskawica, rozdarła ciemność mej duszy, by zgasnąć—na zawsze. Ja rozumiem to już tak dobrze: ty mnie nie kochasz. Bo czy miłość mego męża dla mnie, wstyd, hańba, poświęcenie, cokolwiek, mogłyby być dla mnie hamulcem?

Szaleję tak na myśl: ciebie wezmą teraz, o ty, ukochany, i pójdziesz dokądś daleko,—dokąd? Wezmą cię na to wzajemne zabijanie się i — o, zgrozo — może już nie wrócisz? Widzisz, znajduję dość siły w sobie, by odepchnąć takie przypu-

szczenie, ale kto na ziemi całej da mi *pewność*, że tak się nie stanie? Kto da mi tę pewność, bym nie konała z przestrachu i nie opływała krwią bólu swego codziennie, może gorszą jeszcze, niż dotychczas?

Był tu kilka dni temu Rojeński. Z chciwością słuchałam wzystkiego najbłahszego nawet o tobie. Chciałam krzyczeć: «Mów, mów choćby noc całą i dzień cały, — przecie ja tego człowieka»...

Mąż patrzał na mnie. W pewnej chwili rzekł mi: «Masz dziwne wypieki, Elo!» Spojrzałam i zrobiło mi się go tak nieskończenie żal. Przecie to dobry człowiek i co on winien ostatecznie, że...

Julu ukochany! Ja wiem, żem głupia i szalona, narzucając ci się. W twoich mądrych oczach wyczytałam wieczność i, jeśli przeznaczone mi wieczne potępienie, niech się spełni.

Julu, Julu! Znowuś w objęciu jakiejś dziewki, ladacznicy, ja to czuję. A czy ty czujesz wzajem, nawet w takiej chwili, jak dusza moja szuka twojej i jednoczy się z nią spazmatycznie? Czy słyszysz szept mej myśli o tobie i czy odrzekasz mi coś choć czasem?

Płaszczem włosów swoich okryć twoje nogi, głowę złożyć na kolanach twych. Nie duch nawet wiecznej niewolnicy przemawia przezemnie, lecz tylko duch wiecznej kobiety.

Wzgarda, którąbym mogła dać sobie, niczem jest w porównaniu z tym bezmiarem mi-

łości, co go chronię dla ciebie w najświętszem utajeniu swego serca. Gdy umrę kiedyś, powinni to tylko rzec o mnie: kochała.

Ciało oddaję wciąż mężowi, ja, podła. Ciebie nad wszystko i wszystkich ukochawszy, oddaję się *jemu*. I on to bierze. Ten dobry, porządny człowiek. Ja go rozumiem. Nienawiści, którą ma w ukryciu w swej miłości dla mnie, nie zwróci ku sobie.

Ale, Julu, choć shańbiona i hańbiona, wyciągam *czyste, święte,* świętością mego dla ciebie uczucia, ręce ku tobie i wołam, krzyczę: «Twoja, tylko twoja jestem!»

Nie chciałeś i nie chcesz mego ciała,—tamten mi je bierze przemocą, a jam nie pokąsała go. I nawet nie mam na swe usprawiedliwienie, by ciało me choć zwierzęco czegoś od niego wyglądało... pragnęło...

W tej okropnej godzinie, kiedy ty masz odejść w niewiadome, przypadam raz jeszcze do ciebie i, łkając, składam na twem czole pocałunek. Siostry? Kochanki? Przyjaciółki? Matki? Córki?

Gdybym wierzyła, powiedziałabym ci: «Niech cię Bóg prowadzi i niech z powrotem przywiedzie». Może wyżebrzę u ślepego przypadku, by nie dał ci zczeznąć tam gdzieś, byś powrócił. O, jak strasznie doświadczają ludzie ludzi: dlaczego oni to postanowili? Myśl ma, nigdy niezmęczona, ciągle cię będzie ochraniała, a gdyby...

Nie, nie trzeba nawet najlżejszem wspomnieniem budzić tego! To jedno wiedz: nie zgodziłabym się zostać na tej ziemi ni godziny.

Julu ukochany! Nie śmiem prosić, łudzić się: zajrzyj do Radomia choć na chwilę. Koniecznie! Czy słyszysz mię: ty musisz?!

Jeśli nie przyjedziesz, nie będziesz mógł, ja przybędę do ciebie, bodaj na godzinę, — i ty mi to przebaczysz.

Drogi, drogi...

ELŻBIETA.

Płock.

Kochany, ale jak? Szczerze?

Słuchaj no, ty, bucyfale, dlaczego to nie odpisałeś mi na moje skrobanie ostatnie? Czy znowu miałeś randkę z Mańką, czy też może Esterka pysków ci nabiła i chodzisz teraz, licząc świeczki w oczach, i nie masz, ma się rozumieć, czasu na bzdrulenie? Ale niech cię, mogę się tym razem nie liczyć, że to taki *ewenement*, wojna.

Ano, wojna! Już tam pewnie wszystkie szczygły u was o niej piszczą, to i nic nowego dla was, bo nawet w naszej śmierdzącej *prowiencyji* każdy pies o niej szczeka i każdy kot miauczy. Ale, brachu, to bądź co bądź niezwyczajna rzecz, choć się taka zwyczajna robi, i jestem pewien, że Opatrzność zesłała mi ją, bym wiedział, co mam robić: wstępuję na ochotnika.

Ano, jak mię czytasz: wstępuję na ochotnika. Mój kochany, czy jabym mógł coś lepszego wymyśleć, choćbym kulał swą makówą jedną noc i dzień jeden? Przecie to jakbym w czepku się rodził z tą bijaczką. Nie będę potrzebował już nosić gnatów codzień do budy i z powrotem i wyślepiać spojrzadeł, ocienionych wstydającą sie rzęsą, nad różnemi łacinami, gieometrjami, algiebrami i innemi szubrawstwami. Jestem fest przeko-

nany, że mądrość z pięciu klas aż nadto mi wystarczy, bo i tak frycem być nie myślę i wszystko, co w życiu chwycić można, klawo ku sobie zgarnę. A na początek tę wyśmienitą okazję sprawienia sobie ulgi i rozmaitości, aż ojoj, a staremu swojemu trochy niespodzianki. Niech się pociesza po tym smutku z moją macochą.

Stary da mi pozwolenie, ja w tem. A gdyby jaki fijoł zakwitł mu niespodzianie w rozsądku, to machnę i kwita, bez żadnych pozwoleń — i piszcie do mnie na Tworki, ale nie dla mnie Tworki, ma się rozumieć, tylko dla was najzupełniej. Już tam, gdzie pozycje, aby się dostać tylko, wyskamlam, u kogo trzeba, i przyjmą. A jeśli nie, to i tak do budy nie wrócę, bo, jak szanuję świat, wyparłem się jej w duszy najszczerzej i niech ją szlag... Zostanę choćby kominiarzem, czy psów czyścicielem, czy kataryniarzem, ale z tem skończone.

No, a tymczasem winszuję sobie pomysłu i szykuję sobie dokumenty, by pójść do wojskowego naczelnika. Co chcesz. Będę miał, choć w wojsku ostro, nowych kamratów, a to rozmaitość, nowe wrażenia, nowe przygody. I może prędko podofika się dosłużę, a, gdy chapnę, jak myślę, parę krzyżów, to i sławnym się stanę?

Co mi tam? Albo zaznam czego, albo mię jaka kulunia przygwoździ. No, to chryja! Będzie o jednego mniej na świecie. Przecie wiem, że na

moje na nim miejsce tysiąc nowych ananasów się znajdzie. Jak się grzmotnę nogami w niebo, to napewno się od tego dziura w niem nie zrobi. A ty, buncwocie, zaśpiewasz mi «Miserere», aż się bebechy wszystkim ciotkom i macochom w brzuszyskach przewrócą.

No, do twego nabazgrolenia, fajtłapo! A trzymaj się z Esterką! Pamiętaj, że palestynka i że w niej krewunia aż kwiczy... do ideałów.

Twój nie twój, ale ten sam
zawsze ADAM, ma się rozumieć.

Nie wałkoń się i odpisuj.

Kraków.

Mój ty...

Wydaje mi się to tak niesłychane... I nie wiem, czy śnię, czy kłamie mi ktoś, czy może poprzez dziesięciolecia sięgnąłem do dalekiej przyszłości, by wyczytać w ustach życia to jedno słowo: wojna?

Wojna! Z Rosją! Ma się rozumieć, jeszcze «nieoficjalna». Co za ironja... I z tej i z tamtej strony kordonu bagnety najeżone i zatoczone armaty i jeszcze — pokój.

A pod Mławą już się zczepili: Rosja z naszym sojusznikiem, prusakiem, i już polała się pięknie krew...

Farsy... Dzisiaj jeszcze przyjechał tu z Warszawy Staszek Niezgocki, a jutro ma przybyć Tytus Falski. Jeszcze, tak czy inaczej, możemy my, z obu zaborów, oficjalnie stosunki z sobą podtrzymywać, a później...

Gdyby nie bolała tak dusza, rzekłbym, że boli—głowa. Och, i jak. Pęka, jak to mówią, od «wesołych» i «radosnych» myśli. Chodzę, jak oczadziały.

A przecie,—cóż... Ma stać się to tylko, co było tak «zrozumiałe», «jasne». Od iluż to lat już Austrja na Rosję się szykuje? Od ilu lat mówią

nam tu, że Rosja o nas «myśli»? Od ilu—my, t. j. «austryjacy», w ciągłem pogotowiu?

Co powie Polska sobie? Myślałeś o tem tak aż do trzew? Czy myślę ja? Staram się! Czy myślą inni?

Na Rynku i na Plantach i na Kazimierzu szumno. Okrzyki... Cieszą się, czy — złorzeczą? I komu? Sobie może?

W tym Krakowie, w tym Krakowie... Przysiągłbym: wstaje proch Stańczyka i patrzy w naszą twarz.

My, cośmy sobie specjalność z obchodów uczynili, co tak na każdym kroku i o każdej dobie najświętszych imion i haseł tu nadużywaliśmy, my, tak często, zbyt boleśnie często, panowie od orzełków, kokardek kolorowych i polskiej nieszczęsnej gęby, polskiego pyska, od sokolich mundurków, butów z cholewami i czapek z czaplemi, nietylko prawdziwie po krakowsku pawiemi, piórami — czy pamiętamy aby dobrze weselne «Gospodarza»: «W pysk wam pluję litość moją»?

Nie przypominam sobie dobrze: «mówię», czy «pluję», ale jeśli nawet «pluję», to cóż? A jeśli «mówię», to czyż to «mówię» nie będzie długo jeszcze: «pluję»?

Kto my jesteśmy? Pajace? Manekiny? Pozytywki? Ludzie? Czy może pełni trafnego «miąższu», wyszkoleni w narodowej świątnicy mózgu i ducha,—zuchy?

Któż my?

Ty wiesz? Możebyś mi powiedział! Ciemny jestem, a raczej tam, gdzie ja widzę, dla innych jakgdyby, albo napewno, ciemność.

Coś krzyczy we mnie, byśmy naprężyli wszelki swój wysiłek duchowy, wszelką siłę mózgu i zapalili ognie uświadomienia na wszystkich drogach, któremi myśl polska zdąża, zdążać pragnie do jednego dla wszystkich zaborów — celu.

Ja wiem: przecie oni myślą, mówią, piszą, działają, oni, t. j. cały odłam tych naszych — tutejszych ziomków.

My i tak, polacy z trzech zaborów, mamy się mordować. Któż zmieni ten los? Kto sprawi cud? Ale pod jakimkolwiek mundurem, jedno tylko może bić serce polskie i nie wolno nam, prawda, odmiennie wspólnego celu pojmować?

Piszę ten list, korzystając z wyjazdu do ciebie na pół dnia Staszka. Mówi, że zdąży jeszcze wrocić do Królestwa, a bardzoby chciał ciebie, starego kamrata, ucałować.

Słuchaj, wciąż mi się majaczy ten proch Stańczyka. Ty rzekłbyś może: Skargi. Nie! Co Skarga? Jadem trupim trąci proch, ale jakim jadem trąci myśl żywa, co może zatonęła w chaosie, albo poszła na manowce?

Śmieje się Stańczyk...

Do widzenia. Radbym cię zobaczyć!

Twój

MACIEJ.

Piotrków.

Moja kochana pani!

Muszę się pani przyznać, że się bardzo przestraszyłam tego, co się stało. O, Chryste Panie, to się zacznie dopiero. A pewnie skończy się na awanturze w całej Europie, prawda, pani, bo tak nawet pisała nasza miejscowa gazeta, no, i tak myśli nawet nasz pan rejent. Jakto widać, że ludzie już nie mają niczego lepszego do roboty, tylko brać się teraz do takich awantur. A przecie niby wszystko wierzący, nawet ci niemcy. Ale w kogo? W szatana?

Mąż mój jeszcze nie wrócił z Buska. Piękna chryja, jeśli się stamtąd nie wygrzebie, bo koleje zamknięte już prawie dla cywilnych. Szczęście jeszcze, że stary i że go do wojska nie zabiorą. Zostałabym bez karmiciela. Ale jeśli w handlu się urwie i w sklepie będzie, jak nożem uciął, to na co mi się ten karmiciel zda? No, lecz mąż, więc spokój przynajmniej i pocieszenie, że cały będzie i że choć w przyszłości może się do czegoś przygodzi.

Taka wściekła, moja pani, jestem, że, jak nam pięć tygodni temu Kociakowscy kupno naszego interesu proponowali, ja męża odmówiłam! Mój Boże! Ja, głupia! I przecie grosz spory da-

wali i bylibyśmy się do Warszawy przenieśli, a, w razie czego, to przecie dalej od granicy i przyjemniej, i ot! Skusiłam się na czekanie! Przetrzymać ich chciałam, myślałam, że postąpią ten tysiąc rubli, bo o tysiąc się rozeszło. Mieliby teraz oni, nie my, kłopot i zmartwienie, a my z gotówką w kieszeni w Warszawie czekalibyśmy sobie, jak u Pana Boga za piecem, na lepsze czasy.

Mnie się zdaje, że to mię ukarał święty Antoni, któremu mszę na intencję kuracji męża uroczystą ze śpiewami za trzy ruble obiecałam, a dałam tylko na cichą rublową, bo pomyślałam, że świętemu to wszystko ostatecznie jedno, a dwa ruble w mojej, nie księdza, kieszeni zostaną. Żeby to można odrobić, nie pożałowałabym, jak Bozię najszczerzej kocham, na trzy śpiewane i grane, i bo ja wiem jakie, ale to zapóźno już, niech to wszyscy święci, o, Jezu.

Pyzia Czasiuka biorą i Funia Porkowskiego i Muzia Narostkę. Cała kawalerja z naszego sąsiedztwa! A mój siostrzeniec, Bogdzio Myrski, pójdzie jako chorąży zapasu, jak to mówią, pewnie dlatego, że będzie nosił w pułku chorągiewkę? Walercia Rzempkowska w siódmym smutku, że to przecie jej już prawie narzeczony. A nie dziwię się pannicy, bo nieładna i goła, jak święty turecki, a on piękny i ojciec jego ma tu wcale tęgi szlachtuz, aż miło. No, i sam Bogdzio młody człowiek z edukacją, sześć klas skończył, i aż

pożal się, Boże, że na taką patrzy. Jeśli go nie ubiją, zmieni sobie może gust podczas wojny, a może co mu się i po drodze trafi? To byłaby wściekła, co?

O, jej, o, jej, co to będzie? Trochę nam się na gęsią skórkę zbiera, ale to pewnie wszystkim teraz? A jak u państwa? Co pani będzie robiła? Będzie pani siedziała u siebie, czy pojedzie do Warszawy? Ja nie wiem, ale mi się zdaje, że mnie już święty Antoni nigdy od niczego nie obroni i w niczem mi nie pomoże, grzesznej. Żebym to wiedziała, jaki jest jaki dobry i pewny inny święty? Moja złociusieńka, może mi pani, pisząc do mnie, doniesie?

Całuję kochana panią, mężowi ukłony.

LEONTYNA ZAŁMADZKA.

Warszawa.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kochana mamo, kochany ojcze i wy, siostry i bracia! Donoszę wam, że jestem z łaski boskiej zdrów, czego i wam życzę, i że już skończyła się moja praca we fabryce. Obrachowali me i podziękowałem — nie z własnej woli. Pewnie już wiecie, że tera wojna i że ludzi na nią biorą, niby tych z zapasu, do których i ja jestem należący. Więc me też biorą i, choćbym nie chciał, iść muszę. Na zbornym punkcie już się tam mną zaopiekują, a później — jazda na wojnę. Matusiu droga i wy, ojcze drogi, nie turbujcie się o mnie. Jak Pan Jezus nie zechce, to me nie tknie żaden niemiec, ani austryjak, bo to z pludrakami mamy wojować, ani żadna ich kula, ni bagnet. Tego byczka, co po graniastej, sprzedać, jeśli można, ale nie za tanio, najlepiej w Ważkowie, i Magdzie coś dać, bo ona, chudziuchna, zległa przecie niedawno i bieda u niej taka, a mąż, jak zawsze, nicpota. Moja strasznie rozpacza, ale co robić. Mówi: «Dzieciaków zostawisz i mnie, a z czego wyżyjemy i ciebie, nie daj Boże, zabiją, a ja cię przecie kocham i tyś jeden mój na świecie».

Żal mi podchodzi do gardła, co poradzę jednak? Tera takich nie zliczyć, a wszystko przecie ludzie, jak my, i czują też do ostatniego ży-

wego. Przyszły jakieś straszne czasy, rodzice kochane. Szczęśliwe wy, że przynajmniej dach nad głową pewny macie i strawę i wy, bracia moje i siostry. Bracia miłe i siostry, pomagajcie starym rodzicom i bądźcie dla nich z kochaniem, a, gdybym nawet nie wrócił, nie smućcie się, — taki los. Gdyby, broń Boże, trza było, pomyślcie o mojej i dzieciach. Może jako w tej Warszawie przebieduje, że to mają też pomagać żonom tych, co pójdą wojować. A możeby do was na ten czas? Tam spokojniej i pewność, że mi z głodu nie pomrą, niebożątka. Do nóg wam upadam, kochane rodzice, i całuję was, kochane rodzeństwo, i módlcie się za mnie.

Wasz

JÓZEF.

Okrutnie pono straszną siłę ma ten prusak, a i austryjak. Ale i my będziem mocne, a z nami mało co pół świata, mówią, — to dobrze.

Grenobla.

Sercu memu miły...

Śliczna wiadomość: wojna. A ja w najlepsze myślałem, że uda mi się tu, mój Bożyczku, wchłonąć, jak należy, wszystkie filozofje kursu wakacyjnego i powrócić do kraju mądrym, jak byłem poprzednio, ale za to parlującym po francusku, że aż cho, i posiadającym nareszcie już prawdziwie, bez krzty blagi, teorję tego jęzusia.

Chce się zakląć. I jak! Wymyślać. Tym szwabom-psubratom, ma się wiedzieć. Ach, łotry, łajdaki, kanalje! I tak niespodzianie. Przecie, gdybym wiedział, nie byłbym się tłukł nadarmo tyli świat i ryzykował zbieranej w pocie czoła i nóg (latałem tak tęgo po lekcjach!) przez dwa lata floty.

Żeby to wszyscy djabli, mój Bożyczku! I co robić teraz? Uciekać? Dokąd? Do Paryża? Czy do Szwajcarji? Do Warszawy z powrotem? Więc na co była ma fatyga? A tu niczego nie wysiedzę, bo, choć Grenobli nie ruszą, dajmy na to, psubraty, to co za studja, kiedy pół Francji idzie pod chorągiewkę, a i belfrów — tylu?

No, pewnie! Plunę i jużem w Gienewie. Tam uniwerek także i francuskie paplanie. Ale mnie, psia kosteczka, chciało się przecie koniecznie tej

Grenobli, Francji, a nie Szwajcarji, tutejszego akcentu i cen tutejszych, i miałem na to *lato* tylko przeznaczone. Teraz buda w Gienewie deskami zabita, a w zimie nie posiada tego, co miała mi dać ta Grenobla...

Miała dać! A gdybym nawet ocknął się w Szwajcarji, to czy wiem, kiedy i jak się z niej wydostanę? I z czego żyć? Łapę lizać, czy ją wyciągać? Chočbym to uczynił, gdzie znajdą się frajerzy? Tfu!

Tam już podobno szwaby z Rosją się tłuką. A tu mobilizacja. Nawet nie wiem, czy zaraz ten list dostaniesz, bo i poczta teraz już od siedmiu rozkoszy. Ale po otrzymaniu odpisz duchem A może najpewniej w Paryżu w twojej budzie, jak gołąb niepokoju (istnej wojny!) się zjawię? Bo i tobie przecie, brachu, coś kombinować trzeba, to do współki mądrzej obmyślimy i w kupie mniej się damy?

Słuchaj, chyba z tej całej galarety to tylko się wytrzęsie, żeby wstąpić do legjonu? Co, jakim zezem spojrzałeś na moją ideę? A może — nie zezem wcale? Może ja znośną myśl powiłem? To jest — nie ja, tylko Raszkowski, wiesz, ten z Łomży. Gadali mu znajome francuzy, że w Paryżu legjon cudzoziemski się tworzy, słyszałeś, czy nie? — i że ćma ludu się ma zgłaszać. «Ma». Skąd oni to wiedzą? A że ty i ja młodziśmy i niebylejakiej krzepy, to, choć tam nigdy o bijactwach nie my-

ślałem i choć przecie wolny od wojska jestem, więc ani dudu o tem, — to, jak myślisz?.. Zarobek, nie zarobek, przyjemność, nie przyjemność, i piotra trochę i fatygi, no, że niech bożków ściśnie, ale czy to jeszcze nie najlepsze? Do kraju wrócić nie zdążymy, a tu, czy w Szwajcarji, zostać i z głodu zdychać? Ani ty, ani ja tatków, mam, ciotek i wujaszków nie hodujemy, więc?.. Coprawda, trochę przykroby było tak bydlęco wcześnie odnieść swe kostki do jamy na niezmącony spoczynek, albo zostać pokraką na całe życie, ale czyż to *koniecznie* nam ma być sądzone?

A co, może w dobrą godzinę obnażył swą jadaczkę przedemną ten kretyn (on mi działa na żołądek), Raszkowski?

No, do otrzymania twych bzdur, albo do zobaczyska w twej budzie na siódmaku pod dachem w Paryżu! Tylko nie uciekaj z Parzia! Nie bądź idjotą. W każdym razie — zawiadom mię.

KSAWER.

Żytomierz.

Drogi Panie!

Nie uwierzy pan, jak bardzo jesteśmy zaskoczeni przez wojnę. Wprost w głowie pomieścić się nie chce, pytamy jedni drugich: czy prawda, czy być może, a wszystko wokół krzyczy o niej wielkim głosem i dusze nasze krzyczą, Boże...

Dusze krzyczą! Może to orłowa chwila, drogi, drogi mój panie? Może burza, co szalała, co łamała serca, mózgi, rozpętana na inny sposób, da tęczę ludzkiego i narodowego Zmartwychwstania?

Nie śmiem o tem myśleć. Skąd przyszły te myśli do głowy? Szalone? Głupie? Chorobliwe? A przecie — tak mi się wydaje — zajęczały one w każdej duszy teraz, może nawet w duszy małej i nikczemnej, i biją, jak dzwon, jak dzwon...

Nędzną, marną wydaje się codzienność, to wszystko nasze bytowanie. Słońce świeci, jest tak ciepło i pięknie, — w cichem naszem mieście, nad powabnym Teterowem, zapomniećby można o szarem brutalstwie dni. A teraz nagle nawet one stały się — niczem!

Pan wie, jak w naszym «Sennym grodzie» znajduje oddźwięk tętno ducha. Lecz oto drgnęło coś jakby... coś jakby się przebudziło. Z letargu

uczucia i myśli, z posępnej martwoty krwi swojej, nerwów — i zdaje się, że oni, że ci wszyscy, za których tak często gniewem i wstydem wzbierało serce, poczuli coś nareszcie.

Drogi panie! Rozumiem, że oni, że ja — niczem nie jesteśmy. Że my wszyscy — przejściowe cienie. Ale może czynią się cuda, raz na stulecie przynajmniej, może dożyliśmy takiej chwili?

Pan pyta o swój miły Teterów, o te wszystkie pagóry i wąwozy, o te zagaje i laski, o Hujwę. Romantyku! Nawet w takich chwilach umie pan pamiętać o tem. Ale cóż, pan ma rację. Tylko człowiek tępy nie odczuwa natury i może się od niej odwracać. Przyznam się panu: wczoraj uciekłem daleko za Malowankę i, ogarniony przez ciszę i przestwór, rozmawiałem z swą duszą.

Krwią oblewa mi się serce na myśl o tych niezliczonych życiach, co legną. Wszak każde życie — to cud. I, choć żyjemy przeważnie po sobaczemu, nie znając ceny swojej, każde życie—to cud.

Mór, uczyniony przez ludzi, sprawiż wyzwolenie nowego o cenie życia pojęcia? Gdybyż! Byłby to jeden z tryumfów świata.

Nawet głupi, maluczczy czują: mordownia ta, co idzie, będzie może ostatnią na tym świecie. Boże! Warjaci, czy tylko patrzący trzeźwo w sumienie i mózg?

Tysiączne rozmowy dokoła wojny. Stare trzęsące się panie nawet jakby ożyły. Coprawda, z

przerażenia. Okrutnie się tu boją austryjaków. Wielu chce uciekać, trzeźwejsi uspokajają, radząc czekać. I bo, doprawdy, dlaczego właśnie austryjacy mają *tu* przyjść, a nie rosjanie pójść do Galicji? Jakże dziwno, jakże strasznie dziwno, że teraz ma się rozstrzygnąć *realnie* zagadka Nemezis.

Za wiele przeżywam! Duch mój szarpie się, jak postrzelony ptak. Łamię się, wysilam w kierunku najprzenikliwszej myśli. Ale nie wiem! Nie wiem nic! Przypuszczam, przeczuwam, pragnę, żywię nadzieję. Wszystko ludzkie zbiega się we mnie z wszystkiem polskiem i urastam wewnątrz do większego, uczciwszego poziomu, do świadomości wyostrzonej chcącego *znaleść* pielgrzyma.

Czytałem znowu Słowackiego i Wyspiańskiego. Czytałem znowu «Monsalwat» Górskiego i — Nietzschego.

Jaka szkoda, że pana tu niema, miły ostrojęzyczny satyryku! Widzę często pańskie zmienne oczy. Wydaje mi się, że pan pyta z wesołym uśmieszkiem: «A więc przecie znajduje pan, pomimo wszystko, i teraz drobinkę czasu—na «czytanie»?

Ale najwięcej, proszę pana, czytam w tym Sfinksie, który już z za rubieży starego życia się wychyla.

Serdecznie ściskam dłoń pańską.

RYSZARD.

Poznań.

Moi drodzy!

Coś niesłychanego: wojna. A więc to wszystko, o czem szeptano w ostatnich czasach, — prawda! I mobilizacja nie była postrachem, ani zabezpieczeniem się jedynie — demonstracyjnem. List ten zniszczcie zaraz po przeczytaniu. Posyłam go przez Zdzicha. *My tu nie wierzymy, nas garść przynajmniej, że wojnę wypowiedziała—Rosja.*

Okropność, okropność. A więc to, czego baliśmy się od stu lat z górą, stanie się: będziemy się my, polacy, wzajemnie mordowali. Co myślą o nas, o doli naszej polskiej,—w Europie?

Poznań—wstrętny się zrobił. Dobrze, że was tu, drodzy Wiktorze i Melanjo, niema. Trulibyście się tym widokiem. Nasz Poznań, nasze serce... I wszystko, co szczególnie pruskie w nim od lat, teraz tak... smrodliwie na jaw wychodzi.

Niemcy radują się. Patrzę i nie wierzę. Tryumf? Już teraz? Bez fatygi? Na zapas? Obłąkanie?

Znane wam tak dobrze «frace», pełniejsze jeszcze pewności, niż zazwyczaj, rozśmiechnione. Oczy błyszczą. Usta wyją hymny, wykrzyki. Nasz bruk poznański to wchłania i jakby przechowuje, archiwum stuletnie,—do innych czasów.

Czy przyjdą? Pamiętasz, Wiktorze, co mówił kiedyś dr. Stelewicz: «Polska skończyła się. Tylko głupi, lub szaleni mogą marzyć o jej powstaniu z martwych. I nam, tutejszym polakom, nie pozostaje nic innego, jak być wiernymi i mądrymi poddanymi jego cesarskiej mości, Wilhelma Drugiego,—dla własnego dobra».

Plunąłeś mu wtedy w ślepia krzykiem: «Kłamstwo!» A teraz pluje tym krzykiem każdy kamień bruku, dławiony stopą teutońską, bruku, po którym nietylko manifestanci, ale i wojska króla pruskiego z sztandarami i muzyką, kroczą...

«Polska się skończyła». Spójrz, — o, gdybyś mógł,—w ślepia nietylko tchórzów i lokajów Stelewiczów, spójrz w ślepia tych opasów, co krzyczą, ryczą teraz pod memi oknami: «Hoch!» na cześć kajzera i wyją tę plugawą, nawet dla porządnych i kochających ojczyznę swą niemców, tę bezczelną i bezsensowną pieśń: *„Deutschland, Deutschland über alles"!* Jak pod radością i tryumfem i idjotycznym «patryjotycznym» zachwytem tają się, poddające się tylko odczytaniu przez przenikliwe oczy mózgu, lęk, niepokój, zdenerwowanie... Na polskiej ziemi, na polskim bruku wyją. Ale ich pruskie serca skołtuniają się obawą, prawie zabobonną, czy nie wstanie raz jeszcze zbeszczeszczony witeź, już nie polski tylko, ale słowiański Mściciel, i nie urządzi im— drugiego Grunwaldu?

Na piastowskiej ziemi, podczas krzyżackich manifestacji i tryumfalnego kroczenia «zwycięskich a priori» wojsk pruskiego króla przy dźwięku muzyk pruskich—to trochę pikantne pytanie?

Jak boli dusza, jak boli na myśl: tam, pośród tego żołdactwa, tylu Maćków i Bartków, Piasta dzieci! Piastowicze w krzyżackich pikielhaubach, w mundurach krzyżackich, co ogłupione, albo szarpane rozpaczą, serca kryją! I te piastowskie ręce mają podnieść na wysokość strzału karabiny i strzelać do innych piastowiczów, swoich braci...

Niedoczekanie wasze, niemcy! A jednak — doczekanie. Lufą, kolbą, szablą i bagnetem «popychać» ich będą z tyłu feldfeblowie i oficerowie, by spełnili—«obowiązek».

Boże... Boże...

Ma się rozumieć, i teraz moglibyście usłyszeć, jak słyszeli nasze Bartki pod Sedanem i Gravelotte, mazurek Dąbrowskiego... *„Deutschland über alles“* i ten mazurek... A na murze gmachu Komisji Kolonizacyjnej rozkaz mobilizacji—po polsku.

Bo co Krzyżakowi szkodzi? My zaś, polacy, przecie zawsze jeszcze w jego mniemaniu—kpy i durnie.

Radzę ci, Wiktorze, nie przyjeżdżaj: rozkrwawi ci się serce. Tragifarsa... cyrk, co krwią cuchnie. Ale, jeśli nie żal ci polskich nerwów,—przybądź.

Bo to są przecie chwile «historyczne». Chwile, co, daj, Boże, już się nie powtórzą, gdyż powtórzyć

się nie będą miały potrzeby. Rajtarskim butem dając nam raz jeszcze w duszę, ckli tam coś prusak o «nagrodzie»...

O ojczyźnie naszej «myśli». Do biesiadnego stołu nas zaprasza, przy którym obdzielać nas chce nowem swem szalbierstwem.

Ale może «polska świnia» przestała być już głupia nareszcie? Napewno! A mądry prusak, prusak gienjalny w swem pojęciu, prusak wszechmocny, prawie boski, jak sam wyznaje,—tego nie widzi!

To lepiej, prawda, drodzy moi? To dobrze, prawda? Gdy przyjdzie dzień, gdy przyjdzie godzina...

Niech przyjdzie, niech przyjdzie! O, jak strasznie już jest utęskniona dusza polska do zrośnięcia się! Jak strasznie łaknie innego nareszcie jutra! Jak strasznie łka coś we wszystkich trzech jej częściach!..

Słuchajcie, wy czujecie? U nas szczególniej muszą każda skiba, każdy kamień, każda kropla wody krzyczeć: tylko nie z prusakiem!

Bo my, wszak prawda, prusaka znamy? Och, i jak.

Mówią głucho o jakiejś dzikiej «orjentacji» niektórych polaków w Galicji. Czy słyszeliście? A tę z Królestwa ja znam: nerwami ją odgadłem. To wszak proste!

«Krzyżackiego gadu niczem nie ugłaszcze»... I jak mogli zapomnieć o tem—ci niektórzy w Galicji?

Piszcie, proszę. Tak chce się krzyczeć prawie... Odpowiedzcie przez Zdzicha. Ten list spalcie zaraz, by później nie zapomnieć.

Ściskam was.

Wasz

SZCZĘSNY.

Końskie.

Kochany tato!

Dobrze, że tato nie pojechał do stryja Andrzeja do Warszawy, tylko do wujka do Skłoniewa. Bo trza tacie wiedzieć, że przyszedł po tatę papier, że tata ma zaraz w *try miga* stawać w jakimś punkcie, czy ja tam wiem, skąd tatę zaprowadzą odrazu na wojnę, jak Bozię najszczerzej kocham. Mama przestraszyła się okropnie: co, jak, skąd, o żadnej wojnie słychu nie było, a tu nagle... Ale co tego, co papiery roznosi, niby tego papiernika, obchodzi! Machnął ręką i powiedział, że niejeden tata. A że mama ciągle chora i w łóżku leży, więc ja piszę do taty i posyłam tę kartkę przez Szmula, co akurat do Skłoniewa za godzinę wyjeżdża.

Tata kochany! Proszę zbierać się zaraz i do nas wracać. O, mój Boże! Więc zabiorą tatę i my same zostaniemy z mamą, a mama chora — i co to będzie? A tato, ma się wiedzieć, straci miejsce u pana hrabiego i nie wiadomo, czy pan hrabia będzie chciał o nas i mamie pamiętać.

Józia i Frania latają po podwórku i nic nie wiedzą, co się stało. A może oneby nie zrozumiały? Przecie ja mam już dziesięć lat i tak, kochany tato, rozumiem!

Ja tatę zawsze okropnie kochałam i kochać będę. To nieprawda, co powiedział przed pół godziną pan Teofil, że tato, jak niejeden, może z wojny już nie wróci. Tatuńciu! On kłamie! To zły człowiek! O, jak ja go niecierpię. I po co on to mówił? Tato musi wrócić!

Tato kochany! Ja szykuję tatowi świeżą koszulę i gacie i skarpetki. A resztę to już, mówią, da rząd.

Niech tato wsiądzie do wasąga Szmula, bo Szmul tylko na godzinę do Skłoniewa, tak powiedział.

Czekam i całuję tatę. Tatuńciu!

ZOSIA.

Warszawa.

Kochany ojcze!

Nie wiemy, jak to tam pisać do ojca do pułku. Pani Radziszewska mówiła, że nie można o niczem, tylko chyba o zwyczajnych rzeczach, że to niby niema tajemnicy i żadnemu wrogowi na nic się nie przyda. Ale przecie i tak, chwała Bogu, daleko podobno wasze pozycje od tego wroga, więc jakby on mój list przełapał?

Pan Gosiewski, tak jak przyobiecał, wziął Antka do fabryki, choć fabryka teraz trzy dni w tygodniu tylko w ruchu. Dostaje Antek dziesięć rubli na początek. Dobre i to, wyżyjemy jakoś łatwiej w kupie i może się odłoży co na czarną godzinę, bo i ja przecie haruję i Mańka też rąk nie opuszcza. Ale mię gryzie, że za parę miesięcy może się urwać robota, bo to gadają o coraz cięższych czasach, i co wtedy? Jeszczem taki młody, ale rozumiem, że mi trza ojca tu zastąpić, kiedy ojca niema i kiedy tam gdzieś wojuje. Nie daj, Boże, by miał ojciec zginąć, albo nawet choćby kaleką zostać. Mama różańce odmawia i na mszę już na intencję ojca dała, widzi mi się jednak, że to nic nie pomoże, jeżeli zły i głupi wypadek niegodziwie ojcu się przysłuży. Lepiej nie myśleć! Lepiej wierzyć, że cało ojciec wróci i znów, jak kiedyś, razem będziemy.

Pięć rubli, co pożyczył ojcu Kacper, wczoraj oddałem. Przymawiał się jakby o procent. Udałem, że nie rozumiem. Mnie się zdaje, że wielkie to jego świństwo, bo jak można? Znajomy, przyjaciel—i w tych czasach, gdy ojciec ostatkiem gonił, a my ledwie co do gęby włożyć mamy?

Tę starą ojca kurtkę sprzedałem żydowi za cztery złote. Za nic nie chciał dać więcej. A ojca kamasze za trzy złote, groszy dziesięć. Dołożę do tego swoich cztery ruble, Antkowych dwa, Mańki półtora i wszystko razem ojcu wyszlę.

Mama płakała wczoraj bardzo i długo patrzała na fotografję ojca, co stoi teraz na komódce pod ścianą z obrazami. Patrzała i na obrazy. A mię złość chwyciła, bo co te płacze i te obrazy? Trza, żeby mama mniej o wojnie i ojcu myślała i żeby ojciec nie narażał się bez koniecznej potrzeby i nie palił tak dużo, jak zwykle, bo to z piersiami gorzej może być, a na flagę i chłody, co idą, zupełnie źle nawet.

Całuję ojca od siebie i od Antka i Mańki. A od mamy—to się już wie przecie.

Szczerze kochający

SZCZEPAN.

Kamieniec Podolski.

Panie Justynie!

Zginął wszelki ślad pana i nie wiedziałem już, co sądzić, gdy oto od brata dowiedziałem się, że pan znowu w Wilnie. Jakże się cieszę! Pan, niby duch, krąży gdzieś i zjawia się na chwilę, by znów zniknąć.

Mój kochany panie! A tak się bałem, że na długo, może na zawsze, stracę ślad pana i że tę nić, co się między nami nawiązała, los przetnie.

Nie chcę tego! W mojej samotności duszy drogie mi jest zbliżenie, które między nami nastąpiło i które ogrzewa, bodaj pragnieniem, pustkę, przez życie mi stwarzaną. Pan się może uśmiechnie. Nie jestem egzaltowany, choć młody. Tylko szczery.

Dużo myślałem o panu. Jest pan dla mnie człowiekiem, do którego dochodzę lękliwie i razem odważnie. Boję się, to naturalne, by wszystko, co jest w panu męskie i dojrzałe, nie zniechęciło się do tego wszystkiego, co we mnie jest jeszcze dziecinne i naiwne, ale otuchy dodaje mi świadomość tych wielu naszych wspólnot, co tak w swoim czasie pana uderzyły, a mnie — prawie oszołomiły.

Serce me idzie czasem promieniem na gościniec myśli pana i z drżeniem chciałbym oddać panu część siebie. Mój przyjacielu! — nie śmią rzec usta. Pamiętam, co pan kiedyś o przyjaźni powiedział i czem ona być powinna. I dlatego ja także nie będę miał nigdy mężczyzny-przyjaciela.

Gdy skrzydło tęsknoty ociera się o cudzą duszę (ja przecie do pana tęsknię), cóż dziwnego, że podwójnie zaniepokojony umysł stara się odgadnąć myśli i nastroje bliskiego człowieka? Bo, bądź co bądź, pan mi to pozwoli, uważam pana za bliskiego sobie. A, szarpiąc się na temat wewnętrznych przeżywań pana z podwójnem zaniepokojeniem, mam na uwadze — to się tak rozumie! — czasy obecne.

Jak w piekielnym teatrzyku zmieniają się akty i obrazy i oto już tej gry chwili sporo. Drogi panie! Jawa stara się nagiąć nas do siebie, a my, ja przynajmniej, jak zdławiony w łuk pręt, się odprężamy i, pojmując, ja przynajmniej, nie pojmujemy.

Jakgdyby wczoraj jeszcze był nasz «jasny brzeg» i to lato, nad modrą wodą spędzone. Jasny brzeg życiowej przystani, do której z zaufaniem, albo szczerą pewnością, okręty człowieka przybijają. I sternicy i żeglarze byli spokojni i bezpieczni. Jak to się przynajmniej doskonale nam, różnym ludziom, zdawało! Bodaj przez pół. I oto...

Mam jeszcze w sobie, gdzieś w głębi nerwów, ukrytą garść tego słońca, cośmy je pełną piersią nad i pod lazurem wdychali, którem paliliśmy na bronz ciała swoje. Słyszę szum fali, ten cudowny chichot-rżenie, tę skargę, płacz i krzyk, i jęk, i groźbę i radosny szał młodości wieczystej. Czuję twardość kamiennych cyklopów, co jednem bodaj, ale orłowem, okiem przestrzeń przebijają. Gładzę dłonią wspomnienia przeczyste kwiaty i zieloność, mające w sobie zaklęcie wiecznej wiosny...

A teraz patrzę na brzeg innych zaufań i pewności, na przystań, do której inne okręty przybijają. Sternicy i żeglarze też spokojni i bezpieczni, ale jakże dziwno i straszno od ich spokoju temu, co ludzie przezwali—sercem. Jakiż to błękit otoczył ich ramieniem i jaki lazur pod nimi? Jakie słońce nasyca ich żyły i odnawia ich krew duszy? Jaką zielenią wiecznej wiosny koją wzrok upragnień?

Krew się leje... Krew się leje... Myślę: co pan czuje i mówi swej duszy? Mój—przyjacielu, gdybym go mieć zdołał!

Łamie się coś we mnie, stygnie. Taki młody jeszcze jestem... Rozumiem: życie całe przedemną. Ale jaki cud wróci mi to choćby, co mi już zagrabiono? Jaki cud wróci mi mą głupią, ja to wiem, ale tak konieczną, złudę?

Poezja, literatura, malarstwo, muzyka, teatr, nauka—to wszystko tak gdzieś daleko teraz odemnie

Myślę o—człowieku. Idea człowieka, zagadnienie człowieka wyjada mi mózg.

Pan powie: śmieszny! Śmieszny, bo, ogarniając zespół, nie dostrzega — siebie.

Pan—szyderca, ale wiem, jak płaczą w szydzie pana odwieczny wstyd i ból człowieka. Wszystkie długie rozmowy z panem zostaną nazawsze we mnie.

Dostrzegam i siebie! Wiem, żem z *nich*, bo, pomimo wszystko, udaję, jak i *oni*, tych, co nie chcą, by ich Chrystus—przeklął.

Pamięta pan to popołudnie na marmurowej skale rok temu tam we Francji, gdy czytał mi pan swój poemat? Ojczyzna ludzka i kosmiczna wstawały przed nami i załkała tak nagle rozpacznie tęsknota do człowieka już nie kosmicznego, ale poprostu ludzkiego. I wtedy tak pojęły się i odczuły serca nasze...

Oto przyszła odpowiedź. Wszystko marzenie i upragnienie otrzymały swój wybitny ucieleśniony wyraz. Słońce nieba i ziemi, lazur odmętu i tajemnic bytu znalazly odpowiedź.

Dla pana Chrystus człowiek tylko, dla mnie człowiek-Bóg. Ale w niektórem słowie Jego i w wielu męczeńskich ranach myśli Jego i żywota odnajdziemy, ja wiem i wierzę, wspólną rozpacz i uniesienie i wspólne, nie znające żadnych, bodaj najpiękniejszych i najwabniejszych, usprawiedliwień, słowo i nakaz i głos, ponad wszystko silniejszy, sumienia.

Boże mi daj zobaczyć się kiedyś z panem. Ale już nigdy nie wchłoną oczy moje lazuru i słońca, i pieśni nieba i ziemi. Nie wiedziałem, tam nad szafirowem morzem, że młodość moja, ta najcudniejsza, z duszy, skończyła się — wtedy.

Ręce drogiego pana ściskam. Proszę koniecznie o słowo wiadomości pod starym adresem.

OLGIERD.

Czyżew.

Drogi bracie!

Jak obuchem, uderzyło mię to. I, ręczę, całą Polskę. Czuję, rozumiem: dusza moja polska jest i serce moje polskie, a mózg mój...

Mój mózg. Czy może mózg myśleć tylko po polsku, czy tylko po ludzku, czy też nieco tak i nieco tak? Ale co mózg! On milczał prawie. Odpowiedział instynkt, krzyknął odrzut jakiś wewnętrzny, głęboko utajony, a przecie jawny i tak silny...

Jak obuchem mię uderzyło. I ciebie, ja wiem. Nie może być inaczej. I wszystkich, u nas przynajmniej.

Ty wiesz, o czem mówię. O «Odezwie». Mówimy o niej zresztą wszyscy teraz w Królestwie. Mówimy i na Litwie, i na Rusi i w Cesarstwie...

Szponem duszy chciałbym wydrzeć odpowiedź z powszechnego mózgu braci naszych w Galicji. Co myślą? Jak się «orjentują?» Co zamierzają?

Może to zupełnie naturalne, i zresztą napewno, że taka, jak ją wyczytaliśmy, odezwa się pojawiła? Jest ona przecie logicznym wynikiem poło-

żenia politycznego, co się wytworzyło, i zawiera wskazania rozumu i konieczności państwowej, przez życie podyktowanej. A przecież, gdym ją ujrzał, oczom wierzyć nie chciałem i czy ja jeden tylko?

Z zbyt wielkiego sezamu poczuć naszych ją dobyto, z zbyt poufnych «długich nocnych rodaków rozmów», by nam się wydała nadeszłą stamtąd, od strony dalekiej, prawda, Michale? I zbyt wydała nam się dotykalna, ona, której ojcem swoje myśli tylko być mniemaliśmy, poczynana we mgle prawie fantastyczności i urzeczywistniana jeno doraźnie na krótki, oślepiający moment zacietrzewienia dyskusyjnego, czy baśni romantycznej— z istotnemi narodzinami w nieznanej, okrutnie dalekiej może, przyszłości, albo nie mająca się narodzić nigdy?

I oto «słowo ciałem się stało» i istotnie «zamieszkało między nami». Czasy obecne nazwaliśmy «historycznymi» i odezwę tę też historyczną, ale czy tylko dlatego, że przyszła w tej dobie? Słuchaj! Przecie na pograniczu dwu epok wyrosła, przyszłością przeszłość wykreślić pragnąca, zajaśniała słońcem nadziei i oliwną gałązkę pokoju pod nogi macierzy naszej ułożyła. Z słów ludzkich tylko, znanych słownikowi polskiemu, z ust codziennego życia wyjętych, naszyjnik pereł utworzyła, który legł na szyi tej matki naszej ukochanej nie obręczą, ale zjawą radości. I wykowała

złoty djadem, usiany brylantami łez wesela, co na głowie owej matki nie cierniową koronę, lecz dumny znak wracającej ku głośnemu i swobodnemu wyjawowi siebie duszy polskiej zwiastuje. I w tem, jak rozumiem, jest, Michale, jej historyczność, jest historyczne jej powołanie i jej historyczny krzyk!

Słyszy go Polska! Czy cała? Jeszcze nie! Pewnie nie! Ale usłyszy. Pręży się w konwulsji ta Polska, zdławiona przez niedolę pokrajanego swego ciała, lecz mocen i żyw nasz duch, przez Boga, przez Boga!

Michale drogi mój! Jak okropnie czuję potrzebę przypadnięcia piersią ku piersi twojej, brata mego, wszystkich braci moich w Polsce, i spojenia się z wami uściskiem! Gdybym to mógł uczynić! I rozszlochać się na tej piersi, tych piersiach, choć jestem mężczyzną i choć mężczyznom płakać nie wolno, czy nie wypada...

Mój drogi! A zdaje mi się, że czytam w mózgu twoim myśl podobną?..

Może w wszystkich naszych mózgach teraz?

Bo może już wierzymy, że nasza macierz święta, jedna duchem, ciałem nareszcie się zrośnie i da żywot nowy duchowi temu? Może już wiemy, że skończona martwa przerwa między Polską starą, którą chował do grobu Stanisław Poniatowski, a Polską nową, którą rodzi w bólach nasz czas?

My, pogrobowce wielkich chwil i chwil małych, mamy z pożaru wojny teraźniejszej wynieść ukryty talizman i przy zaklęciu, które nam nasz instynkt i nasz rozum podpowiadają, wskrzesić, krzepcy słowiańską ideą, swój dom...

Ty wiesz to przecie! I my to już wiemy wszyscy, to rozumiemy! Rozkołysał się duch odwieczny i brać nam trzeba z niego część swoją, część polską, jak reszcie część swą także, i odczuć w tem rozkołysaniu spiżową moc logiki i usłyszeć spiżowy dźwięk konieczności...

Bracie mój, bracie! Chcę powiedzieć: bracie mój w Polsce, jak mówimy: bracie w Chrystusie, naprzykład. Właśnie w Polsce. Bo teraz, gdy to piszę, tak czuję się nawskroś polakiem i tak bardzo potrzebuję wiedzieć, że moje serce—polskie przedewszystkiem.

Ty, bracie, nietylko z krwi, synu tych samych, co moi, rodziców, ale i bracie w tem polskiem teraz przeżywaniu! Powiedz mi, miły: wszak my już możemy ufać, że los pozwoli nam ujrzeć nieszczęsną ojczyznę—zrośniętą?

«Święte marzenie waszych ojców i dziadów ziścić się może»... «Żywe ciało Polski było rozszarpane, ale... żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania»...

I któż z nas w Polsce powie, że te słowa rosyjskie, skierowane ku nam, nie są naprawdę z trzew naszych i że, choć tak naturalne, teraz,

jako wyjaw, nie wyszły z podziemi płaczów i uśmiechów naszych?

Gdy to mówię, mówię z duszą własną. Stać się nawzajem dla siebie tem samem—to coś. W wielkich chwilach wielkiem ukochaniem i odczuciem wspólnej matki się jednoczmy!

Dzielą nas jeszcze kordony... Mówi nam Rosja ustami odezwy: «Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części naród polski».

O, tak. Niechaj się zatrą! Ale nim się zatrą, jak usłyszeć nam głos braci *stamtąd,* wiedzieć dobrze, co myślą i czują?

Czy nurtuje to w tobie, jak we mnie? Habsburg, ten sam, co pod Wiedniem nas za knechtów swoich użył, znowu, mówią, na nasz polski obłęd liczy. I prusak... Ale bracia nasi w Księstwie, w Prusach i na Śląsku *nie mogą* być szaleni! Wszak Krzyżak zapomniał dać im kawałek bodaj tego łachmana, którym okryli pełne ran plecy łazarze z Galicji. Więc nawet nie mają złudy. Boże, ktokolwiek z nas nie jest szalony w narodzie: wszak nie z niemcem nam, nie z prusakiem jakkolwiek!

Wspominam twoje słowa, wyrzeczone kiedyś: «Nasz obłęd narodowy ma się ku końcowi».

Tyś, naturalnie, mówił o wiekowym polskim obłędzie we wszystkich dziedzinach i przejawach. Ale, jeśli to prawda, o czem coraz głośniej przebąkują i o czem nawet zlekka piszą, że w Galicji

wielu opowiedziało się za Habsburgiem, a więc i za prusakiem, i że nawet tworzą tam legjony, to...

To, my to rozumiemy tu wszyscy, jestto jeden z objawów tego polskiego obłędu, co, wedle słów twych, Michale, bodaj proroczych, «ma się ku końcowi».

Och, niechże się tak stanie! «Ku końcowi»! Polska, co pragnie zmartwychwstać, musi zdrowa już być nareszcie, musi posiąść te zadatki życia, na braku których się załamała i o które, między innemi, walczy teraz. Musi być zdrowa zupełnie i na długo, jeśli można—na stałe. I wtedy prawda, drogi, nic nam straszne nie będzie?

Szatan doli naszej, co szczepił nam mózgów i ducha szaleństwo, zdławiony, rzuciłby na nas anatemę, która wzniosłym posiewem przyszłościby się stała...

Gdy los rozwiera wierzeje narodowej ciemnicy naszej, godzi nam się umieć spojrzyć oczami bystrymi i, choć nawykłym do mroku, dostrzec bez omamień drogę i środki, któremi podążyć w jasność mamy.

Bo cel jeden nasz przecie: ta jasność.

O, drogi Michale! Jak radowałbym się bez miary, gdyby wszystko teraz i w przyszłości z ciernia udręczonego ducha polskiego w nimb tego ducha, w nimb Polski, uczuciem naszem nieśmiertelnej, się przemieniło!

Stęskniony jestem do słów twoich. I żałuję ciągle tak, że nie mogę cię, choćby na krótko, zobaczyć.

Twój

WALERY.

Siedlce.

Mój papuńciu!

Babunia powiedziała, żebym do papuńcia napisała troszeczkę, bo papuńcio daleko na wojnie i bije się i nie ma ani słowa od nas, tylko od mamusi i babuni. Więc ja siadam i piszę. Ale niedużo, bo mię rączka jeszcze boli, com ją sobie stłukła przedwczoraj, i błędy przez to robię i trudniej mi idzie wszystko, mój papuńciu.

Na urodziny dostałam od mamusi taką dużą lalkę z czarnemi włosami, w różowej sukience z falbankami. To będzie moja czwarta córka, Zosia. A pajac, co go ma Bolek, będzie jej mężem. Babunia mi dała książkę z malowankami i wierszykami, a ciocia pudełko czekoladek. Tylko od papuńcia nic nie dostałam, bo papuńcio na wojnie i te niemcy nie pozwoliły pewnie papuńciowi mieć czas mi coś przysłać? Mamusia powiedziała mi: «Masz osiem lat skończonych, więc już jesteś duża panna». A ja się ucieszyłam, że jestem duża panna i bardzobym chciała, papuńciu, być już dorosła, tobym poszła na siostrę miłosierdzia i nosiłabym taki czerwony krzyż na ramieniu, jak panna Kamilla i jak ciocia.

Bolek pobił się z Tolem na moje urodziny i mamusia kazała obu klęczyć na grochu pośrodku

pokoju. A na stole stał tort i moje cukierki i obaj się oblizywali.

Bardzo papuńcia całuję i proszę pana Jezusa, żeby się ta wojna skończyła i żeby papuńcio wrócił do nas pręciusieńko.

Papuńcina

HALSZKA.

Wilno.

Moja kochana dziewczynko!

Ma się rozumieć, jesteś dla mnie, choć dwudziesty ci się skończy niezadługo, ciągle jeszcze dziewczynką. Nie myliłam się, kochana Jago: jeszcze nie wiesz i nie czujesz, jakie bywa życie, co z niego wybucha. Twój list ostatni dał mi to poznać ponownie i opowiadanie Heni o tobie—wczorajsze.

Ale to ani wina twoja, ani zasługa, uważam. Jest, jak jest, jak być, widocznie, musi. Przecie nie brak inteligiencji w tobie tego przyczyną, ani bystrości. Przeciwnie, podziwiałam werwę i rozumek, z którymi list do mnie napisałaś. I nawet, powiem ci, finezję. Byłaś zajmująca, ale...

To «ale», dziewczynko. Mam wrażenie, że jeszcze umiałabyś się zaśmiać srebrzyście, bez cienia przestrachu, albo zdumienia. Że potrafisz lekkim pląsem przebiec przez salę życia, w której, niedostrzegalne dla ciebie, leżą jednak—trupy.

Wybacz. Nie chcę ci sprawiać przykrości, ani moralizować. Sama przecie młoda jeszcze jestem i w tej roli nie byłoby mi «do twarzy». Jako kobieta, dbam, choćby instyktownie, o wszelkie «do twarzy». Nie jestem też twym sędzią. Nie mając

jednak nigdy dzieciństwa i najpierwszej młodości takiemi, jakiemi je ma tyle, zbyt wcześnie może spostrzegłam twarz rzeczywistości, co zabija, niechby i naiwną, ale—wiosnę.

Dziewczynko... Oto pragnęłabym mieć cię przy sobie, gładzić znowu twe prześliczne jasne włosy, całować białe czoło. Zdaje mi się, że twoje niewinne oczy udzieliłyby moim części swojej ufności, z którą, z ulgą dla siebie pewnie, zdołałabym spojrzeć wokół. I tchnęłyby w mą duszę trochę uspokojenia, z osobistej twej równowagi zaczerpniętego, czyniąc mię nieco, z korzyścią, jestem przekonana, dla mnie, «lekkomyślną».

Czy mam starą duszę, czy też tylko taka smutna jestem? Zawsze smutna, a teraz więcej, niż kiedykolwiek? Czy może cierpię na wrodzony pesymizm, najzupełniej, wiesz, organiczny, jak istnieje organiczna wada serca, naprzykład, albo organiczne skrzywienie kręgosłupa? Czy, ostatecznie, życie jest tak beznadziejne i, dzięki zewnętrznym okolicznościom jedynie (wojnie i związanym z nią okropnościom), jaskrawiej moja «żywa martwica» ze mnie obecnie wychodzi?

Zazdroszczę nieraz takim, jak ty. Mieć tę prawdziwą młodość, czuć ją i—choćby trochę poszaleć. Znać cenę swej krwi, swej świeżości. Rozumieć, nietylko teoretycznie, zdrowie wszystkich swych organów. Odczuwać, pojmować samą siebie i być choć trochę z «żywych!»

Jak cień, idzie wciąż za mną moja gorycz. To nawet nie melancholja. Wiem, żem młoda. Mówią, żem ładna, a nawet i piękna. Wiem, że i moi bliscy i niektórzy obcy szukają we mnie źródła swoich odczuwań. A ja stoję na drodze życia i, wedle sił, staram się...

O co, dziewczynko? O to, co ty osiągasz bez wysiłków, nawet w tych strasznych czasach, tak ci to jest należne lub właściwe? Czy tylko o niezachwianie się w kierunku ostatecznej przepaści bólu?

Mam tyle warunków, prawie wszystkie, by być z naturalnej, nietyle «jeszcze», ile «dopiero», dla mnie epoki młodości. A nie umiem z nimi nic uczynić, nie umiem zużytkować ich innym choćby na pociechę. Biorę okropny smutek z przestrzeni i daję go zwiększonym—i bez łez płaczę.

Gdybym była mężczyzną, możebym nie płakała. Chociaż... Wszak płaczą i mężczyźni. A najcięższe są łzy te, których nie widać, o których się nie słyszy i na które i my, kobiety, czasem się zdobywamy. I nie wiem już, czy, gdy zapłaczę, to, jako kobieta, czy tylko jako człowiek?

Wczoraj mówił mi Rowieński: «Jest w pani cud, o którym pani nie wie. Jest wulkan, który drzemie, a który, wybuchłszy, sprawiłby»...

Przerwałam mu. W oczach jego błyszczał przykry ognik i zrozumiałam, jakiego rodzaju myśl chciał wypowiedzieć. Ciężki człowiek! Trudno go

znieść i robi trochę wrażenie gadu. Ale, gdyby nawet ktoś czysty rzekł mi tak w rozumieniu czystem, budząc we mnie ukryte w każdym z nas, w każdej z nas, marzenie o miłości, nie usłyszałby w odpowiedzi nic, bo nie czuję nic.

Ja wiem: ja kłamię. Jeszcze nie kochałam dotąd, nigdy nie kochałam. Więc pokochać, prędzej czy później, muszę, powinnam, a zatem i czuć bodaj pragnienie tego, tęsknotę. Ja zaś mówię: nie czuję *nic* i kłamię i kłamać muszę i chcę, bo to kłamstwo—prawda moja.

I to straszne dla mnie właśnie. Bo jeśli ja, kłamiąc, *naprawdę* nic nie czuję? Jeśli jest aż tak?

Ty wiesz, kocha mię Daniewicz. Piękną miłością mię kocha—i tak smutną. Nawet smutek, osnowa mej duszy, nie umie obudzić wzruszenia we mnie dla tego uczucia. A litości nie śmiem ofiarować mu. Kocha mię i Kołżycki. Ileż młodzieńczego zapału pali się w jego ślicznych oczach, ile ciepła idzie ku mnie z duszy! Jest zdrowy, piękny, silny, ambitny, zdolny, rozumny, bystry. Zachwyciłby niejedną dziewczynę sobą, może lepszą i ładniejszą odemnie. I oto... Kocha mię i hrabia Zygmunt, twój stryjeczny. Przecie to taki niezwykły też mężczyzna! I patrzę na niego, patrzę na nich, i nie rozumiem i milczę, martwa jestem.

Nie jestem neurasteniczką, ani histeryczką, nie jestem wszak nawet kapryśnicą. Nie jestem

rozpieszczoną zbytkownisią, której za dobrze materjalnie na tym świecie...

Wiesz przecie, jakie ojciec miał i miewa kłopoty finansowe i jak często musimy się ograniczać. Dla mnie to są zresztą rzeczy tak małe...

Dziewczynko, po co ja piszę ci to wszystko? Co ty, droga Jago, pomożesz? A może—nie zrozumiesz? Nie pragnę cię obrażać. Mówię tylko do ciebie, jakbym do *młodszej* siostry mówiła. Wreszcie—jak do siostry.

Patrzę z przestrachem na wszystko, co się dzieje teraz. I myślę, czy wolno mieć młodość wogóle, czy wolno z niej korzystać, czy wolno chcieć, marzyć z niej korzystać, gdy się to dzieje naokół, co się dzieje, i gdy w strumieniach krwi tonie głos rozpaczy o wszelki ratunek—człowieka? Czy wolno czuć pragnienie pokochania, gdy nienawiść powszechna krzyczy o potrzebie miłości powszechnej, której jeszcze niema i która każe się tak często wyrzec siebie?

Dziewczynko... Ja wiem, że rozszerzysz oczy i spojrzysz przez przestrzeń z wyrzutem. Twoje białe czoło omroczy cień strapienia, usta zechcą rzec może jakiś protest, lub pocieszenie. Nie trzeba, droga Jago. Może to dobrze, że tkliwe twoje serduszko nie umie, nawet teraz, i nie chce pić z goryczy, jak, choćby i z pół wolą, moje—musi.

Dziewczynko... Z upodobaniem wymawiam to słowo. Jak trafnie ciebie nazywają, jak trafnie

cię nazwali! Gdybyś tu była przy mnie, wzięłabym cię w objęcia i znowu, jak kiedyś, i jak ci to już powiedziałam, gładziłabym twe prześliczne jasne włosy i całowałabym cię w białe czoło. I byłybyśmy dwie—tak różne—i wydałoby mi się, że ten anioł żałoby, co teraz ziemi panuje, choć na chwilę odstąpił odemnie.

Zląkłby się ciebie, dziewczynko...

Czekam wieści. Donieś wiele o sobie. A tymczasem—do widzenia!

ROMA.

Równe.

Kochana i miła sercu siostrzenico!

Wybaczysz mi pewnie, że się do ciebie znowu odzywam. Ale Bóg świadkiem, muszę, bo kto mię poratuje, jak nie twoje szlachetne serce?

Mówią o mnie: «pański dziad». A oczerniają, że dzięki tylko twojej łasce wegietuję i że całe życie, aż do obecnych swoich osiemdziesięciu lat, rozpuście, kartom, winu i bezmyślności się oddawałem. Ja takich oczerniaczy odsyłam na sąd ostateczny, gdzie się wszystko należycie wyjaśni i gdzie okaże się, żem tylko pamiętał o tem, iż nie żyłem w klasztorze i to w dodatki udawanym. Co zaś do twojej łaski, pomoc kochającej siostrzenicy tak nazywają, niepomni zresztą na to, że niezawsze przecie do ciebie tylko się uciekałem i że, gdyś była jeszcze niesamodzielna choćby, z grzeczności brata Michała, siostry Felicji i garści kuzynów korzystałem.

Ale nie dbam o hołotę, która na sądzie boskim ciężki zda rachunek ze szkalowań. Gdyby tę hołotę przytem upoważniała do wtrącania się w nieswoje rzeczy życzliwość jej czynna jakakolwiek! Ale, im więcej żyję, tem lepiej się przekonywam, jak ogromnie jestem samotny i jak tylko na twoje szlachetne serce liczyć mogę.

Sledzę, przykuty do fotela cierpień. Nie sądź, że żartuję. Gdzie mi żarty w głowie, gdy żona skamle codzień o grosze dosłownie, a syn lampartuje się? Nie leżę, lecz siedzę właśnie dniami i nocami i do reszty wyczerpuję i tak zniszczony organizm. A, choćby na złość wrogom swoim, muszę pożyć jeszcze z lat piętnaście conajmniej i ty to, sądzę, zrozumiesz...

Nogi moje opuchnięte, prawa ręka osłabła. Muszę udawać mańkuta, a to nie pomaga tym zupom, które zawsze, jedząc, rozlewam, ani szklankom, które tłukę. Pawła zabrali na wojnę i niema komu mnie doglądać. On, choć lokaj, z sercem był i zupełnie, jak człowiek. A przyznam ci się poufnie, że nieraz, gdy już było krucho ze mną, za swoje mi jeszcze papierosów kupił i czekał miesiącami na pensję, której i tak za ostatnie cztery nie oglądał, to trudno.

Otoczony jestem samolubami. Kamil stawia się i nie chce posług przy mnie spełniać, prócz, jak twierdzi, niezbędnych. A gdy mu powiedziałem, że jego obowiązek syna winien podporządkować się memu prawu ojcowskiemu, odrzekł, że dość ma wogóle wszelkich ze mną porządków i że jestem starym kabotynem, przesiąkłym fetorem swego ducha. Tego musiałem od własnego syna wysłuchać! Mnie się zdaje, droga Zosiu, że ty za nieopatrzna jesteś w swej dobroci, posyłając mu miesięcznie akuratnie te pięćdziesiąt rubli. Trzeba,

byś go za mnie ukarała: tę sumę, prócz tego, czem czasami jesteś łaskawa mię ratować, racz nadsyłać mnie. A mój syn bez czci i wdzięczności, pozbawiony wspomnianej podstawy, będzie musiał poszukać sobie pracy i dopiero wtedy może zrozumie, że pomagać sędziwemu ojcu jest jego — obowiązkiem.

Drżymy, żeby fala austryjacka nie rozlała się po Wołyniu. Podobno grabią, mordują, palą. Okropność ta wojna i niechby sobie ostatecznie mordowali się wzajemnie, cóż na to poradzę, aby mięso, sól, cukier, nafta i świece tak z dnia na dzień nie drożały. Chleb trzyma się jeszcze w cenie i papierosy, ale co to znaczy?

Mówią o jakiejś nowej Polsce. Mnie się jednak wydaje, że nam na Wołyniu sprawy do tego nijakiej, jak ty sądzisz, Zosiu? Bo żebyśmy sobie bigosu nie nawarzyli i zresztą poco? Czy to nam źle? Gdy zaś utworzą jakąś tam autonomiczną Polskę, to i granicę celną dać gotowi i wtedy wszystkie towary łódzkie i warszawskie podrożeją, a przecie zdarza się i takie czasami kupować.

Nie mogę patrzeć na Reginę. Czy to żona? Ciągle prawie siedzi w swoim pokoju, nie pamiętając o mych potrzebach, a porcje wydziela mi, zapominając, że dobry apetyt jest podstawą wzmocnienia organizmu. I czy można wierzyć, by jej, przepraszam cię, głupie uwagi o nieprzejadaniu się wypływały z troski o mnie?

Droga Zosiu! Ja wiem i czuję, że ty nie zapomnisz i tym razem o starym wuju, który, przepracowawszy życie, ocknął się, i to jeszcze będąc chorym, w zapomnieniu i niewdzięczności ludzkiej.

Opiece boskiej cię polecam i błogosławię. Rozumiem, że masz szlachetne serce. Niech Pan Jezus daje ci zawsze wszystko. Jeśli możesz, nie przysyłaj mi mniej, niż sto rubli. A wraz z temi pięćdziesięcioma, które, proszę, odbierz koniecznie Kamilowi i nadeszlij mnie, uczyni to sto pięćdziesiąt, co może pozwoli mi na czas jakiś odżegnać widmo opuszczenia.

Wierząc w twe szczere serce i na przyszłość, całuję cię i ściskam.

Twój stary wuj

ANZELM.

Biała Cerkiew.

Kochany Szymku!

Dowiedziałem się od Jura, że jesteś teraz w Humaniu. Nie chciałem wierzyć. Jakież bogi cię tam zaniosły, ciebie, «obywatela całego świata», wiecznego wędrownika, ale unikającego tak w ostatnich latach—Ukrainy?

A więc znowu jakby razem, na jednym szmacie ziemi! Jakże żałuję, że nie mogę pojechać teraz do ciebie, zobaczyć cię i uściskać! Ty, stary kolego i towarzyszu, którego wspomnienie zostało przecie w duszy mej.

Spotkawszy cię, oddałbym się, wiem, żywym, dotkliwym wspomnieniom epoki naszej berlińskiej, naszych wspólnych studjów w uniwersytecie Fryderyka Wilhelma. Lat dość upłynęło i zatarło się jakby niejedno, a przecie wstałoby żywe wszystko, by zaświadczyć.

O czem? To mię tak męczy niesłychanie! Od czasu wybuchu wojny noszę w sobie to dziwne i dzikie rozdwojenie, które teraz dzieli ze mną tylu ludzi i które staje się prawie obelżywym giestem tak zwanej logiki życiowej, usiłującej, jak szuler, grać fałszywemi kartami poznania.

Świadectwo prawdzie miałyby dać nasze wysnute na nowo z przędzy utajenia wspomnienia.

A ta prawda winnaby głosić, że, żyjąc wśród przodującego cywilizowanemu światu społeczeństwa *wówczas*, byliśmy przytomnymi i radosnymi, szczerymi świadkami dziejącej się stale i wciąż mocniej światłości myśli i ducha, którego skrzydła zagarniały w swe ideowe ciepło i nas, nieznanych, prawie bezimiennych, młodzianków, dzieci obcej rasy i narodu, przez *nich*, może w przelotnej jeno chwili zaćmienia ducha, zwanego «Die Pollacken». Mieszkając tam, w Berlinie, w stolicy nietylko hakatyzmu i wojującej prostytucji «haseł», czuliśmy się, tak naturalnie i szczerze, członkami ogólnej ludzkiej gromady, której wyrazicielem był i ów, drogi wszystkim prusakom i wielu niemcom, a lubiony bezobłudnie i bezinteresownie przez nas obu, Berlin.

Ilekroć byłem w Berlinie od tego czasu, wspominałem nietylko swawolę i wesołość młodości, ale i to wszystko wysokie i czyste i święte, co duszą wraz z *nimi* tam przeżyłem. Wiem, że płakałeś, kryjąc łzy, gdy, podczas odwiedzin Berlina, również już po opuszczeniu go przez nas, chodziłeś wieczorami po dzielnicy studenckiej, wspominając też nietylko figle i tężyznę studencką. Rozumiem cię! Drogi kolego, towarzyszu: rozumiem cię tak dobrze! I, choć niejedno wstrętne i może podłe nawet spotkało nas w tym Berlinie (powiem: w Prusach, Niemczech, jeśli chcesz), gdyśmy byli studentami, a i później, zdało nam

się zawsze, że nietylko młodość nasza nam tę epokę ozłacała...

A teraz... Teraz nagle... Co to, mój Szymku? Czy ja jeden tak szczególnie się na tem załamałem, czy inni może jeszcze więcej odemnie?

Życiowa logika... Ta, co, jak szuler, usiłuje grać na nerwach rozpaczy, lub przerażenia, fałszywemi kartami poznania właśnie. Czy jej, jako oszustki, użyli prusacy, użyli niemcy, do wywołania w duszy mej tego rozdwojenia, które, szarpiąc mi serce, bluzga oszołomieniem?

Świat cały chyba ocknął się na tym rozstaju. Jakże karze los i za co, odbierając wiarę, bez której życie stało się uboższe i nędzniejsze o tyle?

Szymku drogi! A przecie, choćby dla *tamtych* chwil, dla tamtych wiar i trwań, *nie* uwierzyć się pragnie, albo, do najmożliwszych granic, złagodzić!

Gdyby można! A jeśli—nie można?!

O, jak boli, jak smaga policzkiem zniewagi i wstrętu, gdy nam, ludziom, w twarz plują!

Wspomnienia zostaną. Kto zdoła zabić czar choćby kłamstwa, gdy ono z młodością związane? Kto dokonał i kiedy tego cudu?

Zabić—nie! Ale zohydzić,—tak! I zohydzono!

Może to lepiej, że się teraz nie zobaczymy. Zanadto bólem nabrzmiały dusze nasze. I zawiele, jeszcze więcej, zrozumielibyśmy może i odczuli.

Do zobaczenia, gdy los to sprawi! Nie śmiem zapraszać cię do siebie. Od żony,—ożeniłem się przecie,—choć nieznanej ci, ukłony. Lubi, gdy jej mówię o tobie. I wdzięczna ci jest za wszystko serce, którego od ciebie doznałem.

Żegnaj, stary druhu.

Twój

BOLESŁAW.

(Po rosyjsku).

Charków.

Kochana żono, Jewdokjo Pantielejmonówno, i wy, kochane dziateczki, Mitrofanie i Agafjo!

Oto przywieźli mię tutaj trzy dni temu i leżę, kochana żono, lecząc się ciągle, jak i przedtem. Bo tu dostawili mię z Berdyczowa, gdzie leżałem w lazarecie dwa tygodnie, a do Berdyczowa przywieźli mię ze Lwowa, gdzie leżałem miesiąc. Do Lwowa zaś, wiadomo, z pozycji, jak ci pisałem. Ale ja ci napisałem trzy listy, a ty mi żadnego. Co to znaczy? Może zginęła odpowiedź po drodze? Więc ci, żono kochana, powtarzam na wszelki wypadek, że kontuzjowało mię w głowę pod Rawą Ruską, tak że mam ciągle tę głowę owiązaną, i bardzo osłabłem i leżę prawie ciągle. A teraz zwlokłem się, by napisać do ciebie, ale pamiętaj, żebyś odpisała, jeśli dojdzie, bo bardzo jestem już do ciebie stęskniony i do dzieci, to się wie. Spasowi i Marji Dziewicy dziękuję, że umiem pisać trochę, bo to zawsze przyjemniej własną ręką, choć kulfonami. Nie tak, jak inni, którym siostry po szpitalach piszą.

W nocy, co zasnę, to mi się przyśnisz, żono kochana, Jewdokjo Pantielejmonówno. I tak mi

się widzi, że cię znowu ściskam i całuję i mówimy z sobą. Czasem rozgniewasz się na mnie, ale mi to nieprzykre, bo wiadomo, we śnie nie takie zdradne (garnka nie masz pod ręką, ani warząchwi), po drugie zaś—choćby w złości, a taka mi jesteś miła, że no. Powiedziałaś mi we śnie niedawno z gniewem i krzykiem, kiedy cię spytałem, czemu taki nieład w gospodarstwie, bydło nienakarmione, koń nienapojony, maciora zbiedowana, że czego poszedłem i że trza było w domu siedzieć, tobym sam sobie lepiej gospodarstwa dopilnował? Ja zaś, choć i na jawie, zaklinam ci się, kochana żono, Jewdokjo Pantielejmonówno, że musiałem pójść, bo ogłosili przecie nakaz. A ty może dotąd myślisz, że było inaczej? Śni mi się orka, i siewy i żniwa mi się śnią, choć to przecie do lata ile jeszcze! I ta wszystka kochana gospodarka, ta praca, choć i z biedą, z przymieraniem, ale droga taka. I zazdroszczę ci, żono, że możesz jej się imać codzień i że słyszysz rżenie naszego konia, kiedy mu sieczkę i siano niesiesz, i ryk naszych obu krów, i pianie naszego koguta, i gdakanie naszych kur i chrząkanie naszej świni.

A wtedy nawet płacz Mitrofana i Agafji, choćbym ich pobił, miły mi się zdaje. Bo słyszałbym nietylko swojego konia i bydło, i drób i świnię, ale i swoje dzieci.

Głowa mię boli tak okrutnie i ciągle. Ogłuchłem prawie: na prawe ucho nie słyszę, na lewe

trochę tylko. Czasem zlezę z łóżka i przysiądę na ziemi; spuścić nóg z łożka nie mogę, bo wtedy mi szumi w uszach okropnie i głowa boli jeszcze gorzej. Myślę, myślę, kiedy przejdzie moje słabowanie? Ale żeby mię to wzięli na komisję i dali urlop na miesiąc, dwa, trzy choćby? Jewdokjo Pantielejmonówno, żono moja! Jakaby to radość była zobaczyć cię znowu i dzieci, uściskać ciebie, młoda, znowu, utulić na piersiach, ukochać! Strasznie mi tęskno do ciebie. A czy ty pomyślisz czasem o mnie? I niech cię Bóg broni, żebyś miała z jakim tam, wiesz, bobym ciebie i siebie i jego, no, wolę już nie mówić. A czy nie myślisz naprawdę o żadnym? Czy nie zagląda do ciebie Tryfon, ani Waśka? Czy nie śmiejesz się do Nikity? I czy nie szepce ci nic Stiopka?

Właśnie jęknął mój kolega, co mu kula piersi przebiła i który leży koło mnie. Był ze mną pod Rawą Ruską, a później we Lwowie i w Berdyczowie w lazaretach. Ciągle ma gorączkę i bredzi. Dur go tak trzyma, a krzyczy czasem słowa, że i nie zrozumiesz, bo polak, z Polski, co naokoło tej Warszawy, w której kiedyś, wiesz, w wojsku służyłem. I patrzę ja, stary, na niego (on z czynnej służby, nie z zapasu) i myślę: jak to los, dola ludzi gna i jak my się, bez woli, skrzyżujemy? Gdzie jemu, gdzie mnie? Skąd on, skąd ja? A przecie dola jedna i jakby jedna dusza, o, tak, jednako płacze i boli. Gadał mi kiedyś o tej

swojej Polsce, że oni niby teraz razem z Rosją i dla swojej Polski także z niemcem i austryjakiem się biją, żeby go za dziesiątą granicę przepędzić, gadał, kiedy był przytomny, a to przecie może być,—no, to szczęść, Boże! I taki przywiązany do swojej wiary i języka i po naszemu mówi śmiesznie, że no. Opowiadałem mu i o tobie często, kiedy jeszcze w pułku razem zdrowiśmy byli. A teraz w gorączce się rzuca i gada swoje polskie słowa i jakby nagle twoje imię wykrzyknął. Jezu Chryste... Czy nie zły omen, czy tam nie widzi w gorączce ciebie w złej doli, lub przygodzie, lub grzesznej myśli, czy może tylko swój dom, ojca i matkę, narzeczoną, a może tę swoją Polskę, a może—śmierć swoją widzi?

Boże, Boże... Bądź miłościw jemu grzesznemu, i mnie bądź miłościw, i tobie, kochana żono, Jewdokjo Pantielejmonówno, i dziatkom naszym...

Na polu bitwy nie bałem się śmierci i trupów. A tu się boję i nie trza, by ten polak umierał. Mówiła już siostra, że z nim źle. Robią mu ciągle ciepłe okłady, dają mu jakieś djotale i guajakole, że wymówić tego nawet nie sposób, i nawet nie ma tu z kim serdecznie, gdyby oprzytomniał, może już przed śmiercią, po swojemu porozmawiać: same my tu nie jego.

Modliłem się za niego. Pomódl się i ty, żono kochana. Za raba bożego, Stanisława. Dobry chłopak i kolega. Może modlitwa twoja co pomoże?

Bóg ci nagrodzi: wstrzyma od złej myśli, gdyby była, Jewdokjo Pantielejmonówno.

Żegnam ciebie i całuję cię, kochana żono, i całuję i ściskam dziatki. Kłaniam się szwagrowi Prokopowi i siostrze Matrjonie, i kumowi Iwanowi i kumie Anastazji. Kłaniam się batiuszce Symeonowi Aleksiejowiczowi i matuszce Marji Wsiewołodównie i wszystkim. Adresuj, kochana żono, tak: Charków. Szpital ziemski. Sala № 2. Szeregowcowi Tryfonowi Prokopowowi.

Twój mąż

Tryfon Agafonowicz

PROKOPOW.

Nie dziw się, żono kochana, że list przydługi, ale tak się raduję, że pisać umiem i że kiedy piszę, to jakby i głowa boleć przestaje, i w uszach nie szumi i nic nie dolega, a w sercu jakby kto ciepło rozlał i słodkość jakąś i tęskność, ale—inną.

Rapperswil.

Kochany Bohdanie!

Po wielu pewnie krętych wędrówkach nadszedł twój list, za który ci szczerze wdzięczny jestem. Wionęło na mnie znowu zapachem ojczyzny, starych kątów, co wspomnieniem zasiadły tak głęboko, nieledwie odwiecznie, w sercu. I znowu poszła myśl na owo błądzenie bez kresu, by przyczaić się nagle, umęczona.

Boże... Wierzyć prawie nie chcę. Widmo, co w tęsknocie przybierało kształt rzeczywisty, może ucieleśni się naprawdę i, nim oczy zamknę, doczekam się jeszcze tej jawy? Drogi siostrzeńcze! Twój stary wuj, pamiętny słów swej przyjaciółki-siostry, chciałby wniknąć bystrzej jeszcze w jej słowa przedśmiertne: «Może ty ujrzysz to, na com ja próżno czekała?»

O czem myślała twoja matka? To mię tak zawsze męczyło! O czem myślała? Co, w agonji już, gasnącemi chciała wyrazić ustami? Te oczy jej bolesne i ta twarz, pełna męki, nie wychodzą mi z pamięci. I teraz, u schyłku dni moich, przyszła, zdaje się, odpowiedź: my znowu mieć będziemy— Polskę.

Jezu, Jezu... Jezu miłosierdzia i łaski, Jezu żywy, ukrzyżowany na drzewie hańby i ukoro-

nowany koroną szyderstwa, przebity włócznią wzgardy, Jezu-Boże, sędzio i zbawco żywych i umarłych, do Ciebie zwracam usta oniemiałe i pytam, Panie przenajświętszy: zali odgadła ma dusza?

Modlę się. Modlę się, drogi Bohdanie, coraz częściej. Nietylko z strachu przed odejściem na wieki i z strachu za popełnione świadomie i nieświadomie grzechy, lecz i z pokornej, błagalnej chęci przyczynienia się modlitwą starca do pobłogosławienia przez Boga, w Trójcy świętej utajonego, naszej przesłodkiej ojczyźnie.

Może los, Nemezis życia, chce, by Polska przyszła stamtąd, skąd nikt w narodzie jej nie wyglądał? I może los, Nemezis życia, da, że stanie ona przed wzrokiem duszy w całym majestacie tego dostojeństwa, które nawet ojce i dziady nasze za *nie* niegodne uznali?

Boże, mój Boże! Niech stary słuch, wytężony w stronę rodzinną, posłyszy biegnący głos ziemi mogił i krzyżów, która, choć nowemi tak hojnie usiana, życia pędami znów zakwitnie.

Osłabły dłonie moje. Nie tak łatwo mi pisać i nie dowidzą oczy moje. Ale chęć, potrzeba mówienia wypełniają duszę mą i słowa, przelane na papier, pragną być tak liczne...

Samotność ma znika prawie. Jestem wśród nowych myśli, otoczony niemi, i pochylam ich

świeżą i pachnącą treść ku sercu, by drgało znowu. Tający się w niem płomyk rozgorzał mocnem światłem i obczyzna, co tak wtrawiła się w czucie, mniejszą się wydaje. Jakby coś z własnego, rodzonego wytoczyło się z kątów chłodnej lub «poczciwej» obojętności i tchnęło w ducha ciepło, bez którego nie żywią nawet złudzenia. Jestem jakby znowu trochę w Polsce, na swoim szmacie drogiej ziemi. Oddycham znowu trochą swego powietrza i mówią mi jakby ściany mej izby: polska nas dźwigała dłoń.

Narodowa izba powstaje, a jakaż ją dźwignie polska dłoń? Bo przecie, gdy kur pieje i ocyka się z śpiączki dziejów los, należy nam, dzieciom swojej ziemi, o tem myśleć! Nazwano nas zmartwychwstającym Łazarzem. A tak trzeba, by w nas Łazarza nie było przecie—nic. W kręgu ducha.

Ty, co na tej ziemi żyjesz, mniej może dojmująco odczuwasz drgnienia konwulsyjne jej serca, niż stary twój wuj, w mogiłę kierujący oczy, a przecie wyostrzający wzrok i słuch, by usłyszeć i zrozumieć wszystko. Ostatni etap mego życia! I, stęskniony do ojczyzny wieczystej, przypadam zmartwiałemi ustami do stóp doczesne i całuję święte rany, szlochu pełny.

Płakałem... W samotnej duszy rozmowie — nietylko przed krucyfiksem. Słabym na duchu i na ciele, ale jest we mnie siła niewysłowna. Wierzę w niepożytość i przyszłość tej ojczyzny.

Jeno na straży nam trwać myśli swojej i świętej matki stać się godnymi synami...

Już czas! Już czas! Niech słowa najlepszych polaków, co padały w serca polskie nadaremnie, staną się wreszcie czynem!

Powinieneś być szczęśliwy, że los tobie, twemu pokoleniu, daje tę cudowną możność i ten święty obowiązek. O, wybrany! O, wybrani! Nas, niedobitków przejściowego pokolenia, policzkuje i razem napełnia bezbrzeżną radością wasze szczęście.

Z posiewu krwi ma powstać posiew odrodzenia. Ale niech krew, która krwią nigdy być nie przestaje, niedarmo przynajmniej wytoczona będzie i niech to odrodzenie ujrzę przed skonem— w was.

Umrę spokojnie i z uśmiechem. Na kolanach ducha doczołgam się do drzewca krzyża na Golgocie świata i spojrzę z bezmierną nadzieją w gasnące, a mające zmartwychwstać po śmierci, oczy słodkie—Pana.

Mój koniec niedaleki. Ale ty sprowadzisz proch mój i prochem wsiąknę w ojczyznę swoją ziemską, która nigdy nie przestała mi być macierzą.

Myślałem nieraz z przerażeniem: dlaczego ja, wychodźca z musu, stałem się w ostatnich latach wygnańcem dobrowolnym? Przecie me przywiązanie *dla niej* nie umarło nigdy ani na chwilę.

Lecz sądziłem, że nawet tak, jak jej tu służyłem, służyć było i jest moim obowiązkiem—do ostatka.

Spocząć jednak *muszę* w *niej*. Ty słyszysz?

Pisz, pisz do mnie. Teraz więcej jeszcze, niż kiedykolwiek, listy twe przynosić mi będą nietylko zapach ziemi rodzinnej, ale i nieco z tych dreszczów, co zaczynają jej sercem i jej ciałem wstrząsać.

Ściskam cię mocno.

TEODOR.

Paryż.

Koleżko...

Niedaleko *Gare de Lyon* «kwitną» nasze koszary ochotników (wolontarjuszy). I tu właśnie, nim wyruszę dalej, czynię studja. Albowiem, jak wielu z «bohemy», zamieniłem ołówek i pędzel na karabin. Powtarzają się hece. Czym ja pierwszy polak od czasu, gdy Polska swych marnotrawnych, albo całkiem sprawiedliwych, synów po świecie rozsypuje, by się bili o «wolność waszą i naszą?»

Jestem żołnierzem, *le pantalon rouge, le petit soldat.* Okropnie trudno mi uwierzyć, że tak niedawno jeszcze, właśnie jakby wczoraj, trwałem sobie, jak ptaszek, na swojej mansardzie po tamtej stronie Sekwany i, gwiżdżąc nietylko na większość przesądów zasadniczo, ale gwiżdżąc od rana do wieczora, a często i w nocy, wogóle, roiłem...

Leciała na mnie Nini, o której ci kiedyś w liście wspominałem, ta cacana brunesia z wielkiemi, trochę przestraszonemi, ślepiętami i prześlicznemi śmiało-bezczelnemi ustkami i gębcią, biorącą zlekka w kraj pokus. I było nam dobrze. Żadna wojna nam się nie przyśniła, a szwabów wspomina-

liśmy tylko, gdy zanadto po komiwojażersku «hulali» na Montmartrze (och, ci «turyści»), dokąd się czasem zajrzało. Pasłem się na łące prawie sielanki i nawet mój stary w swej Kiernozi, Ostrowiu łomżyńskim, był przekonany, że mi do ptasiego mleka tylko jeszcze dodatkowych piętnastu rubli na miesiąc, któremi ani rusz utuczyć mnie nie chciał, potrzeba.

A tu nagle: bitka! Szwabji z Francją, Anglją, Belgją, Rosją. Jakby ukropu z ukrytego leja spuścił. Zagotowało się, że aż cudo. A nasz świat—z pod nieba—na sam bruk trzeźwości się grzmotnął.

W kącie teraz malatura, poetyczność, wszelki kaliber sztuki. Co chcesz! Przecie szwab Paryż już nieledwie obwąchuje, a, gdyby mógł, do najsmrodliwszej kloaki paryskiej ryjby wtłoczył. Więc: *Aux armes, citoyens!* I, gdy gruchnęło po całej Francji, zagarnęło i mnie, że to zawsze czułym na umizgi. A, choć płacze Nini, rzekłem jej: «Wierz-że w szczęśliwą mą gwiazdę, ty, bąku!»

Jest nas polaków tu odrobina. Mamy pójść do własnego oddziałku, jakgdyby plutoniku. Ale czy to prawda? Będziemy frędzelkiem «ogólnej siły zbrojnej polskiej», rozproszonej, bez względu na konieczność, czy dobrowolne «orjentacje», po armjach: belgijskiej, rosyjskiej, austryjackiej, niemieckiej, może nawet serbskiej? Strach pomyśleć, koleżko: przecie my tak, jakby z Polsk różnych?

Wiesz, koleżko. Panowie francuzi nietyle może nienawiść czują do Schultzów i Müllerów, co pogardę lub szyderczy obrzask. I zdaje mi się, że pomimo wszystkich paskustw, któremi dzieci niemieckiego raju w Belgji i we Francji się już odznaczyły, to uczucie właśnie będzie wojnie z nimi nadawało ton... ton...

Ja, co tak lubiłem zazierać do wszelkich dziur świata, by uszczknąć choć czasem jakiś kwiatek wrażeń, skłamałbym, gdybym oświadczył, że w naszej teraźniejszej budzie—nudzę się. Cho! Naturalnie, trochę choćby mimowoli, zajmuję się czasem podrzucaniem «sous» w górę: orzeł czy reszka—zginę, czy będę żył? Ale najwięcej zawdzięczam swe wzruszenia pstrej (duchowo) gromadce hrabiów, co się zlecieli na odgłos hasła wojennego, a teraz trwają w koszarach ze mną, by niezadługo już może pożywić sobą wyloty karabinów i armat.

Mówię ci: uciecha. Co numer, to typ. A, gdy się przypatrzysz tak lepiej: ludzie przecie, z krwią żywą.

Wszelki wiek, wszelki stan, rozum, talenty, inteligiencja, charakter, skłonności, zalety, wady, narodowość. Wszelki wiek i narodowość, to najgłówniej. Filozofowie i głuptasy, karjerowicze i «ideowcy», przyzwoici i nieco, z przeproszeniem, szubrawcy. A że jestem «maljarz», więc sobie przynajmniej zewnętrznie ich szkicuję, by nie-

prawym prawnukom Nini i swoim na chwałę przekazać.

Mówił do mnie jeden z «filozofów», pięćdziesięcioletni hiszpan z pod Kordoby, handlarz «pomeranców» i innych daktyli w tutejszym Babilonie: «Pan polak? No, tak! A czy to prawda, że wy, polacy, w swojej Syberji tak marzniecie, że nawet pod łóżkami macie rury z parą, która jednak w samej rurze często w lód się zmienia?» Odparłem, to jasne, że «tak». I byłem dumny, iż wszędzie, nawet w koszarach wojska Rzeczypospolitej, mamy honor być choć nieco znani. A anglik-ochotnik, co stał obok, przysiągł, iż polaków zawsze szanował, bo, jak słyszał, jestto naród, który, choć nie ma whisky i porteru, urzynał się do ostatnich czasów z większą jeszcze, niż oni, anglicy, fantazją. «Cóż zaś będzie teraz — dodał nieco smutno, — gdy, jak piszą gazety, wy wszyscy rosjano-polacy dostaliście na wojenną rozgrzewkę wstrzemęźliwość?»

We Francji inaczej, na szczęście! Tu wal, ile dusza pragnie, aby było za co. Jeden absynt jeno, jako zbyt jawnie figlarny, znowu w urzędowej niełasce.

Trzymając tu sztamę tak bezpośrednią z cudzoziemcami, jeżdżę w ten sposób bezpłatnie w wyobraźni po szerokim świecie i przygotowuję się do jazdy po szerszym jeszcze, któremu na imię: wieczność (o ile istnieje!) Lecz prawda! Mam

mieć z Nini prawnuki nielegalne przecie i zresztą tej małej kazałem wierzyć w szczęśliwą swą gwiazdę.

Gdyby zagranica, mająca w naszych koszarach swych przedstawicieli, wiedziała, jak może być dumna z tej swojej pomocy pięknej gallce! Omal brakuje między nami niemców. To byłoby najtreściwsze, co?

A że tu wogóle groch z kapustą jest najwybitniejszą treścią, więc cóż dziwnego, iż w republikańskich szeregach tkwi garść wiernych sług ex-królika portugalskiego, Manuela, co maczali swe gołębie serca w occie bólu za tego «biedaka», a łapkę w jakichś usiłowaniach przywrócenia strąconej jego wielkości? Oni gaworzą też o Polsce. I zapewniają, że jeśli Polska, jak czytali gdzieś, zostanie przeniesiona nareszcie do Brazylji, a oni nie zginą, to chętnie zapiszą się na instruktorów do jej przyszłego wojska.

A więc Polska nie umarła w wdzięcznej wiadomości ludów, jak widzisz, i raz jeszcze stwierdzamy to tu. W tej epoce, pojmujesz, to coś! Bo, gdy «sprawa polska», znów, jak upiór, przez dzieje jest wywlekana, by przestać być upiorem, dobre i takie, o la la, wstępy.

Moc się przewija przez nasze koszary «publiczności». To znaczy wszystkiego, co nie jest nami, ochotnikami. Pobędą krócej, dłużej—i idą dalej. Panowie anglicy, turkosi («malo-

wane djabły»), piechurzy, co brali udział w bitwach ostatnich, z utrudzonemi kosteczkami, żuawi... «Zabity»... «Raniony»... «Kontuzjowany»... «Bitwa»... «Armaty»... «Kartaczownice»... «Granaty»... «Szrapnele»... «Bomby»... «Samoloty»... «Okopy»... «Reduty»... «Wilcze doły»... «Płoty kolczaste»... «Miny»... «Salwy»... «Ataki na bagnety»... Ciągle w kółko się to słyszy. Przygotowują nas. Ci przynajmniej nie mówią nic — o Polsce.

Nasz polski oddziałek ma otrzymać sztandar z białym orłem. I gdy popychanym z tyłu bagnetem i ostrzami pałaszów przez pruskich podoficerów i oficerów braciom naszym, polakom, pruskim żołnierzom, rozkażą iść do ataku i gdy iść będą na nas, widząc tego orła?...

A niemcy zagrają im może, jak kiedyś, by szli raźniej: «Jeszcze nie zginęła?...»

Ściskam cię, koleżko. Pisz pod adresem starego Jamerin'a, jak dawniej. On mi przeszle twój list tu, czy gdzieindziej, gdzie będę.

Gadaj, a dużo, co się dzieje u nas. Mój ty!

No, całuję.

BOGUSŁAW.

Warszawa.

Szanowny Panie!

List pana, otrzymany dzisiaj, wprawił mię w głęboką zadumę. Przeczytałem go, wyznaję, kilka razy, by nie przeoczyć niczego i zrozumieć, wedle możności, najlepiej wszystko, co zawiera, bez nadawania niektórym słowom i zdaniom znaczenia, przeinaczającego nieco myśli pańskie, albo zgoła je wykoszlawiającego. Czytałem nawet nieco ze wzruszeniem. Zbyt żywo uderzają w najczulsze dla nas struny i zbyt jaskrawie wyszarpują z duszy naszej wiele z tego, co dla niej jest tak ważne.

Nie zapomniałem też, czytając, że choć jesteśmy—pan i ja—już od lat kilku w stosunkach zażyłej, listownej, niestety, przeważnie tylko, znajomości, a nawet, może, i nieco przyjaźni, to przecie teraz odezwał się pan do mnie, jako do polaka przedewszystkiem, przedstawiciela, w charakterze redaktora i działacza społecznego, znacznego odłamu społeczeństwa polskiego — i też jako przedstawiciel odłamu swojej społeczności, zajmujący w niej tak odpowiedzialne i wybitne stanowisko i słynący z swej wiedzy i talentu.

Pan żąda odpowiedzi. Pan mówi, że w Rosji jest wielu takich, jak pan, coraz więcej. I że, odzywając się do mnie, odzywa się pan w imieniu większości Rosji do większości Polski.

Ja, naturalnie, odpowiem, skoro pan żąda tego. Może i bez żądaniabym odpowiedział. Życzliwość, przebijająca z listu pana, daje mi przekonanie, że odpowiedzieć byłoby obowiązkiem.

Doznaję również wrażenia, że, chcąc nie chcąc, będę istotnym wyrazicielem opinji wielu, bardzo wielu w swym narodzie. Ale, ma się rozumieć, dzieląc się z rodakami treścią mego listu, o ile pan to uczyni, musi pan pamiętać, że pisała go bądź co bądź—jednostka.

Żałuję, że nie mogę być teraz w Piotrogrodzie. Tam, u źródła, a może i w Moskwie, gdzie także znam tylu wybitnych rosjan, w gorących rozmowach łatwiej zrodziłoby się wzajemne, bodaj częściowe, zrozumienie się.

Na przełomie dwu epok stanęliśmy, my i wy, i, związani przez fatalizm, mamy krzepko i trafnie rozciąć gordyjski węzeł wszystkich niedomagań wspólnego istnienia...

Pan ma słuszność: nie oczy całej Słowiańszczyzny jedynie, lecz oczy całego świata cywilizowanego i myślącego zwracają się ku Rosji i Polsce, które znowu mają sobie coś do powiedzenia i których słowo, wyzwolone z oków

mroku, ma przetworzyć się w niosący życie czyn.

Ale nietylko Rosja urzędowa zwróciła się ku nam, polakom, z swem zainteresowaniem. Uczyniliście to przecież już nieco wyraziściej i wy, Rosja obywatelska, i z tem nam się, jak rozumiem, szczególniej liczyć należy.

Wy! Rosja bezimienno-imienna, Rosja jednostek i tłumu, Rosja północy i południa, wschodu i zachodu, prawicy, środka i lewicy. Jak zobaczyła was obie, Rosję urzędową, którą rozum stanu, wskazania polityczne i potrzeby państwowe pchnęły na nową dla niej, *istotnie* słowiańską drogę, i tę drugą, obywatelską, i jak zrozumiała — nasza Polska?

Głębokiemi bruzdami poznania wżłobiły się historja i nauka życia, nietylko lat ostatnich, lecz i całego okresu porozbiorowego, w moją ojczyznę. Polska, rozszarpana, zrastała się duchem, myślą cierpliwą i cierpiącą przenikając do rdzenia rozumu bytu. Ale Polska, pomimo wszystko, płaciła dań błogiej klątwie swego charakteru: była entuzjastką. Nawet straszliwie trzeźwi polacy poznańscy mogliby coś o tem powiedzieć. W porywie szaleństw i błędów zachowała przecie swe dostojne wartości moralnej i zdolności, prawa do istnienia oblicze.

Nie mamy potrzeby żądania od tworzących historję rosyjskich czynników urzędowych zapału

czy uniesień. Lecz skłonni jesteśmy, my, wieczni polacy, dostrzegać je, bodaj minimalnie, w was, w tej drugiej Rosji, która bądź co bądź tej pierwszej życie daje i za podporę jej służy.

Polska, wieczna eutuzjastka, czujnie wpatrzona w źrenice narodu rosyjskiego, nasłuchuje tętentu konia tego jeźdzca cudownego, co ma przynieść wieść o istotnem przecknięciu dusz. Z głęboką dobrą wolą i dobrą wiarą stoi wielka boleśnica na cierniach swojej drogi.

Jest niesłychanie ważnem, byście wy, rosjanie, należycie czuli i rozumieli, choć się wam może, wybaczcie, szczerze zdaje, że rozumiecie, olbrzymią cenność przeżywanych polsko-rosyjskich chwil. Historja powtarza się—i nie powtarza. Niezmierny takt, nietylko rosyjskiego państwa, rozwaga, trafność, instynkt waszego społeczeństwa są potrzebne do poniesienia godnie odpowiedzialności, zaprawdę niewymownej, przed współczesnością i potomnością za wagę historycznej chwili.

Trzeba nam się znać dobrze wzajemnie, pan ma zupełną słuszność! Ale my, pozwolę sobie z naciskiem zauważyć, znamy was daleko lepiej, niż wy nas. To nie zaślepienie, ani przechwałka. Naszem nieszczęściem jest, że wielu z was mniema nas znać tak dobrze. Od zachwytów, często nieuzasadnionych, do jawnych lub ukrytych oskarżeń, niechęci, czy potępień, bez pośredniej przed-

miotowości, i tak przeważnie, — jesteśmy z tem, niestety, otrzaskani.

Przy politycznem szeregowaniu, przy moralnem o nas stanowieniu, nie zapominajcie, prosimy was, o tem! Wasi publicyści, dziennikarze, pisarze polityczni, beletryści nawet, wreszcie reszta obywateli, mają wdzięczne po temu zadanie. My, polacy, wielki krok, zdaje się, naprzód w chęci, potrzebie i obowiązku patrzenia możliwie trzeźwo i *sprawiedliwie* na was zrobiliśmy. Przyznają nam to często nawet niechętni nam. A Słowiańszczyzna, która ma w was i w nas oczy wpatrzone, zapiera może oddech.

Przeżarta bólem i doświadczeniem i niedolą swą jest dusza nasza. Zali naprawdę chce się otrzeć nareszcie o nią swem skrzydłem rosyjska narodowa dusza powszechna, zrozumieć ją, odczuć do cna i tchnąć w nią ciepło wszystkiego, co ma najszlachetniejszego w sobie? Czy potraficie wy, *tylko* rosjanie, dobyć z krwi serc naszych polskich czarowne zaklęcie, na które ozwiemy się — duchem?

To są zagadnienia, co klinem wbijają się w umęczoną, ukrzyżowaną duszę naszą. To jest ważne! My—dwie potęgi w Słowiańszczyźnie i od nas, Rosji i Polski, zależy, jak pan to sam zaznaczył, dalszy układ bytu nietylko jej, Słowiańszczyzny, lecz i całej Europy, a przez nią—bodaj trochę—i świata całego. Dwudziesty wiek, jak

zeznają jawnie i skrycie nawet cudzoziemcy, ma należyć przecie istotnie do słowian!

Cóż mam rzec jeszcze? Oko świata, pełne oczekiwania, skieruje się *najpierw* na Rosję. I nie-tyle na Rosję urzędową, ile na was, obywatelską. Jakże bardzo panu dziękuję za powtarzane nieraz w przeciągu lat wyrazy sympatji dla mego narodu! Ale jak gorącobym pragnął, by teraz, gdy nadchodzi, gdy przyszła już może chwila czynu, ta Rosja obywatelska, z gleby której czerpie i czerpać będzie *zawsze* soki Rosja urzędowa, w sposób najwszechstronniejszy i najsprawiedliwszy, w sposób, ujmujący prostotą i serdecznością, przygotowywała przyszły czyn państwowy.

Słowa szczerej życzliwości i głębokiego poważania przy sposobności przesyłam.

ALBIN MANECKI.

(Po niemiecku).

Berlin.

Władysławie!

Gdy powierzam teraz te słowa papierowi, myślę mocniej, jeśli to możliwe, o tobie, owijam się czuciem całkiem wokół ciebie, ty, drogi. Radością i strachem napawa mię to pisanie. Oto znowu, jak dawniej, pójdę sercem ku tobie, by oddać ci nową cząstkę siebie. Ale czy ty jeszcze o mnie pamiętasz? Czy chcesz, lub potrzebujesz tego? Czy jestem jeszcze dla ciebie chociaż przyjaciółką, serdeczną siostrą duszy?

Łzami wzbierają mi oczy... Czy jestem jeszcze dla ciebie chociaż przyjaciółką? Czy myślą zakrążysz choć czasem nademną i wspomnisz miłość dla ciebie—kobiety?

Drogi, drogi! O, jak w te straszne czasy obecne dopiero w pełni występują z umarłej niedawno przeszłości błyski chwil, spędzonych z tobą! To ledwie kilka miesięcy temu, a jakby demon zepchnął je po za granicę wszelkiej rachuby, uczyniwszy pół-wiecznością. Niema nawet żywego ich cienia! I ten Berlin, w którym tyle kamieni mówiło mi o tobie, milczy teraz.

Ale zato jest mowa inna, wydławiana nietylko z ust wszystkich prawie tu ludzi, lecz i z ust atomu każdego powietrza. Jak oddychać tem? Jak

to odczuwać? Szybuje myśl, wyzwalając się z kajdan ludzi i murów, w przestworza dalekie, w błękity Italji, czy pod niebo polskie, czy kędyś nad Ocean Spokojny, albo pośród chmury, co, pełne gromu, ludzką krwią płaczą...

Strach przeszywa mi serce: co z tobą? Z pierwszej korzystam sposobności, by się odezwać do ciebie. Jedzie Oskar w interesach do Sztokholmu. Stamtąd wyszle ci ten list. Oczywiście, zarekomenduje go. I ty go otrzymasz, drogi. O, jak się cieszę, że znów mogę mówić z tobą! Ale twoje słowa? Pamiętasz-że jeszcze o mnie? Czy jestem jeszcze dla ciebie—czemś?

Co z tobą?! Gdyby wydrzeć przestworzu odpowiedź!

Pocieszam się i trzymam pewnością, że, nie służąc nigdy w wojsku, nie podlegasz tem samem, wedle praw państwa, do którego przynależysz, powołaniu. Lecz jeśli brać będą u was pospolite ruszenie? Pamiętasz, gdyś ze śmiechem mówił mi kiedyś, że w razie wojny wzięliby cię, jako landszturmistę, dla ochrony «bab i dziewek?» W razie wojny... I czy przeczuwaliśmy, że ta wojna—tuż? A jeśli ochrona «bab i dziewek» będzie ochroną tego, co moi rodacy, niemcy, karabinem, bagnetem i armatą wziąć pragną?

Nie, nie! Pocieszam się tem, że Rosja tak olbrzymia i do kolei na landszturm w niej nie dojdzie!

Ty żyć będziesz, żyć musisz. I wszystko jedno, czy zobaczę cię jeszcze kiedy w życiu, czy nie. Ty żyć musisz dla matki i dla samego siebie.

Błądzę z głuchą w duszy rozpaczą po żałobnych ulicach przeszłości. O, jak boli serce i jak trudno powstrzymać łzy, co dławią. Myśl ma czasem martwa. Zda mi się chwilami, żem wszystko już pogrzebała, com miała.

Oskar po wyzdrowieniu na chwilowym urlopie. Zaraz po powrocie z Sztokholmu znowu na pozycje tam do was. Gdy pomyślę, że mógłby się tam spotkać, oddzielony odległością strzału karabinowego, z tobą, lub z kimś z twoich, krew ścina się we mnie. Oskar! Ten mój ulubiony brat.

Ojciec zatruwa mi życie z podwójną gorliwością. Całe prusactwo jego duszy ujawniło się już bez skrupułu. Często zamykamy się we dwie z matką, by uniknąć wylewów tych klejnotów...

Klara w szpitalu, jako siostra miłosierdzia. Ja też. Chodzę akuratnie i całymi prawie dniami oddaję swą małą pomoc tym nieszczęśliwym.

W swoim stroju samarytanki podobna, mówią, jestem do żałobnicy, co już zapomniała o uśmiechu. Skąd ma się wziąć ten uśmiech na mych ustach, nawet przez pomyłkę, Władysławie?

Jeden z chorych, przypominający cię trochę z twarzy, gdy, widząc jego cierpienia, położyłam mu dłoń na czole i przegładziłam mu je, wziął tę dłoń i, popatrzywszy na nią i pocałowawszy ją,

rzekł dziwnie i cicho: «Jaką ty masz śliczną dłoń, siostro!» Łzy pociekły mu z oczu na dłoń moją. Trzymał ją w obu swoich i całował... Nie miałam serca cofnąć mu jej. I po chwili, patrząc przez wilgoć łez swoich, spytał: «Ty płaczesz, siostro?» Płakałam... Wspomniałam inne słowa i pieszczotę, którąś dawał, wspomniałam pocałunki ust twych, składane na tej samej dłoni. Uciekłam.

Byłam kiedyś w Tiergartenie. Już martwe tam wszystko. Patrzałam na te same krzewy i drzewa i myślałam ze strachem: zali wiosna była naprawdę? Zali tu właśnie, tuląc się do ciebie, pieściłam oczy słońcem i wystrzelającą nowymi pędy zielenią? Zali te czarne i suche dzisiaj gałęzie świadkami były naszego *wspólnego* tu błądzenia?

O, jak ciężko i straszno. Grzmiała skądeś muzyka przechodzącego pułku i słyszałam jęki konających, co wwięzły we mnie we wszystkie dni i noce szpitalne, i runęły na mnie szlochy matek, sióstr, żon i kochanek, przerażony okrzyk ziemi i krakanie kruków i wron...

Czasem idę naumyślnie tą drogą z Charlottenburga (szpital mój w Charlottenburgu) do Poczdamskiego placu, którą wracaliśmy wtedy na wiosnę nocą, pamiętasz, po balu w «Austellungsgebäude»? Już niema nalanych lepem i rozchylających się pąków kasztanów, ulubionych pąków ulubionego twego poety, Wyspiańskiego. Jak mogilne stróże stoją drzewa, milcząc.

Byłam raz w Elsbethhöhe. Cały dzień przebłądziłam po lesie i na każdym kroku szukałam śladów twoich: zdało mi się, że być powinny. A później długo siedziałam nad jeziorem. Gwiazdy wypłynęły z za opony i leżały martwo, przeglądając się w wodzie. I wszystko było martwe. Tylko serce huczało mi w piersi i żywy był podmuch, taki sam, jak wtedy, pamiętasz, gdyś mię woził w łódce po stawie. I szeptał ten podmuch, szeptał...

Poszłam do willi i zamknęłam się. Noc spłynęła i ogarnął mię złowróżbny spokój. Spokój duszy? Myśli? Nerwów? Chybotały się płomienie świec, tak jak wtedy, gdy trzymałeś dłoń mą w swojej. I słuchałam głosu twego, którego nie było, i wczuwałam się w ciebie, niebędącego. Ze wszystkich kątów i szczelin, z wszystkiej przestrzeni, szedłeś ku mnie i brałam cię w siebie, bezwładna. O, jak straszliwie smutno... Życie, czucie, myśl— wszystko stapiało się w chaos. I, trwając, trwać przestałam. Jacyś anieli przyszli po mnie i uleciałam na ich skrzydłach ku krainie Dobra, gdzie niema ni płci, ni wieku, ni narodowości, ni pożogi, mordu, grabieży, nienawiści, zła, pospolitości, brudu, gdzie wszystko jest czyste i piękne i wieczne. I byłeś ty tam także, już duch bezpłciowy i bezcielesny. I spostrzegłam, że ty—to ja właśnie, a ja—ty.

Drzwi się otworzyły, ktoś dotknął mię. Drgnęłam. To była Frau Kolitz. Patrzała, zdumiona.

«Pani tutaj?»—spytała.—«Ja właśnie z Weichterfelde—ciągnęła,—a że przewoźnik się upił, więc nie mogłam tak zaraz przez jezioro. Otwieram swą chatę, ale patrzę: świeci się w willi. Mój Boże, cały dzień w Weichterfelde byłam, a pani tak z Berlina niespodzianie?.. Kto pani usłużył—na tem odludziu? I tak pani siedzi, choć w futrze, w lodowatej willi?»

Uspokoiłam Frau Kolitz, że mi nie jest zimno. Bo i nie. Grzałam się wszak ciepłem drogich wspomnień. I że nie potrzebuję usług, bo czyż dla wycieczki, «zimowej majówki», przyjechałam do zamiejskiej willi ojca, w której z tobą w Maju sam na sam kilka tych szczęśliwych dla siebie godzin przepędziłam? Frau Kolitz napaliła w piecach i przygotowała kolację. I, gdy poszła do swego domku i zostałam w willi sama, oświetliłam wszystkie pokoje i, wziąwszy do ręki książkę, którąś przeglądał tego wieczoru, wówczas, utonęłam w tobie...

Rano, gdy wracałam przez las na stację, szedłeś jakby koło mnie. Wspominałam twe słowa: «Po starej słowiańskiej ziemi kroczę. A teraz to, mój Boże, Brandeburgja!»

Patrzał na mnie ten piasek brandeburski, który ty tak polubiłeś, i naginały się ku mnie chojary brandeburskie, które ty gładziłeś. I zrozumiałam raz jeszcze: to wszystko jest także twoje, jak wszystko jest—człowieka.

Gdy krew wokół, dziwnie i dziko wygląda trwanie powszednie, choćby i z barwą «od święta».

Koncerty, teatr, życie towarzyskie... Zamknęłam się, jak ślimak w skorupie. Szpital i przechadzki i smutne rozmyślania wypełniają mi dni. Poezje pisać przestałam. Nawet muzyki swej nie tykam.

Czasem przejrzę mądrą książkę. Ale widzę wówczas jeszcze boleśniej, jak w życiu czyn od słowa odbiega.

Odpowiedz ty, drogi. Wyszlij list pod adresem: Sztokholm. Hotel «Metropol». W-ny F. Noansen dla H. Oskar go uprzedzi i ów znajomy odeszle mi twój list do Berlina zaraz po otrzymaniu.

Z duszy cię pozdrawiam! Tulę twe dłonie i skronie.

HERTHA.

Trawniki.

Droga...

Zdaje się, że rzeczywistość, którą przeżyliśmy, powinna być tylko snem, jednym z tych, które chora, lub zwyrodniała, wyobraźnia rodzi w przystępie paroksyzmu. A przecie...

Jęk, co zawisł nad ziemią, nie skonał. Skonać nie może i uderza echem w strop mroźnego błękitu, chcąc rozedrzeć oponę i ujrzeć, jak w naiwnych wierzeniach, groźne Boga oblicze i usłyszeć ust Jego wyjaśnienie...

Dochodzi mię, gdy to piszę, głos dalekiego dzwonu kościelnego. Na Anioł Pański dzwonią, jak kiedyś, jak zazwyczaj, prawie odwiecznie. Ten lękliwy nieco, drżący, monotonny dźwięk ocalonego dzwonu ocalonego cudem kościoła wzywa jakby żywych i umarłych na sąd.

Oczy suche. Nie mogą i nie umieją już opłynąć łzami. Co łzy? Jeszcze widzę krew, cieknącą cienkim sznurkiem z oczodołów jednego z trupów, i słyszę płacz tej krwi.

Gdybyś tu była ze mną... Są chwile, gdy ręce me wyciągają się ku tobie, a głowa pragnie przylgnąć do twej piersi, by pieszczota i ciepło kochanki ogrzały owionięte lodem życia skronie.

Ten lód wżera się w mózg i zastyga myśl, a serce kurczy się, jak ptak, skazany na zgubę, który przeczuł śmierć swoją. Ale się wzdrygam. Teraz, gdy stało się to wszystko, nie miałbym prawa poczuć cię przy sobie, wziąć cię w objęcia, nawet dla dania nowego życia skostniałym: myśli i czuciu.

Już tydzień, jak odeszli austryjacy. Pomiot ich tchnienia zczezł, ale zostało dzieło, straszny dowód. Ścigają ich rosjanie. Toczą się wszędzie krwawe bitwy i powiększa się to morze krwi, w którem zatonął okręt lepszej wiary ludzkości.

Ruiny i zgliszcza... Stada wron i kruków czernią się. To grobowe i nędzne krakanie jest jedyną teraz, i czy tylko tu?—pieśnią życia.

Olbrzymie cmentarzysko, które rozpełzło się wokół, pokryje się tak szybko runią zapomnienia i istnień nowych. Lecz kto wydrze ziemi te wszystkie trupy, co polskim krzykiem rozpaczy i groźby wołają aż pod same niebo? Słyszę ten krzyk! W trzewia moje wrósł i szarpie mi je i skłóca się we mnie z głosem mej własnej rozpaczy, pohańbionej mej ludzkiej wartości.

Krzyże, krzyże... Czasem wetknięte poprostu mieczyki austryjackie, krzyże nie Chrystusa, lecz tego Antychrysta, którego ciągle wyglądamy i który od narodzin świata już na nim wiecznie trwa.

Bratnie mogiły... Kłamstwo, że śmierć ich zbratała! Polski Kain legł koło polskiego Kaina i hjena koło hjeny i szczerzą się, nawet tam,

w tym «bratnim» dole, kły — na zgubę wzajemną.

Wszystkie przeżyte przestrachy, wstrząśnienia, wszystka krzywda materjalna i wszelka nędza niczem są wobec tego, co rzekomo skryły mogiły.

Bardy nasze polskie kiedyś, kiedyś wyśpiewają bój karlich tytanów. Bardy ludzkie. Ale struny lutni, na której zagrają, nie dozwolą im dograć tego strasznego hymnu do końca. Pękną.

Ludko! Nie chcę być kabotynem! Dozwól jednak memu i swemu sercu wspomnieć w tej z tobą i z własną duszą rozmowie słowa jednego z największych, i tak drogiego mi, polaków:

«I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów! Ale w moim ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.»

Struna drgnie i pęknie, Ludko. Lecz pęknie z jękiem, od którego bardowie, jak od piorunu sumienia, rażeni zostaną.

Wielkie nic grobów jest treścią przerażenia... A popioły nie milczą! Och, jakiż jest ich krzyk w dzień i nocy ducha!

Samych polaków prawie przygnała tu była Austrja. Witezie imperjum rakuskiego, «zbawcy ojczyzny»... «Austryjacy»! Na polskiej odwiecznej

ziemi, w polskich wsiach i na rozstajach polskich, w perzynę obrócili wszystko, mordując...

Zgroza, zgroza...

Patrzałem na trupy. Powiedział mi każdy z nich tyle. Wraz z innymi, jako dobrowolny, doraźny sanitarjusz, zbierałem żywych i umarłych.

Za grabież, podpalania, gwałty, za bratobójstwa może, zapłacili polscy «austryjacy» śmiercią i męczeństwem. Straszliwie prażyły ich kule. Wsiąkali w ziemię swoją, chociaż po drugiej stronie— kordonu.

Z wyrwaną przez szrapnel piersią, lub z oderwaną głową, z oderwanemi rękoma czy nogami, z wypłyniętemi jelitami, z zamienioną w krwawą masę twarzą, z rozciętym nawpół korpusem...

Słyszano polskie krzyki, tyle krzyków... Do nas, urzędowych i przygodnych sanitarjuszów, przypełzały te jęki, lub kąsały nas te wołania przedśmiertne: «Bracie, dobij mię!» albo: «Ratujcie mię, ratujcie!»

A kostniejące dłonie ściskały różaniec, albo pasek św. Franciszka, albo szkaplerz...

Ludko! Ja żyję, ale ten, któregoś znała, już umarł.

Boże, Boże!—krzyczą niebo i ziemia. Czy krzyczą? Ten byt, co przyjdzie, zali z dzisiejszej doby swe soki poczerpnie?

Ręce twe ukochane całuję i nogi twe najdroższe obejmuję.

EDMUND.

Dijon.

Przylepko moja!

Pytam myśli własnej: kiedy cię dojdzie ten list? Ale, choć tak radbym, w żaden sposób odgadnąć nie mogę. Może istotnie, jak mówi mi jeden ze znajomych, niezadługo? A może dopiero za parę tygodni? Bo komunikacja podobno taka, że niech ją.

Ty, przylepko! Ty, przylepko! Gdybyś była «obcą kobietą», nie moją siostrą, rzekłbym: «Pilnuj się, mała, bo się w tobie zakocham i...» Wiesz, Iruś... Gdy w długie nocne a bezsenne często godziny wspominam wszystko, co minęło, gdy obsiadają mię mary dzieciństwa i wstępu mej młodości, widzę wszędzie ciebie, ty, siostrzyczko. I rozumiem coraz lepiej, kim byłaś dla mnie. To jasne. W oddali, w samotności skupiają się tak wszystkie myśli pracowicie i tak niejedno, czego nie widziały jakby nigdy, przynajmniej należycie, oczy—oślepia nieledwie. Gdybym nie był mężczyzną, zapłakałbym może nieraz. Ciepłe łzy spłynęłyby wprost do duszy i uśmiech, przez nie urodzony, owinąłby się dziękczynieniem—między innemi—i wokół twych stóp, dziecko.

Przylepeczko! Przecie (ja widzę to teraz dopiero tak dobrze) byłaś zawsze tym promykiem

dla mnie, który pokochuje się coraz tkliwiej napewno.

Chciałbym mieć twoje dłonie w swoich, by bawić się twymi smukłymi paluszkami, co tak umiały pieścić. Chciałbym objąć cię i całować. Albo złożyć na twych kolanach głowę. Albo na twych piersiach, ty, Iro. I chciałbym znowu gładzić twoje prześliczne warkocze, ty, niezabudko. I patrzyć w twoje nieco dziecinne jeszcze, dziewczęce oczy. Lubiłem cię tak zawsze. A teraz widzę, że i kochałem. I roztkliwiam się, nie wstydząc się tego, bo—tęsknię.

Miałem list od Małgorzaty. Jest w Tulonie. Organizuje tam z gronem pań z «sosjety» marsylsko-paryskiej dwa lazarety dla rannych żołnierzy. Ucieszyłem się, że taka miłosierna (ty wiesz, jak ona nic nie ma w sobie blagi), że taka czynna i że—dała mi znowu znak życia. Lotem ptaka poleciałbym do niej. Ale ojcu gorzej. Więc siedzę kamieniem prawie przy nim. Trudno.

Tylko ty się nie przestraszaj i niech się nie przestrasza mama. Ojcu gorzej, ale nie źle zupełnie, i profesor doktór Valebois, tutejsza znakomitość, oraz bardzo sumienny i zacny chwilowy «domowy» lekarz papy, dr. Sarceney, zapewnili, że aby leczył się, jak należy, to za miesiąc, półtora już będzie mógł chodzić. A wtedy może zaryzykuje powrót do Warszawy, na łono nietylko kraju, lecz i waszej, drogie moje, mamy i twej, tkliwości i opieki.

Tak nas ta wojna, papę i mnie, tu zaskoczyła. I oto zobaczymy się może znowu, siostrzyczko kochana. Jakże się cieszę! Przylepeczko moja! Bo przecie ty jesteś jedna z rzadkich sióstr: umiesz nią być.

Ale, rozumiesz, będzie mi zarazem tak ciężko odjeżdżać z Francji. Nietylko dlatego, żem ją za drugą ojczyznę, za ojczyznę współrzędną, uważać się przyzwyczaił. Kocham Francję, cóż chcesz. I czuję się tak tu francuzem—z serca. Tyle w niej pobytów, od dziecka, czyż to nie wstaje teraz, jak żywe? Francja, Polska... Tylko że Francja, niestety, na nasz, polski, rachunek ciągle jeszcze deklamuje. Ale może przyjdzie inna chwila kiedykolwiek. I wtedy zrozumie, musi zrozumieć nawet ta materjalna Francja, moja, niezabudko, druga ojczyzna, że ze wszystkich ludów Europy my, polacy, powinniśmy jej być z różnych względów—najbliżsi.

Gdyby nie ojciec i nie pewne orjentacje wprost moralne, wstąpiłbym teraz tu do wojska. Rozumiałbym, dlaczego piersią bronię *la belle France* od szwaba. *La belle France... A la belle* tak brzydnąć poczęła, raczej mroczyć się: krew, łzy, okrzyki gniewu i przekleństwa i znowu krew... krew... krew...

Lecz, prócz miłej Francji, jeszcze kogoś mi opuścić będzie trzeba. To jasne: Małgorzatę. By twoje, siostrzane, poczuć serce—muszę oddalić się

od niej, żywej. Świadomość pobytu na jednej ziemi, w jej ojczyźnie, daje mi złudzenie, i tak niezrównane, że jestem z nią. Tyś dobrze odgadła: kocham ją. Stała się dla mnie tą, którąbyś ty była, maleńka, gdybyś nie była moją siostrą. Bo wierzę, że wówczas kochałbym cię i tak inaczej też i że ty, tylko ty, byłabyś tą moją. Niedoszłej powierzam tę, co się nią stała: Margieritę. Kochaj ją, siostrzyczko, jak darzyłaś dotychczas znajomością i sympatją. O, jaka to złota dziewczyna. I tak się cieszę, że francuzka. W niej będę miał odbicie Francji—tam, w Polsce.

Powiem ci w największej tajemnicy: zaręczyliśmy się. Jest moją narzeczoną. Narzeczona! Narzeczona! Co za cudowne słowo. Kocha mię. Ale jej ojciec, który, nie wiem dlaczego, zagiął parol na bylejakiego, bodaj bonapartystowskiego, księcia, nie chciałby, my wiemy, zgodzić się na mnie, polskiego tylko szlachcica. A nasza mama, mająca, nie wiem czemu, do Margierity uprzedzenie, sprzeciwiłaby się naszemu związkowi z całej siły!

Nie mów nic! Zachowaj to do czasu przy sobie, ty, «niedoszła moja», a zawsze—i do trumny—siostrzyczko. Z dumą pisałem do Małgorzaty, że i ty czas swój oddałaś ludzkiej nędzy. A Małgorzata, przy swym odjeździe do Tulonu, rzekła mi tylko: «Do widzenia. Wiem i rozumiem, że, gdy twój ojciec wyzdrowieje i gdy powrócisz z nim do siebie, staniesz się czynnie pożytecz-

ny swemu krajowi, jak zdołasz i jak będziesz umiał».

Tak. Pragnę z duszy. Rusałko najmilsza, przylepeczko!

I jeszcze dodała Margierita: «Kocham i będę kochała mocno. Ale o miłości powiemy sobie wtedy dopiero, gdy Francja i Polska wolne już będą od niemca».

A kiedy chowałem medaljon z jej fotografją, który mi ofiarowała, ucałowałem ją, po raz pierwszy i dotąd ostatni, w usta i przyrzekłem sobie i jej w myśli, że miłość nasza musi się oświęcić czemś czystem i pięknem.

Ty mi pomożesz do tego, gdy wrócę, siostrzyczko?

Wiem, że nie zobaczę już teraz Margierity. Ale dzień, w którym połączę się z nią nazawsze, będzie najpiękniejszy w życiu mojem.

Tulę cię, malutka, i pieszczę i całuję. Dłonie całuję i ślepki. I te włosy śliczne, ty, siostro.

Odpisz zaraz, to jeszcze przed odjazdem otrzymam. Mamie tysiąc uścisków. Bądźcie, proszę raz jeszcze, dobrej myśli!

ZBIGNIEW.

Łask.

Ma się rozumieć, kochany!

Nie dziw się, iż otrzymujesz tak późno odpowiedź. Żre mię trochę splin, czy jak ochrzcić osobliwy stan rozumu, kiedy człek, zgłupiawszy już chyba do cna, spostrzega, że wbrew woli uduchowił się. Mówię, naturalnie, «wbrew woli». Bo dla każdego przecie, co zna mię choć trochę, to jasne, że, gdybym mógł, wszelkiemi siłami zakazowi sprzedaży alkoholubym się sprzeciwił. A ci, którzy na sumienie to moje uduchowienie wzięli, nie wiedzą może, co czynili...

No, tak! Znam, znam te kazania o szatańskiej szkodliwości spirytualjów, o ich działaniu poprzez pokolenia i cierpieniach, oraz zwyrodnieniach, spadających na barki niewinnych potomków za łajdactwo, czy bydlęcą lekkomyślność, przodków! Zupełnie nie są mi obce wywody o dwu przyjaciołach: alkoholu i przymiocie, pracujących gorliwie na niwie ulepszania ludzkości. Wiem, może z własnego doświadczenia przedewszystkiem, jak wódzia i winko, wraz z koniaczkami i likierkami, działają na kieszonkę. Ale choć człowiekiem jestem i nic z kaznodziejstw ludzkich nie jest mi obce, to...

Właśnie! Sądzisz, że mię to wzruszało kiedykolwiek? Że, chociaż siwizna nieźle przypruszyła

mi włosięta, wstydzę się tego? Że, bodaj dla ciebie, zrobiłbym dobrowolnie ustępstwo z wyznawanej czynem zasady: *Wein, Weib und Gesang?*

Luter nie był głupcem, wierzaj. Zresztą, choćby nim był, co mię to obchodzi, jeśli udało mu się powtórzyć za odwieczną panią matką, za którą powtarzali już Noe et C=ie, znany pacierz? I zbytecznie w swym liście tryumfujesz, winszując mi z całego serca «wytrzeźwienia państwa rosyjskiego», a więc i mojego. Nie byłem «zawiany» nigdy, wierzaj. To fatalne właśnie. Ale odjęto mi możność czynienia sobie złudzenia, iż to osiągnę nareszcie. I tego, nawet jako miłosierny chrześcijanin, darować nie mogę.

Butelczyna była moją przyjaciółką ze wszystkich najwierniejszą. A na świecie niema ideałów, więc nie wymagałem nawet od niej wypełniania mych pragnień. Jako płci żeńskiej, tem samem— śliska była i... rozmaita, ale, jak kobieta, powabna i na swój sposób—upragniona.

Przypominam ci, że wszyscy wielcy ludzie trąbili i nie na trąbach jerychońskich, naturalnie. Trąbił, a i trąbi jeszcze, cały świat i trąbić będzie. Bez tego trąbienia uschnąłby istotny szpik życia. Powiedzenie, że to dur pijacki, albo zbeszczelnienie tak zwanej duszy prawić w ten sposób, znane w dodatku wszystkim, najtańszym nawet, «filozofom», mało mię wzruszy, o ileby z twej strony nastąpiło. Przecie mówię, ostatecznie, od siebie

i dla siebie tylko właściwie. A inni niech sobie ideowy kark kręcą, jak im się podoba.

Zresztą, widzisz, jestem trochę sam. Butelczyna zaś, choć rzecz płatna, jakgdyby prostytutka, dawała ten uśmiech, co pozwalał—trochę nie warjować.

Zdaje mi się dlatego, że byłeś w błędzie niejako, twierdząc, iż właśnie butelka ułatwia zwiedzanie domu obłąkanych. A zresztą... Plwam na spory.

Z szyderstwem myślę o wszystkich takich «trzeźwych», jak ja teraz. Nas, lekko licząc, miljoniki. Rozczula mię musowe nawrócenie się pijaczyn, umocnione przewracaniem białek ocznych, grzmoceniem się w piersi i błogosławieniem na rynku z przyległościami dobrodziejstw wprowadzonej reformy. No, i wewnętrznem wzdychaniem do «wódziuni» i «wineczka», z pokątnem, oczywiście, szukaniem tychże, a gdy się udało,—urżnięciem się.

Ściskam przez przestrzeń dłoń tych wszystkich szacownych apostołów i winszuję sobie swej oślej głupoty.

Bo, choć się pienię, choć wściekły jestem naprawdę i zgorzkniały jeszcze gorzej, niespokojny, przybity i smutny, nie zrobiłem ani jednego wysiłku w kierunku utajonej gdzieś—tu, czy tam,—i nie tak znowu niedostępnie, «spirytki».

Spiritus... Duch właśnie. Ale mój duch gnuśny jest widocznie i idjotą, bo nie przez «cnotkę»,

do krocset, ani przez egoizm (za stary już jestem na to) źródła życia *(eau de vie et C-ie),* swego wiernego przyjaciela, drugiego ducha, spirytusu, nie zdobywa.

Ach, jakże głupio. I co mi pomoże, że wojna i że już nam tu, w Królestwie, szwaby żebra liczą? Wszystko marność. I ta wódczana niepokalaność i szwaby i wojna i łaski bruk, naturalnie. Splin żre, nuda. W przerwach czkawki czytam o gienjalnym wyniku długiej bitki przeciwalkoholicznej i latach uprawianej wstrzemięźliwości spirytusowej w Szwecji. I, ma się rozumieć, w niebo jadę.

Bo jacy się oni zrobili mądrzy i czyści, i porządni i dobrzy ci szwedzi, ci szwedzi...

A tymczasem ciesz się, że otrzeźwiałem, i pogłaszcz mię po główce raz jeszcze. Trochę mi dziwnie, gdy pomyślę, iż nawet na cel dla szwabów się nie przydam, bo po pierwsze: żywimy nadzieję, że może nas ominą, po drugie zaś—siedzę ciągle w domu i chyba wraz z nim w powietrze mię «wyfontannić» będą mogli?

Dzięki za wiadomość o Marjanie! Powiedz mu, że pisać będę.

Twój, ty wiesz,

SEWERYN.

Warszawa.

Szanowny Panie!

W kłopot wprawił mię list pana. Prosi pan o szczerą odpowiedź. Jakąż mógłbym dać? Czyż są jakie dane dla nieszczerej?

Nie mam niczego dla pana—oto ona. Wojna takim ciężarem legła na szkolnictwie u nas, że może nawet bliżej stojący go ludzie niezupełnie sobie z tego sprawę zdają. Ilość uczniów, jak pan rozumie, minimalna, gdyż prowincja nie dała w tym roku prawie nikogo. A ci, co są, jutro mogą szkołę opuścić. Żyjemy na wulkanie. Klęska wojny coraz się zwiększa i nawet nie wiem, co będzie z szkołą moją, z rokiem szkolnym wogóle.

Pan prosi o «byle co», powołując się na lata swej pracy w szkolnictwie i doskonałe polecenia, które pan posiada. Chce pan tego «byle czego», aby, jak się pan wyraża, przetrzymać ciężki okres, «nie głodować». A ja, niech mi pan wierzy, pomimo najszczerszej chęci, niczego u siebie ofiarować mu nie mogę, nawet w klasach najniższych, bo wszystko—zajęte. I tak tylko połowa przeszłorocznego personelu nauczycielskiego i administracyjnego zajęta, bo jedni na wojnie, a innych, ze względów finansowych, uwolnić musiałem.

Jest mi ogromnie przykro, że tak znanemu na prowincji pedagogowi, jak szanowny pan, i tak, według zdania wielu, zdolnemu matematykowi, muszę podobnej, a nie innej, odpowiedzi udzielić.
Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

EDWARD OBŁECKI.

Gdańsk.

Tymku mój drogi!

Nie można powiedzieć, żebyśmy tu nie myśleli o rosjanach. Owszem, choć urzędownie jest to właściwie, chyba że z «tryumfem», zabronione. I wolno tylko, gdy się o nich mówi, używać całego słownika przezwisk doborowych. Albo wielbić gienjalne zdolności sztabów. Albo cieszyć się z coraz pewniejszego rozdymania się «naszej niemieckiej ojczyzny» w kierunku byłej stolicy «Prus południowych», Warszawy, której wypadek, zwany Napoleonem, kazał chwilowo oddalić się duszą, sercem i resztą garderoby od niedoszłego kochanka i władcy, Berlina.

Nie sądź, że tak bardzo ryzykuję, bazgrząc do ciebie tę epistołę. Choć skrupulatni są niemcy, nie przewąchają jej. Jedzie Berta do Częstochowy, (Kaiserbergu), a stamtąd pchnie list dalej przez pierwszą lepszą okazję, o którą się nie niepokój, i dojdzie cię moje westchnienie pamięci o tobie, że ani się spodziejesz. Berta była już raz w Kaiserbergu i mówi, że sposobności jest tysiąc, plus jedna i plus jeszcze jedna. Trzeba mieć tylko makówkę w porządku i parę groszy w zanadrzu.

Czy cię nie rozczula moja harmonja z Bertą w czasach krytyczniejszego niemiecko-słowiań-

skiego zaglądania sobie w oczy? Ale przecie Berta jest szwabem płci żeńskiej, działającym mi nieco na nerwy czysto męskie, i zresztą, doprawdy, po za mojemi ślepiami, włosami i objęciem niczego więcej z «polityki» nie dostrzegającą.

Berta ci się kłania i żałuje, że cię tak prędko wywiał pruski wiatr z Gdańska, Sopót, Gdyni, Jastarni, Pucka, Kościerzyny, Kartuz, Wejherowa, Chojnic, Czuchłowa i innych kątków naszej kochanej ojczyzny kaszubskiej. I radaby, zamiast do Kaiserbergu, dojechać choćby do samej Warszawy, by ci wręczyć osobiście mą twórczość. Ale cóż! Jeszcze się obnibus niemiecki do was dotoczyć nie może, a myślę, co i inni też «w zaufaniu» myślą (niejedni!), że się—nie dotoczy.

Stary Berty gotówby, pomimo ciężkich czasów, kupić mię sobie na zięcia: i posag obiecuje i nawet dom swój w Gdańsku. Powiedz! Mógłbym zrobić karjerę. I nie wiem, czy to stary tak z «mody na polaków», zapoczątkowanej przez mianowanie arcybiskupa Likowskiego, a znajdującej ciąg dalszy w weselnych godach Kalisza (przepraszam, Grossgartenu) i Częstochowy, no, Kaiserbergu?

Kruczki krążą w powietrzu i pieją nam piosnki o szczęśliwości i słońcu... Wytrzeszczamy oczy: pali się nam w nich. Ale to z pewnością od nadużywania spirytualjów, albo haszyszu upojeń wojennych. A gdy jaki dureń szepnie coś o krwi i łunie, zaraz ogląda się, czy nie podwę-

szył go policaj, albo inny «ajent», i czy nie zacznie zwiedzać «Festungu»...

Przyszło mi do głowy, że hojność starego Berty w sam czas zbiega się z tem, o czem tu tylko wolno wróblom na dachach świegotać: o bądź co bądź zmienności wszystkiego, co ziemskie, i o apetycie «der wilden Russen» na szacowne stare miasto, Gdańskiem zwane, no, i na okolicę.

Serce zamiera bez żartu, gdy się pomyśli, że ten Gdańsk kochany, to złote, cudne miasto, może być bombardowany. To się w głowie nie chce zmieścić. I niekoniecznie dlatego, by się płakało z góry nad losem kamienicy starego Berty, położonej na przedmieściu i całkiem zresztą «modern», choć wytrawnie—dochodowej.

Jednak stary chce zawsze być «Geschäftsmannem». Było, nie było,—a nuż? Może tę dochodowość do ziemi przystrzygą, więc niechże przynajmniej Berta kupi sobie za taką niepewność pieściciela wdzięków—na stałe. Biedna Berta... Biedny Gdańsk... Ty, który go tak pokochałeś, też go masz w duszy pewnie teraz więcej, niż poprzednio, i lękasz się...

A przecie, tak się zdaje, najcięższa z niego ofiara dostępnaby się jeszcze stała, aby stare niemieckie miasto, które tak *polskiem* przecie być powinno, na naszej kaszubskiej, polskiej ziemi wyrosłe, do niepodzielnej, jedynej Polski znów

wróciło. Gdyby to przeczytał stary Berty! Choć radby mi dać i posag i kamienicę w przeddzień ewentualnego bombardowania, zaszedłby może tam, dokąd należy, by wskazać na mnie, zdrajcę, swym patryjotycznym pruskim palcem. Zdrajcę! Bo, jak i przedtem, *der Pollacke, der Kaschube— ein Preusse* przecie, i jeszcze jaki, jest i być powinien.

Miły mój Gdańsku... Miłe moje Kaszuby... Gdyby nie to, że «przewaliło» mi już za dwudziestopiątkę i że mężczyzną mi być przystoi, uroniłbym łezkę i zapytałbym z westchnieniem: czy, doprawdy, nadeszła już chwila, by rozdarta Polska zrosła się i by w tem zrośnięciu się nie zabrakło mego Pomorza? To trochę oryginalne powierzać podobne poufności papierowi, który, do pół drogi przynajmniej, ma ci powieźć Berta, niemkini odwieczna. Niemkini, przechwalająca się, że, choć zrodzona na tej ziemi słowiańskiej, nie ma ani kropli krwi słowiańskiej w sobie. Wierzę. Albowiem moja dobra i miła Berta (doprawdy, że to szlachetne dziewczę; tysiąc tego dała mi dowodów) krową jest brandeburską, czy wirtemberską, której dziadzio zaledwie w te strony przywędrował wraz z autentyczną Klarą. A zrodzony owoc, stary Berty właśnie, dał jej życie za pośrednictwem autentycznej także, najautentyczniejszej Elizy z Monachjum, która tu jakoś w moim miłym Gdańsku wypadkiem, nie wiem

już jakim, się zawieruszyła. Może, dzięki swym kilku kroplom bawarskiej krwi, jest Berta jakoś, acz szwabka, nie za *preussisch?* Chociaż... Przecie wiesz pewnie, co wojska jego mości królewskiej, Ludwika Bawarskiego, wyrabiają? I czemże ustępują pruskim? Twoja bliższa, a moja ogólna, ojczyzna może o tem z bólu i przestrachu krzyczeć...

Słuchaj, Tymku. Słuchaj dobrze. Wy wszyscy tam słuchajcie. Gdy przyłożycie ucho do ziemi rodzonej polskiej, dojdzie was, dojść musi, nietylko ten wasz bliski krzyk, ale i krzyk nasz, szloch nasz może (tylko bez liryzmów; nie jestem, do djaska, lirykiem), groźba i chęć pomsty...

Nie będzie już nigdy i nie potrzeba Polski «od morza do morza». Należy nam i wystarczy, jak o tem mówiliśmy nieraz, w granicach plemiennych pozostać. Ale u tego morza, bałtyckiego, jest, żywie ta Polska, co nie umarła nigdy. I teraz tak się to, nie czując może często niby, nie rozumiejąc należycie, czuje i rozumie!

Do bólu! Właśnie! Do najkrwawszego! Możemy, teraz właśnie, powtórzyć za Wyspiańskim: «Wesoły jestem, wesoły i śmieję się do łez»... Właśnie teraz. Bo podobno jesteśmy, pomimo wszystko, weseli. Ja także.

O, oni czują i rozumieją tę naszą wesołość. «Oni». Przyjaciele i protektorzy. Braciom naszym w Poznańskiem zwracano przecie poufnie i mniej

poufnie uwagę, by nie tak jawnie przynajmniej («przynajmniej»!) okazywali swe usposobienie przeciwniemieckie. A nas, gdy chcą wbrew woli naszej uszczęśliwiać, «magnetyzują» także, potrajając oczy i węch.

Wyżle zdolności przyszłego mego teścia próżnują mimowoli. Czy dlatego, że my nie «frajerzy»? Czy też wstydzi się on głośno dodatkowego rzemiosła—wywiadowcy?

Głośno, gdyż pocichu co drugi niemiec teraz, a może i nietylko teraz, mówią—szpieg.

Taki, czy owaki. Więc i mój przyszły teść? Bo ja przecie swoją drogą żenię się z Bertą. Jak tylko wojna się skończy. I, doprawdy, niech sobie stary będzie przekonany, że chytry *Pollacke* uczyni to dla posagu i kamienicy. Uważam, że uczucie, że dobór (miłosny, jeśli chcesz, klasyfikatorze) wyższy być może, czy powinien, przynajmniej u pewnych typów, od spraw narodowościowych. Ale nie wyrzucę swej drogiej Polski z serca: dzieci moje, jeśli je mieć będę, muszą być i będą polakami. Z Berty, niemki, z Berty, prusaczki, z mojej dobrej, kochanej Berty, krowy brandeburskiej, czy wirtemberskiej. A wtedy zaszemrze fala Bałtyku, polskiego Bałtyku, jak szemrze i teraz, odwieczne śniąc sny o tej polskości, co, nawet w okresie wolnej Rzeczypospolitej, wyrość i umocnić się nie umiała i, wiem, usłyszę w jej szmerze rozgrzeszenie dla mego pozornie niemiecko-pol-

skiego związku. Tembardziej, że wówczas może już Kaszuby, wraz z resztą ziem, przez prusaka na lekkich pradziadach naszych «zdobyte», z wami i Galicją jednem się staną. Nie będę się bał mimowolnej bodaj niemieckiej piosnki Berty-matki nad kołyską dziecka mego. Z jakąż radością i dzikiem zadowoleniem myślę, patrząc na nich wszystkich tutaj: jeśli to, czego my, kaszubi, pragniemy tak gorąco, stanie się, jeśli z piekła rozpaczy i bólu narodzi się nasza Zjednoczona Polska, długoż wam, niemcy, waszej niemczyzny? W nas roztopić się będziecie musieli, jak roztapialiście dotąd nas w sobie. Odwrócić się mająca niesłychana karta historji czynem zapłaty naszej i losu zapisana być powinna.

Powiedz Warszawie: żyjemy więcej, niż kiedykolwiek. Lekkomyślni, albo sobkowie, co przez wieki swym brakiem czynu nas grzebali, niech wiedzą: żyjemy więcej, niż kiedykolwiek. I niech naprawdę choćby teraz, właśnie teraz, bez względu na wszystkie przejścia i katastrofy, *moralnie* będzie z nami, też więcej, niż kiedykolwiek, serce Polski, Mazowsze, i serce serca polskiego — Warszawa. Czas, żeby umarła całkowicie, zostając tylko w ciężkiem wspomnieniu, ta skarga nasza, którą znasz:

«Me, kaszube, jesz strzeżme
Polsci morskich granic,
A w Warszawie naszy braco
Mają naju za nic».

Mają za nic! No! Ech, Tymku!? Tam, gdzie nasz Majkowski, szwab z wychowania, może gorzej, bo prusak, «uwierzył w ojczyznę polską» przed pomnikiem Mickiewicza, tam, w waszej Warszawie, zbiega się przecie wszelka nietylko krew polska, lecz i myśl, więc i nasza. Narodowy duch, duch Mickiewiczów, wskrzesicieli martwych, co umarli dla ojczyzny, duch-wizja i cud, błogosławi nam wszystkim, prawda, Tymku, i mojej umiłowanej ziemi kaszubskiej, jej może przedewszystkiem?

W niemieckim Gdańsku, ssącym polskie soki, gdy wszędzie tak wokół splugawiona, sprusaczona, albo żywa jeszcze Polska, wspominam sobie teraz z jakąś zaciekłością radosną, pragnącą nabrzmieć niedalekim tryumfem dotykalnym, znane, drogie, święte dla nas, kaszubów, a i dla was, jestem pewny, słowa sokoła naszego, Derdowskiego, jednego z dzieci duszy Mickiewicza:

«Czujcie to ze serca toni,
Skłod nasz apostolsci:
Niemasz Kaszub bez Poloni,
A bez Kaszub Polsci!»

A bez Kaszub Polsci! Powinniśmy krzyczeć o tem obecnie na świat cały! My nie możemy tutaj: knebel na pysku, wybacz za wyrażenie. Ale wy! Wy możecie i powinniście! Wydziera się Polska sama ku sobie, ku swojemu morzu, i roz-

siąść się nad niem musi i powinna, i krew swą leje, między innemi, i za to. Krzyczcie na świat cały!!!

Gdy tu przyjdziecie z rosjanami... Mój biedny, drogi Gdańsk! Ale, choćby w gruzy runął cały,—tu zatknie, zatknąć musi dłoń historji sztandar żywej Lechji.

Testament polityczny naszego wielkiego Świętopełka jeszcze nie wypełniony! Krzyżak nie obezwładniony! A myśl przedśmiertna naszego Mszczuga, myśl wszystkich prawych i wiernych Derdowskich kaszubskich, bez względu na pokolenia i epoki, ma się ziścić: Kaszuby *muszą* wrocić do Macierzy!

Może to dobrze, że wszystkie te wynurzenia zawiezie ci, przynajmniej do pół drogi, szwabka Berta? Powiedziałem jej właśnie (jest u mnie), o czem piszę. Przestraszyła się. «Mój drogi, jeszcze cię powieszą?» Zatrzęsła się. To kobieta i człowiek. A szwabka? Odęła się trochę i posmutniała. «Więc ty naprawdę sądzisz, że nas stąd wyrzucą?—pyta. «Nas nie»—odparłem,—ale «papę» i takich, jak on. Sami odejdą zresztą, będzie im za ciepło, nawet z pieniędzmi i domami». «Nie obrażaj papy». «On się sam obrazi, daj, Boże, by jaknajprędzej». Ma się rozumieć, oburzyła się. «Ja zawsze niemką zostanę, choćbyś mię miał»......

Pochwaliłem ją za ten patryjotyzm szwabski. Niech każdy sobą pozostanie. *All right!* Tak być

powinno. A gdy ją pocałowałem w usta (ma, szelma, tak świeże, nawet podczas wojny), zapewniłem: «Jeśli będą dzieci, Berta, synowie, naprzykład, to jednego nazwę Świętopełkiem, jak Boga kocham, drugiego Mszczugiem, też jak Boga kocham, trzeciego zaś, na cześć Derdowskiego, Jaroszem. On, jako jarosz prawdziwy, nie będzie w guście twego «papy» i «uczciwego» pruskiego rządu, wiernego krzyżaka, *Menschenfresser*. On i tamci będą tylko—polakami.

Nic nie odparła Berta. Ale po długiej chwili, jakby zważywszy wszystko, rzekła: «Ja cię tak bardzo kocham». I, oczywista, wycałowaliśmy się.

Berta będzie w Kaiserbergu (tak, tak) koło dwu tygodni. Fritz, jej brat, a mój przyszły szwagier, leży tam, ciężko ranny, w lazarecie. Gdybyś zdołał przez kogoś wypadkiem (wspaniałym), ale, naturalnie, rozumnego i uczciwego, dostarczyć słów kilku od siebie dla mnie Bercie? Tak chciałbym wiedzieć, co porabiasz? I jak przeżywają ten czas Warszawa, Królestwo? Szwabskim gazetom nawet szwabi, pomimo szczerej chęci — i jakiej!—nie zbyt wierzą, albo nic prawie. A cóż dopiero my, *Pollacken*, czy *Kaschuben*, bo to przecie, według wykształcenia rządu pruskiego, swoją drogą różnica i niebylejaka. Ciągle! Możesz wierzyć.

Całuję cię serdecznie i ściskam. Dajcie, bogi, zobaczyć się nam wzajemnie niezadługo tak, jak pragnę z duszy całej.

Bywaj, bywaj!

KALIKST.

Capri.

(Po włosku).

Pani!

W daleką drogę wysyłam ten list. Będzie krążył, jak ptak, ale powie wreszcie, że w słonecznej mej ojczyźnie został jeszcze żywy ślad pani: pamięć o niej.

Słońce wpada rozkosznym snopem bieli do mego pokoju i pieści pióro, którem piszę. Wiem. Tego słońca niema tam u was i noc nawet we dnie zmroczyła trwanie wasze. Żyjecie... Ale żałoba dusz krzyżuje mózgi na drzewcu hańby ludzi i jedyne, co wam pozostało: wyglądać świtu.

Kiedy przyjdzie? Kiedy skończy się ta wojna, której ofiarą przedewszystkiem, obok Belgji, wasz kraj tak padł Kiedy spłynie w przeszłość rzeczywistość, by stać się dniem jutrzejszym?..

Czytałem wiele o Polsce. To jest to, co znależć w książkach się udało. Wmyślałem i wczuwałem się w tę ziemię, niecodzienną bez wątpienia, i starałem się zrozumieć ducha narodu, co, skonawszy, żyje. Czytam wszystko, co znajdę o Polsce, i w dziennikach bieżących włoskich, francuskich, niemieckich. Żałuję, że nie znam angielskiego. Możebym i w słowach anglików o oj-

czyźnie pani dojrzał ciekawe myślowe przyczynki do smagającei was dziejowej tragiedji?

Z wzruszeniem wspominam czasem, że pani miała dziwny, zgoła nieświadomy, dar budzenia w obcych odczucia kraju, do którego pani przynależy. Nie ja jeden mogłem to na sobie stwierdzić. Signora Maria, naprzykład. Albo signore Amadeo. Lub signore Giuseppe. Nawet mała Annunziata, «la fanciulla», od czasu znajomości z panią, wspomina tak często—Polskę.

Gdy patrzę na zalane słońcem Capri, na odwieczną grę srebrnych fal, na błękitne, nasycone migotem, skały, gdy otacza mię milczący gwar kwiatów i zieleni, gdy spływa zewsząd na mnie tkliwa poezja klimatu i krajobrazu, z trudem wierzę: tam burza! Gwałt trzeba zadać mózgowi i sumieniu, by uwierzyły: tam wojna! I wysiłkiem nerwów idę ku owej katastrofie i staram się ją odczuć i zrozumieć. A słońce się śmieje i śmieją się szafir wód i nieba znany lazur i migot skał... Z prześlicznej zaś, wszechświatowej sławy, zatoki Neapolu płynie bez troski owo oczarowanie, co nawet serca hjen w ludzkie zamieniać się zdaje.

Tu jest, jak było, proszę pani! Nic się nie zmieniło. I życie płynie tak samo. I tak samo patrzymy co dnia na Amalfi, Sorrento, Castellamare, na Wezuwjusz, Portici, Neapol, Ischię... Ale dziecinnemu, pozornemu zdawaniu się, że wszystko

trwa, jak dawniej, przeciwstawiło się ziarenko przeczucia, kamieniem w sercu zaległe i wyrastające w chwast ciężkiego poznania: tam krew się leje i łamią się wiązania dotychczasowych złudzeń. Złudzeń! Bo czyż nie niemi jest właściwie wszystko? I to słońce, co świeci, i to Capri, to morze, ten błękit, ten szczególniej? Czy nie złudzeniem, doprawdy, wszystko?

Czasem wydaje mi się, że i pani sama i jej ojczyzna—to też złudzenie, jedno z wielu, jakieś mniemane ucieleśnienie, czyjąś tęsknotę tylko stanowiące. Wy tak zdajecie się kochać swą Polskę, a ona, jako taka, nie istnieje. I nie istniała nigdy i istnieć nie będzie. I moje Włochy i świat cały. Karły my, raby dokładnych spoglądań i logicznych naturalnych odczuwań.

Będąc trzeźwym chemikiem i fizykiem i trochę nawet, jak pani wie, medykiem, wierzę w jedyną rzeczywistość: śnienie. Wiem przecie, jak śniła ludzkość o pokoju, o wiecznej już prawie bezkrwawości—i co z tego wynikło. A przecie żyła i żyć będzie nie wojną, lecz tem śnieniem o zgubionym dobrowolnie mieczu, co, zgubiony, życie rodzi. Wiem, jak śniły Niemcy o straszliwej niekłamności swej wszechpożerającej potęgi wojskowej. To *śnienie pewności* dało im możność, raczej stworzyło konieczność, stania się trzodą obłąkańców, zaprzepaszczających w otchłani sromu i ostatecznej, bez względu na możliwe pozory, przegranej, ho-

nor, znaczenie, przewagę, dobrobyt, wygody, urok, reputację i wiarę—własne. I jakaż rzeczywistość była rzeczywistsza? Która mocniejszą, wszystkie soki wysysającą, się okaże?

Niema tu pani żywej. Lecz moje śnienie o niej—pani życie daje. I nie wiem, która z was więcej jest widoma, więcej żywa, cielesna nawet: ta w Polsce, czy ta tutaj? A gdy tej śnionej błękit i szatę słoneczności daję, żywa jest ciałem podwójnie. Uśmiechnie się pani: «Poeta, choć fizyk, chemik, i medyk nawet trochę. I choć włoch, więc tem samem mało poetyczny». Ale wy, polki, skłonne, zdaje się, jesteście do upatrywania poetyczności nawet tam i w tych, gdzie jej, doprawdy, niema? Doprawdy! Och, jakże zbyt często jestem aż do obrzydliwości trzeźwy.

Myślałem: na czem polega urok waszych kobiet? I czy większość jest taka, jak pani? I czy to właśnie stanowi w was, polkach, waszą kobiecą polskość? Jakże różni się pani od mych rodaczek, choć je pani pod wieloma, czysto niewieścimi, względami tak, oczywiście, przypomina. A teraz, gdy nie stało pani, i to oddawna, żyję nieco panią i, choć tak bardzo radbym zobaczyć rzeczywistą, jest pani piękniejsza, ja wiem, w mojem duchowem odczuciu.

Czy to brutalność z mej strony—to wyznanie? Nie chyba! O tem mówiłoby złe zamierzenie, którego przecie nie mam. Więc szczerość nie

na miejscu? Poprostu—rozmowa! Lubię wszak mówić z panią. Raczej lubiłem! Pani wie dobrze, ile czaru szło z niej w serce moje, by je oszołomić. I uczynić nietylko tak głęboko wdzięcznem, lecz i oddanem.

Cieszę się, że niema między nami nieporozumień, że nie łudzimy się, iż po za—wiem to—serdeczną przyjaźnią nic nas więcej nie złączyło.

Może to szkoda. Może byłoby dla naszych egoizmów lepiej otrzymać od losu puhar, któryby usta, moje przynajmniej, skwapliwie wychyliły. Otrzymać możność zapomnienia o pewnych cierniach życia i utonięcia, bodaj na krótko, w jakiejś ekstazie... Ale skoro kobieta i mężczyzna w nas dla nas nie żyją, jak dobrze, że nie umiemy i nie chcemy sobie niczego w tym względzie kłamać!

Gdybym mógł, pojechałbym teraz do ojczyzny pani odetchnąć szeroko tą polskością, nietylko kobiecą, której, dzięki pani, poczułem oświeżające tchnienie. Może to prawda, że, jak dowodził mi niedawno jeden z waszych przyjacół, profesor Rochetti z Medjolanu, wy, polacy, nie wyrzekliście jeszcze swego słowa w duchowem obcowaniu ludów i że to słowo przyjdzie? Daj, losie, daj, losie! I może to też prawda, co rzekł niechętny wam profesor Valdiani, iż dwudziesty wiek, w najgłębszem znaczeniu tego słowa, będzie należał tylko do was i do rosjan? Ale ile pracy, mozołu, wysiłków, ile porywu, chęci, ile zasłużenia na to

sfinks życia od was wyczekuje! I, proszę mi wybaczyć tę uwagę, czy okażecie się tego—warci?

Patrzę, pisząc, na zatokę. Boże, jakże, doprawdy, prześlicznie błękit z lazurem w niej się układają! Jak gra roztocz! I jaki cud się w niej utaja! Jakby istotnie słyszę śpiew utęsknionych syren i jakby istotnie odrzeka im przestwór. Czem? Choć gdzieś tak daleko, niewidzialne i niesłyszne, ryczą wściekłe armaty i padają grzechoty salw karabinowych i krzyki tych, co mrą...

Moja ojczyzna neutralna. A co znaczy ta neutralność? Nie wiem. Czy to Chrystusowe «nie zabijaj», (a wczoraj jeszcze Trypolitanja i Cyrenajka?) czy..?

Tak, stawiam kropki. Któż mi odpowie? To słońce? Błękit? Chmurki? Morze? Skały? Wezuwjusz? Cud, utajony w zatoce? Czy śpiew utęsknionych i oszalałych od piękna przyrody syren?

Gdybym otrzymał list od pani, byłbym jej niewymownie wdzięczny. Licząc na tę radość, pozostaję głęboko życzliwym.

ENRICO.

Warszawa.

Ofko moja!

Uciekłam z Kielc prawie w ostatniej chwili, kiedy bodaj wchodzili już austryjacy. Mogłabyś spytać: po co? Czy tak koniecznie potrzeba było uciekać i czy istotnie chciałam ratować życie? No, może. Tak trochę inaczej. Bo zostać przy austryjakach, to przecie dać się na głód i nędzę. Z czegóżbym z matką i Celką żyła? Zabrałam je obie i uciekłam. A teraz siedzę na warszawskim bruku, tak niespodzianie dla siebie samej, i mam nareszcie tę Warszawę, o której lat tyle marzyłam. Ale, Boże... W jakich warunkach! Czy o takiej marzyłam doprawdy—i jak się ona ma odbić teraz w sercu mojem?

Mama chora. Gdzieś prawie na poddaszu u jakichś dobrych prostych ludzi ulokowałyśmy się. Izba (to nawet nie pokój) nasza tylko częściowo jest nasza. Śpi w niej jeszcze gospodyni i jej mała córka, a gospodarz—w kuchni. W sionce zaś syn ich, wyrostek. I dziękuję Bogu, że i ten dach mamy.

Wieczorami łzy połykam, a rano i w dzień pracuję. Dostałam bowiem — o, szczęście — kilka lekcji u Wagórzewskiej, wiesz, tej z Marszałkowskiej. Płaci ogromnie mało i targowała się do

upadłego. Ale i tak los błogosławię. Bo w tych czasach i w Warszawie, gdzie wieczne współzawodnictwo, i gdzie, z powodu wojny, wielu i wiele chleb straciło, to—coś. Pomógł mi list Klary Orpiszewskiej, z którą widocznie w Warszawie liczą się trochę, bo ja wiem. A może, ot, poprostu ten łut szczęścia, o którym się mówi w przysłowiu. I drżę, by nie zaszły zmiany jakie i by nie okazała się potrzeba «zmniejszenia personelu», cóż bowiem wtedy zrobię? Chyba sklepową zostanę, albo czemś «gorszem» jeszcze, modystką? Czy znajdę jednak pracę? I zarabiać będę mniej jeszcze. A co ta biedna chora mama? Co Celka, która tymczasem «na kredyt» do Wagórzewskiej chodzi, ale która potrzebuje i strawy, i książek, i kajetów, i piór i ołówków, a teraz będzie potrzebowała i bucików i zimowego paltka niezadługo?

Jeżeli znajdziesz się w Warszawie, zajrzyj do Wagórzewskiej. I pisz pod jej adresem. Ach, jak ciężko. Bolo donosił słów kilka z pozycji. Tak drżymy, bo i wuj Jerzy w Brześciu, o niego. A co będzie z mamą? Bronchit coraz gorszy. Nasze mieszkanko w Kielcach już nie istnieje. Co się dało z odzieży i bielizny, zabrałyśmy, a tych kilka sprzętów?..

Pożywią się nimi (do pieca) austryjacy.

Twoja

ŻABA.

Paryż.

(Po francusku).

Mój drogi Romualdzie!

Jak strasznie ucieszyłam się, otrzymawszy twój list! Boże! Więc nie wzięli cię do wojska i żyjesz zdrów, choć, jak widzę z słów twych, smutny, jak zawsze. Ale żyjesz i nie grozi ci bezpośrednio niebezpieczeństwo. A ja tak okropnie się niepokoiłam i tak wyczerpywałam się myślą o urojonym, na szczęście, ciosie.

List twój spłynął promieniem w moje serce. Ogrzał je, biedne i zziębnięte, i dał chwilę złudzenia przeżytego już nazawsze okresu, co jednak umrzeć nie zdoła—w wspomnieniu. Ty, mały przyjacielu mój, ty, drogi pieszczochu, którego słowo zawsze miało tak magiczną władzę nademną! Przypaść do piersi twojej, objąć cię i przytulić się tak mocno, jak—kiedyś!

Nie płaczę. Ale pełna szlochu jest dusza i tej tęsknoty okropnej, co zrywa wszelkie pęta i, wyzwolona, biczuje sama siebie. We śnie, albo gdy się zamyślam głęboko, widzę cię i czuję tak dobrze! Patrzą twe oczy, które tak kochałam zawsze, i próżno staram się wydrzeć z nich odpowiedź! Czy, porwany przez wir nowych stosunków i zna-

jomości, nowych wydarzeń, skłaniasz się jeszcze myślą ku przeżytym przezemnie z tobą chwilom nad cudowną lazurową wodą? Przeżytym przezemnie! Bo nie śmiem rzec: i przez ciebie. Ty mnie nie kochasz przecie, drogi! Wybacz sercu kobiety, że o to zapytuje. Kobietą jestem przedewszystkiem, może nawet wyłącznie, i sprawy serca są we mnie i dla mnie największe. Nawet w tych czasach. Gdyż, zdaje mi się, nawet w tych strasznych minutach przedewszystkiem drga i kurczy się—serce.

Pełna krwi i niedoli jest moja ojczyzna. Biedna Francja! O, jak głęboko gardzę tym nikczemnym pomiotem, co wżarł się w ciało mego kraju i targa niem, katując i mordując, w perzynę obracając tyle i bezczeszcząc. Jak nienawidzę, wraz z całą Francją, niemców, co słoneczną moją ojczyznę shańbili, brudnemi dłońmi dotknąwszy jej. Ale, wraz z całą Francją, wiem i wierzę: przyjdzie nasz dzień i w Berlinie powiemy im swe francuskie słowo.

Nie byłabym francuzką, gdybym nie czuła obrzasku na samą myśl o tym narodzie «krzepkiej pracy». Pamiętasz, mój ukochany, jak śmiałeś się zawsze z mojej «manjackiej» wprost giermanofobji? Jak ja «szwabów» zawsze «kochałam»! Jak wprost cuchnęli mi! I oto rozumiem i wiem dobrze: nie mogłam i nie mogę być inną. Nazwij mię francuską kabotynką, nazwij mię gallijską

małą gęsią. Z twoich ust przyjmę wszystko, nawet obelgi, byle nie raniły do cna mej ludzkiej godności. Z twoich ust przyjęłabym teraz, gdybym je mieć mogła, może wszystko nawet.

Usta twoje! W bezsenne noce śnię o nich na jawie i tulę się do ciebie spazmatycznie, szukając ich. O, niech mię pocałują, nawet nie kochając. Czując je, utonęłabym raz jeszcze w marzeniu, co się nie ziszcza, i raz jeszcze nieszczęściem byłabym szczęśliwa.

W moim dziewiczym pokoju czysto tak i ładnie, tak poetycznie. A wszędzie krew i jęki, przekleństwa, zgroza. Mówią nam: «Musicie cierpieć, by przyszła nowa Francja, większa i wspanialsza, lepsza». Ale w tej większej i wspanialszej tak samo chłód życia i samotność i łkanie będą dla mnie.

Gdy, nie mogąc wierzyć nawet, że cię ujrzę jeszcze kiedykolwiek, przypadam myślą do twych stóp i klęczę u twych kolan,—kładę głowę na nie i wchłaniam pieszczotę twej dłoni, gładzącej me włosy. Słyszę wtedy bicie twego serca i głos twój słyszę, co rozwiera nowy sezam w duszy, i modlę się. Nie do Boga jednak, bo nie wiem, czy Bóg istnieje naprawdę, lecz do tego błękitu, co nas kiedyś wspólnie ramieniem ogarniał z pełnym łaski uśmiechem. I jest mi wtedy lżej i mogę wtenczas mniej wzdrygać się i mogę milczeć. Mówiłeś, że oczy mam tak duże i że lęk sarny w nich drga. Lubiłeś moje oczy... Czemuż nie

mogą spojrzeć na ciebie naprawdę! Mówiłeś, że mój dziecinno-dziewczęcy głos tonami muzyki oddaje i że tak lubisz słuchać mej pięknej francuszczyzny. Czemuż, czemuż nie mogę przemówić do ciebie żywego! Umiłowany mały przyjacielu! Twoja mała przyjaciółka, twoja myszka, twój kociak myśli wiernie o tobie i, choć nie wie, czy cię ujrzy jeszcze kiedy w życiu, kocha cię, jak przedtem.

Pamiętam tę noc naszą ostatnią, o, mój ukochany. Pamiętam ją! Żyję nią jeszcze i w mojem biednem trwaniu jest ona klejnotem...

Ozdobiłabym różami i złocieniami łóżko swoje, polałabym nasubtelniejszą perfumą wezgłowie i, ubrana w najpiękniejszy peniuar, czekałabym z rozpuszczonemi, osypanemi złotym i srebrnym proszkiem, włosami na ciebie.

Spojrzałyby znowu moje oczy i przez ich lęk dojrzałbyś cały bezmiar oddania i pragnienia. Przemówiłyby usta moje, popłynęłyby słowa, tonami muzyki oddające, i swoją najpiękniejszą, możliwie nieskalaną, francuszczyzną upieściłabym uszy twoje. Och, rzekłabym ci tyle! Wszystkie dni i noce rozłąki wyłkałyby swą tęsknotę i zawisłyby całunkiem u ust twoich. I ubłagałabym cię, byś wziął mą młodość i świeżość raz jeszcze, byś się niemi nasycił, bo wiem, że upoić się niemi—nie możesz.

Jakżebym cię całowała! Objęłabym cię—i piła, piła z ust twoich. Niechby obrzucili mię błotem

faryzeusze, czy świętoszki. Śmiałabym się z nich. Napół radosnym śmiechem, bo w reszcie mego śmiechu, ty wiesz, rozpacz się tai.

Pąki piersi dałabym ci do pieszczoty znowu i całe ciało swoje. I miałabym to okrutne i święte, cudowne złudzenie, żem stopiła się z tobą w jedno. Noc rozkoszy zostałaby w uroczej samotnej skrytce duszy i żyłabym nią, biedna, długo w swej dalszej udręce. Błyskawica, co rozświetliła mą drogę, kłamna była i tak szybko zgasła...

Pamiętasz ten zakąt nad morzem i falę, co z łkaniem o załam się rozbijała? Pamiętasz dźwięk swej miłej mowy, ciepło swej duszy? Tak kocham twoją duszę! I nieraz z zgrozą myślę: czy nie strząśnie z siebie swego straszliwego smutku nigdy? Lecz komu o to pytać? Mnie? Taka młoda jestem, a krepy własnej tragiczności poszarpać i odrzucić precz nie umiem.

Ta łkająca fala łka mi wciąż jeszcze w sercu. I widzę jeszcze ten zakąt i ciebie, nademną pochylonego, i siebie, przypadającą ku twej piersi i wybuchającą nagle szlochem...

Teraz łka Francja cała, pół Europy. Nawet *ich,* niemieckich katów, kraj łka. Bo może ja się mylę. Może my wszyscy nie jesteśmy nic warci — i tylko nieszczęśliwi?

Staram się dławić swój ból osobisty. Staram się przydać na coś w tej ogólnej zawierusze. Przygotowuję z ciocią szarpie do szpita-

lów, szyjemy bieliznę dla rannych, opiekujemy się dziećmi tych, co poszli na wojnę...

Ale dusza moja wraca ciągle całem swem jestestwem do tego krzyku, co go wtedy w zakącie nad morzem wydała. Szloch fali stopił się z moim i rozumiem, że jej jęk to był mój własny, zawisły nad całem mojem życiem, jęk, którego mi nie zniweczyć. Z sercem brata i drogiego przyjaciela wziąłeś mię wtedy w objęcia. O, najukochańszy! Wspominam to tak często! Lecz nie mogę zapomnieć, co chciało życie ze mną, nim ciebie poznałam, zrobić, w jaką pchnąć otchłań brudu...

Słowa, co zbiegły z ust twych, promieniem omotały ranę mej duszy. O, bądźże ty pokochany za to raz jeszcze! Ale krzyk nie zginie — i tylko gorąco błagać będę los, by część choćby tego krzyku zdołała roztopić się w przestraszającym, okropnym krzyku cierpienia mej ojczyzny. Mój ból i zniewaga osobiste zdławione zostaną wobec bólu i zniewagi tamtej. To jest największa ofiara, jaką ja, mała francuzka, mogę teraz na ołtarzu swego kraju złożyć.

A twoja Polska? Co z nią? Czytamy o niej i interesujemy się nią, lecz ja, ty pojmujesz, więcej jeszcze. Twoja Polska! I jak się cieszyć będziesz, że twoja nieszczęśliwa ojczyzna szczęśliwsza może być zacznie. Lecz kiedy? Lecz jak? I czy istotnie tak, jak wy, jej dzieci, pragnęlibyście?

Mój mały drogi przyjacielu! Twoja mała francuska przyjaciółka tak strasznieby chciała, by zamiar, który zniweczyła wojna, odwiedzenia twego kraju doszedł kiedyś do skutku. Och, jakżeby chciała! I ujrzeć cię tu także, w sercu naszej Francji, już «większej i wspanialszej, lepszej», uściskać i utulić, ogrzać na piersiach kochających, ukochać... ukochać...

Usta twoje całuję, zawisam w ramionach twych, patrzę w twe oczy...

Pisz! Pisz!

Twoja mała

YWONNA.

Warszawa.

Panie drogi mój!

Tak, to fakt. A przecie wierzyć się jeszcze nie chce. Niema już w państwie rosyjskiem pijaństwa! Wie pan, przychodzą mi na myśl stare proroctwa o początku nowej ery w dziejach ludzkości. Może to jest właśnie początek? I byłażby Rosja powołana do stania się głosicielką prawdy lepszego, mającego nadejść kiedyś, życia?

Nie jestem mistykiem, ale gotówem dopatrywać się w powziętem postanowieniu, a raczej w jego utrwalaniu, wyjawu, o tajemną i niezwykłą mistyczność potrącającego. Czegoś, co jakby z wyższego kręgu ducha w mózgi i sumienia ludzi spłynęło. Bo, zaiste, to, co się stało, a zwłaszcza to, co się stać może i powinno, przeciętną i odświętną nawet miarę jednego z rzadszych, na które się czeka lata, albo wieki, odruchów państwowych, lub gromadzkich, przerasta. I należy do rzeczy zgoła osobliwych, których rodzicem natchnienie, jak określają i wierzą prostaczkowie, świętego Ducha jakby.

Wiem. Czysto zewnętrznie jestto fakt, dający się zupełnie dotykalnie i nawet trywialnie wyjasnić: wybuchnęła wojna, więc, by mobilizacja przeszła możliwie prawidłowo i spokojnie, dobrze

było i celowo na czas jej trwania sprzedaży alkoholu zabronić. Zamykam z umysłu oczy na czysto bieżącą i zwyczajną przyczynę. Bo idzie mi o to, co ten użyteczniościowy bodziec zrodził. Rozumiem, że w tem, jak w niektórych rzeczach olbrzymiego znaczenia na świecie, tylko pierwszego, choćby czysto zewnętrznego, choćby pospolitego, zamówienia się było potrzeba, by stała się rzecz wielka, coraz większa, która już dawno może z rozpaczą i utęsknieniem na swe narodziny czekała.

Pan pisze: «Allelujah»! O, tak, allelujah! «Allelujah» zmartwychwstającego z pijackiego obłędu i wszelkiego związanego z niem zatrucia życia i hymn rodzącego się na nowo zupełnie bytu. Stała się rzecz, której my, wyjątkowe pod różnymi względami pokolenie, nietylko świadkami jesteśmy, lecz i uczestnikami — być winniśmy. Olbrzymie imperjum, obok Chin w świecie największe, za jednym zamachem uwalniające się od straszliwego i plugawego, hańbiącego ludzkość występku! Od Lewiatana, pożerającego soki i miąższ ciała i ducha i wtrącającego w coraz okropniejszą otchłań zła, niedoli i zwyrodnienia! Rzecz doraźna, stająca się nagle, w przeciągu dni, tygodni, czemś, mającem żyć przez cały czas trwania wojny i przeradzająca się wciąż mocniej i trwalej, w oczach dusz naszych, w ciągłość, stałość, w nieodzowność, w tryumf, może zbawienie?

Oto nie znała przecie tej rzeczy jeszcze ludzkość, od zamierzchłych początków aż po nasze czasy! Pan pisze: «allelujah»—i pan nie wierzy! Niech pan wierzy!!! Niech nas będzie coraz więcej, tych wierzących, uwierzmy wszyscy—i zwyciężmy!

Jednego z szatanów doli, Lewiatana... Oto święte powołanie i dług i obowiązek naszego pokolenia. A ci, co przyjdą po nas, błogosławić nas będą.

Wyrwijmy małoduszność z siebie, jeżeli istnieje! Łączmy się, skupiajmy! W żywą ranę Chrystusa symbolicznego nie kłaść nam przecie palców! Przeklnijmy—już na zawsze—hańbę swoją. My, karły, do miary wielkiej dorość zdolniśmy, abyśmy—chcieli.

A myślę, że ze wszystkich cudów, które pokoleniu naszemu dane zostały: radu, telegrafu i telefonu iskrowego i żeglugi powietrznej, ten, utajony w nas od prawieków i od woli naszej jedynie zależny, przekleństwo alkoholowi, najprostszy i najwartościowszy jest? Przy ryku armat wyrwany z trzew nam został. I rósł i wzmacnia się w obliczu potoków lejącej się krwi. Ale, gdy krew płynie i płyną tak obficie łzy, może przestaną płynąć one równie obficie kiedyś, gdy umilkną armaty i gdy człowiek znowu wobec duszy swej się ocknie? A cóżbyśmy byli warci, gdybyśmy sami, z zasługą osobistą, lub bez, uchy-

liwszy jednych z wrót jaśniejszej przyszłości, nie przywołali ku temuż i reszty ludzkości?

Oto cudowne zadanie! Oto hasło, powołanie! Krwawy szatan, pijaństwo, wyżera mózgi i serca... Wyżera je ciągle jeszcze—wszędzie. Któraż z krain ucięła łeb hydrze odrazu? I która szykuje się nie dozwolić, by łeb ten odrósł kiedykolwiek? Która?..

Jakże milczy świat. Jak milczy! Słyszymy chrzęst oręża, hukot dział, grzechot karabinów, jęki i krzyki ranionych i umierających. Ale milczy świat. Jak milczy!

Może to nie przypadek, nie zbieg pustych okoliczności, że początek w walce z Lewiatanem dała Rosja? Może to, co na szczytach uradzono, z głębi jeno ducha narodowego wyszło, z powszechnej rosyjskiej duszy ludowej, która, choć tak rozpajająca się, łkała o czynienie inne i, biczując sama siebie, głosem uchwał gromadzkich krzyczała? Może jedno z fantastycznych marzeń Dostojewskiego i innych o narodzie-bogonosicielu tak właśnie się urzeczywistnia? I kiedy Rosja—trzeźwa, całe rosyjskie imperjum trzeźwe, nietylko we krwi niewinnych ofiar, ale w wódce, piwie, winie i likierach, pławią się Niemcy. Pławi się, jak wprzódy, w alkoholu Austrja. I nasi, rosjan i polaków i wielu innych ludów, sprzymierzeńcy: Francja, Anglja, Japonja, Serbja, Czarnogórze—i inni się pławią. Gdzie stał się ten fakt niezwykły, by swe pijaństwo przeklęto? By je

tłomaczyć przestano, usprawiedliwiać? Gdzie je z błotem zmieszano i na nie napluto? Dojść mocą ducha i zapału, bodaj mistycznego, jeśli nie wystarczy użytecznościowy, do reszty ludów i zapalić w ich mózgach i sercach ogień prawdy i poznania! To zrobić!

A gdy się to uczyni, zwrócić myśl w głąb siebie z usilnością podwójną, wyprostować jeszcze bardziej pierś i spojrzeć z pogardą i wstrętem na wsteczną pokusę, gdyby się zjawiła. I odepchnąć ją i pójść pewniej jeszcze swą drogą, by nie uronić niczego z wiekopomnej zjawy, lecz dać rozrość się jej do granic najwspanialszych. Żywie ciało duchem, a duch ciałem, i serce żywie, gdy żywią mózg i wola i wszystko, co dobre i piękne!

Drogi panie! Radośnie pozdrawiam fakt, że i część naszego, polskiego, narodu w tej zjawie udział wzięła. I, myśląc o przyszłej ludzkości, myślę także, tak bardzo serdecznie, i o przyszłej rasie—polskiej.

A pan niech wierzy i panu podobni. Wierzcie, wierzcie! I idźmy społem, *bo czas już nadszedł,* i zacznijmy budować bez zwłoki ów most ku światlejszemu jutru.

Pański zawsze szczerze

WIEŃCZYSŁAW.

Armja czynna.

Kochany mój stary!

Jesteśmy po bitwie. To jest: jesteśmy już kilka godzin po niej. Trwała trzy dni bez mała. Odrzuciliśmy niemców i przemy w ich ślady. Na popasie, czy jak to nazwać, piszę do ciebie, stary mój. Witaj!—krzyczą usta, a chciałoby się tak, by ułowiły twe uszy. Co porabiasz? Jak czujesz się? Co myślisz?

Mógłbyś się zdobyć na obszerniejsze od ostatniego odezwanie się. Wstydź się, stary. Tylko tyle. My «zdychamy» tu bez wieści i każde słowo jest dla nas pokarmem. A cóż dopiero—od przyjaciół?

Zapomnij nareszcie o psychologji «ogólnej» i zacznij mierzyć mię łokciem szczególnej, bo wszystkie wasze przesłanki tu w łeb biorą i my, dzieci obozowych trudów i wojennych delikatesów, zupełnie innym sprawdzianom podlegamy. Co gadać zresztą! Powinieneś sam to czuć, zgadywać, rozumieć. Daćby cię tu, kazaćby powąchać prochu, «polecićby» ci potrudzenie się *à la* nasze... Eche... Odrazubyś na swe normalne i logiczne oczki przejrzał.

Gdy piszę, myślę sobie: ja piszę i to, co napiszę, ten zaczerniony literami kawałek papieru,

powędruje hen. I czytać go będziesz i przeniesiesz się myślą, przeważnie niedołężnie, jak ja się ku tobie przenieść staram, tu. A mnie już tutaj nie będzie, jak niema mnie już tam, gdzie byliśmy jeszcze dzisiaj. I gdzie tak długo trwało wzajemne tępienie się, teraz zaś jeno trupy ludzkie i końskie walają się i przykucnęły mogiły tych szczęściarzy, których wrzucić do dołu i nakryć cierpliwą ziemią zdążyli swoi, czy wrogowie.

I korci mię idea: gdybym to mógł się choćby trochę w ten papier zamienić i zawitać do was, was ujrzeć, odetchnąć trochą waszego powietrza? To byłoby oryginalne! Pożądane! Zajmujące! Miłe! I oto powędruje nędzny papier, a ja, a my...

Bo przecie nie ja jeden z pewnością mam taką ideę i aż po fale Oceanu Spokojnego sięgają tęsknota i życzenia kamratów. Sentymenty! Śmieję się, kochany safandulo, bibulo wieczysta, nasiąkająca nastrojami i przeżyciami, przeważnie z palca wyssanymi, tak kapryśnymi. Tu trzebaby ci pobyć! Tu popatrzyć na niejedno! Tu coś przeżyć! Miałbyś rzeczywistość, niedołęgo, i jaką! A twój mózg, umęczony przez ciebie, wydławiłby z siebie napewno «syntezy», o jakich ci się nawet we śnie nie troiło. To, mój kochany, że wiesz tam coś z gazetek, że domyślasz się, że «określasz», to potłucz o obcas swego starego kalosza: to psa warte. Was, takich zuchów mędrkujących i wiedzących, wielu. Co plunąć, to taki zuch.

A, z przeproszeniem, co wy wiecie? Ech, ty! Coś ty pisał: «Wojnę każdy czuje»? Wojnę czuje? Kto? Taki, jak ty? Albo jak twój sąsiad, albo jak Filipina, nasza praczka, co teraz tęskni może do mojej bielizny? Albo jak pan Łoniewski, «dystyngowany cygan artystyczny», szwendający się nawet teraz, jak słyszę, po kawiarniach? Albo jak moja ciotka, pani Amelja? Ech, wy! I, choćby skala wasza była najrozciąglejsza, poczynając od finezji twego mózgu, a kończąc na móżdżku cioci, wszyscy siebie pod tym względem jesteście warci, wszyscyście jednako w tem inteligientnie trafni, właśnie—kpy. Wojnę trzeba zobaczyć, trzeba się jej dotknąć, trzeba ją przeżyć! I dopiero, przepraszam cię, mój stary, pyskować o niej, choćby uprzejmie i leciuchno w domyślnikach, wkrapianych w «nastrój ogólny» słowy, ty, fujaro, no, oczywiście, «naturalnemi»!

Gdybyś wlazł teraz w duszę moją... Szkoda, że nie możesz tego uczynić. Gdybyś wygrzebał z niej to wszystko, co wojna właśnie w niej stworzyła, jej, powiedzmy, dała! Gdybyś przeanalizował to nie w swojem laboratorjum przy stacji doświadczalnej Towarzystwa, którego jesteś pracownikiem, lecz w doświadczalnej stacji życia! To, mój stary, przetarłbyś wówczas z ostrożną zadumą swą poczynającą debiutować łysinkę i kazałbyś uspokoić się piszącej bzdury łapie. Mówisz, że siła nerwów może być tak olbrzymia,

iż umożliwi zupełnie przeżycie na odległość? Jak cię mam nazwać? Warjatem? A przecie nie chciałbym—ci ubliżać.

Trzymam się. Ocho, i jak. I będę, wiem to, się trzymał. Ale swoją drogą miałem wiele chwil takich, że... No, już się domyśl.

I nie jestem babą. Nie jestem! Dumnym z tego, że, pomijając wrodzoną odwagę (czyż to zasługa?), mam w sobie i wyrobioną uporczywie, i nie od dzisiaj, wolę. A jednak... Otóż to «jednak». Bićbym ciebie chciał, że rozstrzygasz, jak chłystek, i że, będąc mądry, jesteś jednocześnie nietylko... naiwny, ale i bezczelny. Tak, tak! Ty bezczelny, mój stary, kochany, dobry i delikatny stary, a—taki. Czyś ty, choćby w dziesiątej części, swoją «olbrzymią siłą nerwów» umiał, zdołał odczuć to, co ja przez te trzy dni ostatnie tylko, że już nie wspomnę o reszcie, przeżyłem, przetrawiłem? Musiałem przetrawić! Czy nerwy twe, choćby były gienjalne, mogłyby poddać się całkowicie temu, czego straszną rzeczywistością nie przeżyły? Powiedz, ogarnęły cię: polski dur, polska lekkomyślność, że bredzisz tak, czy też poprostu ludzka niesumieność, trochę dziwna w tak «wyrobionym i solidnym typie»?

Jestem zmęczony. I, przyznam ci się, głodny. Rozwarłbym paszczę nietylko dla krzyczenia o strasznem wyczerpaniu ciała i wyczerpaniu duszy, która przecie nie wszystko i niezbyt wiele

bezkarnie «trawić» może, ale i dla pożarcia jakiegoś kotletu z kartoflami i pajdy rzetelnego, pięknie żytniego, chleba z masłem i jakiejś leguminy. Myślę o leguminie. Naturalnie. Ty masz ją zawsze, kiedy zechcesz. I dobry tytoń masz. I co tam jeszcze? Gdyby tak nażreć się lepiej i wypocząć! Ach, goniłoby się żwawiej szwaba.

Obóz daleko i nawet nasze codzienne jedzenie zostanie na dzisiaj trochę fantastycznością. Mam na szczęście kawał razowca z sobą i trochę wędzonki—i miętowe cukierki. Widzisz: cukierki miętowe!

No, do widziska, oczywiście listownego. Ale pamiętaj, by jaknajprędszego. Pisz, staruszku. Nie kwil jednak już tak sprytnie więcej, bo, doprawdy... E, dokończ już sobie sam.

Rad jestem, że ruszymy dalej. Ciągle mam jeszcze w uszach te krzyki konających, widzę ciągle trupy i uśmiechają się do mnie mogiły. Co za głupi uśmiech. A przecie już *tam* zostały i, do djaska, nie mych krewnych, lub przyjaciół, w nie zaryto?

Adieu, stary!

EUZEBJUSZ.

Częstochowa.

Kochana moja!

Nie wiem, czy cię dojdzie ten list, ale myślę, że tak, bo przez dziesiąte ręce powędruje, a takie epistoły—najpewniejsze. Gdyby go przełapali, nie będą wiedzieli, od kogo. Zresztą, po co to? Jeśli go przełapią, ty go w każdym razie nie będziesz oglądała, wraz z zabawnymi wstępami.

Widzisz, jestem z całą Częstochową pod łaskawą opieką i zarządem pruskich mości. *Vaterland* dotoczył się tutaj, a mówią, że niezadługo rozpęcznieje jeszcze. Nic prawie nie wiemy, co się dzieje tam u was, w reszcie Królestwa: oczy opiekunów patrzą, a uszy słuchają i nawet za sprzedaż przemycanych gazet grozi bodaj—rozstrzelanie.

Nie spodziewała się nasza Częstochowa takiego zaszczytu, ogromnie szybkiego, przyłączenia do *Vaterlandu*. Nie jesteśmy już nawet właściwie Częstochową. A *Hellberg*, na którym klasztor,— jakgdyby od wieków wyrósł z pnia giermańskiego...

Mam sposobność uczenia się po niemiecku, to jest doskonalenia dawnej kulawej umiejętności. Stoi u nas na kwaterze dwu pruskich oficerków, a usługujący im polski Grzegorz w mundurze pruskiego infanterzysty także często «imponuje»

nam swem znawstwem *reichsdeutsche* mowy. Boże... Myśl o Bartku-Zwycięzcy nie opuszcza mnie. To było tak dawno... I jak powtarza się—aż do banalności—wszystko. Prawda, droga moja? To jest, ma się rozumieć, trochę krwawa banalność. Owi Grzegorzowie bardzo «z szacunkiem» wizytują *Hellberg*, wzdychając pocichu trochę. I nawet nie przyswajają sobie podobno niczego z dziedziny postronnych «władań» (choćby szklanek od Szmulów, czy papierosów od Marcinów, lub drobnych od wszelkiej «hołoty»). Lecz, gdy trzeba, pamiętają, bodaj ze strachu, że są—pruskimi rycerzami.

Mieszkający u nas dwaj oficerowie starają się, by polki, w osobie mojej, Ziuty, Amy i mateczki, nie nabrały o nich zbyt wykoszlawionego pojęcia. Czasami nawet usiłują oczarować nas wyszukaną uprzejmością i manierami, conajmniej z Poczdamu. Ziutę ten młodszy (brunet o malowanych, trochę sprośnych, ustach) stara się całować w dłoń, lecz skrzywiła się tak parokrotnie, że stracił poczucie potrzeby. Starszy, wysoki szatyn, z wytrawnie wypomadowanem uczesaniem, opowiada nam historję Polski w ulepszonem berlińskiem wydaniu. Dobre i to na nudne i smutne czasy. Ama, jak zwykle wicher i szyderca, przedrzeźnia ich za ich plecyma, a parę dni temu, gdy młodszy nagle się odwrócił i ujrzał to, parsknęła mu w twarz śmiechem, że został, jak głupi.

Mateczka mówi, że oni, ci panowie, wyraziście zaszczycają wzrokiem mnie i Ziutę. Może być. Co mię to obchodzi i Ziutę? Trochę dziwna ta gościna panów oficerów pruskich pod dachem naszym, za którą płacą mateczce jej strachem, a nam—potrzebą trzymania ich «impulsów» na wodzy. Tak jest, naturalnie, nietylko u nas w Częstochowie.

Nie wiem prawie nic, co się dzieje na *Hellbergu*. Ani, by prawdą rzec, w mieście. Zaledwie czasem na krótko wychodziemy. Smutno, ciężko... oto co trzebaby powiedzieć. Ale zdaje się, że to się mówi teraz w wielu zakątach Europy? Jak długo?—pytamy. Kiedy zmieni się to, tamto i owo? Żyjemy na wyspie! Kędy wyjście?

Jeżeli będziesz mogła, donieś choć kilka słów *koniecznie*. Niepokoję się tak o ciebie. I napomknij między wierszami o chwili...

Serdeczne całusy, uściśnienia.

LALA.

P. S. Właśnie widzę przez okno, jak wraca nasz porucznik (szatyn). Całe Prusy, ja czuję, dźwiga w sobie. Za nim Grzegorz. Ten dźwiga tylko *Hellberg* w sobie: bardzo jest pobożny i znowu, ręczę, był na mszy świętej, która mu doskonale wszystko zastępuje.

Warszawa.

Słuchaj no ty, Zuźka!

Już tyle czasu, psiatreść, jak pozamykali wszystkie monopolki i piwiarnie, i ani gorzały, ani piwca tera nijak, choćby bebechy z siebie wydusił. A to przez tego Wilusia, którego na łańcuszku, niczem niedźwiedzia, mają tu do Warszawy sprowadzić i później do Petersburga, co tera na Piotrogród przeflancowany. A później do Moskwy i na Sybir, żeby mu się ciepło na dworzu zrobiło, jak będzie wspominał, co namalował. Bo przecie nasze sołdaty, ruskie i polskie, i żydy i różne tatary, i gruziny, i bo ja wiem jakie jeszcze, mają być trzeźwe, to nie przefujarzą szwaba, jak będą do niego się przymierzali. A że Wiluś zaczął tę całą hecę, niby wojnę, więc, gdyby nie jego psubrackie właśnie napadnięcie, nicby nie było i tej cholernej trzeźwości także.

Urwało się wszystkim brachom, dobrym androm i majchrarzom, złodziejskim synom, i co tera? Wszędzie, psia galareta, wojsko i wojsko, policja, stan wojenny, że czuj duch, to i klawej roboty dawnej ani poświeć. I tylko byle co, jakieś parszywe obranie z woreczka w tłoku w kościele (okrutnie się baby modlą, żeby ich szwab nie

tego...), albo gdzieś na targu. A na rozgrzewkę, jeśli bardzo flaki już zziębły, herbata, czy inne jakie świństwo. Bo przecie ktoby, jak mu życie miłe jeszcze, a nie zgłupiał do ostatniej zdechłej reszty, na denaturówkę, albo politurę, się puścił?

A co, i u was i wszędzie tera takie mlaskanie ozorem za sznapą? Jutro! Niedoczekanie chamskie wasze! Weźcie mordy w łapy i potrząchnijcie fajno, to się wam, kiedy w oczach świeczki dęba wyśmigną, przywidzi, że to szpajrytus smakujecie!

Ech, przeszły cwane czasy, a mówią, że na zawsze! Niema żadnych dobrych włamań, ani, co się patrzy, innej uczciwej i rzetelnej złodziejskiej roboty, jak rzekłem, a później hulania po szynkach, gdzie nietylko wódka, ale i winco i likier nawet fest odchodził. Cała człowieka, psia jego kościunia, edukacja do śmierdzącego luftu przepada. Co sobie zaś wyrobił w pocie czoła zgrabność szlachecką w fachu, to tera na tresowane psy wściekłe zjechał, a palce, jak strugane. I po prawdzie ryzykować, to też we łbie, choć i przez sznapy, a więc przez kawalerskiej fantazji, nie wszystkie klepy się jeszcze rozleciały. Wzięliby panicza na sznurek: niech dynda nóżkami! A jęzora wywaliłby, żeby lizać powietrze, ażby się w ciałku sztywno zrobiło—i zdechłby. Wojenny stan, jak ci rzekłem! Jednem słowem opera, że niech ściśnie i tę wojnę, i tego Wilusia i tę trzeź-

wość, co pożytek z niej dla bydlaka-frajera, bo go obrać trudniej, ale nie dla porządnych złodziei.

Zuźka, piszę ci raz jeszcze po dobroci: przyjeżdżaj tu, psia słoniowa, kiedy cię grzecznie proszę, małpo! I nie czekaj, aż ci pysków nabiję, jak się do twojej głupiej Małkini dobiorę. Wódki niema i fajnej roboty złodziejskiej, no, tak. Z głodu przecie jednak jeszcze nie zdycham i potrafię ci dać nietylko żarcie, ale i kieckę, i pończochy, i podwiązki i buciki i pójdziemy czasem do kinemy. A jak będziem w kinemie, to też idjoty wystawiać nie potrzebuję i dobiorę się do kieszeni jakich frajerów. Tam przecie ciemno i niema lepszej dla dobrego złodzieja okazji, jak kiedy facet do facetki się przyciska. Połaskotać go wtedy, to myśli, że to ona go tak słodko łapą skrobie. Nie bądź głupia, mówię, i nie rób ze mnie złej sobaki. Bo jak stracę resztę cierpliwości, to zguba twoja i tego Wawrzka-drania, z którym, ja wiem, puszczasz się pokryjomu, a trajlujesz, że u matki dla jej zdrowia siedzisz.

Zuźka! Cni mi się! Nie o wódkę już i smoczą złodziejską robotę stoję, ale o ciebie, bodajby cię pokręciło, moja złota i kochana Zuźka! Pamiętasz, jakieśmy się kochali morowo? Przyjedź zara i będziemy znowu, jak dawniej! I rzuć całkiem tego psa Wawrzka, któremu zęby kiedyś wszystkie wytłukę.

A że mię pewnie wezmą w sołdaty, bo to coraz więcej o «ratnikach» ćwierkają, a ja jestem

«ratnik» właśnie, to przyjedź koniecznie. Ukochamy się może ostatnie dni już przed śmiercią moją. Kto wie? Jak wezmą «ratników», to i po mojem złodziejskiem życiu być może. Żeby kołem migdaliło tego Wilusia, jak go na Sybir gnać będą!

Zuźka, czekam, pamiętaj! No, a tera cię ściskam bardzo mocno i szczerze, ty, cholero.

BRONEK.

Armja czynna.

Moja kochana!

Nudno, szaro... Siepie maleńki deszczyk, zmieszany z mgłą i chłodem przenikliwym, z oślizgłością i zgnilizną, i sięga wprost do trzew, wypełniając je czemś obrzydłem. Siedzę w jakiejś chatynie, dokąd zaszedłem umyślnie dla napisania tego listu. Tu mam czekać na sprawozdanie wysłanego przezemnie wachmistrza. A później znowu na koń czynić wywiad ze swym oddziałem dla tropienia austryjaka.

Zziębły mi dłonie—i dusza. Maleje moje «ja» i ze zdziwieniem czasem stwierdzam, że jeszcze istnieje. Wydaje mi się bowiem coraz częściej, iż tylko zewnętrznie zachowałem siebie, może nawet udoskonalonego, i że sprężystość, odporność i wynalazczość, twórczość ciała okupiłem najzupełniej skurczeniem się tego, co właśnie przywykliśmy nazywać, bodaj trochę niesłusznie, duszą.

Je mię wewnętrzny bezwład, gnuśność mózgu. Automatyzuję się. Wchłaniając nieledwie z przestworza gorączkę czasu, nastrojów i pobudek, coraz się robię spokojniejszy, niewrażliwszy na potrzebę tej sprężystości *innej*, która jedynie,—tak mówi mi przeświadczenie,—o życiu i wartości człowieka stanowi. Kawał duchowego drewna...

To przykre, a nawet obrzydłe. Czy można tak, czy wolno? I czy winno się szukać dla takich stanów usprawiedliwień?

Przecież—nie! Co za sens zresztą? I do czegóżby to doprowadziło? Dlatego nie miałbym czelności powiedzenia, że ich szukam. Ale nie szukam też, kochana, sposobów zniweczenia takiego stanu i to może chwilowo ze wszystkich, jakie popełniłem i popełniam, grzechów najcięższy. Nie rozumiem siebie. Coprawda, zrozumieć siebie gdziekolwiek i kiedykolwiek, jakkolwiek, to byłby tryumf. O, jak tu dopiero i teraz dobrze widzę karlość tego, co zwać się pragnie człowiekiem. Nie rozumiem siebie. Bodaj—przez pół. Bo właśnie to, co przeżywam, zdaje się, powinno, i nie na chwilę, nie na tydzień, lub miesiąc, dać tyle *musu* dla budzenia się i ruchu tak zwanej duszy. Lecz może tu dopiero los ofiarował mi sposobność ujrzenia dobitnie i dosłownie, że jestem typem pospolitym, szarą bryłą, na płaszczyznach której wyryte jest jedno tylko hasło: spać z oczyma otwartemi.

W chwilach wstydu pytam siebie: może to zmęczenie, wyczerpanie, trwające już tak długo, za długo, i jeszcze trwać mające? Może to zbyt wielki wstrząs, poprostu fizyczny, też trwający i zabijający zdolność tamtą, gorzej, *konieczność* tamtą? A może to tylko wszechsilne tchnienie, to samo, co, czając się, kładnie na powieki ołów nie-

tyle kul karabinowych, ile bezwładu i każe pożądać, modlić się o jedno: sen... sen... sen?.. O niezwykły na jawie sen, sen, co nie paraliżuje ręki, ani udaremnia jakichkolwiek fizycznych zamierzeń. A gdy pożądanie go dorasta do miary zbyt straszliwej, majaczy się, jak wizja pokorna i kojąca jednocześnie, słodyczy i nagrody pełna, sen—wieczny.

Może tą napół świadomą tęsknotą nasycone są serca większej ilości ludzi, niż to się wielu, niż im się samym, wydaje? Może tylko w pewnych chwilach jawnie zupełnie wybłyska z nich ta świadomość, przestraszająca ich, mimo tajnego pożądania, do szpiku kości? Kochana... Nie chcę twego lęku. Ani człowieka, ani żołnierza nie byłaby to chęć godna. Mówię z tobą, jakbym z mózgiem swoim mówił. I patrzę w twe oczy, mówiąc, i przepraszam, jeślim ból mimowoli zadał, lub cię zaniepokoił...

Ty się nie niepokój. Nie niepokój się, żono droga. Gdyby westchnienie twe co pomogło, radbym, by zdołało urodzić we mnie nową dla czucia treść.

Trochę się zastanawiam... mimowoli. Nie jestem poetą, ani powieściopisarzem, ani nawet przecie estetą, wygrzebującym za wszelką cenę z siebie—tragizm. Nie jestem także rosjaninem. Nie mam we krwi «zasadniczej» ponurości stref śnieżno-lodowych, ani wyjącej tęsknoty stepów, czy płaczu borów. Należę wszak do narodu, co,

chociaż lekkomyślny, fantazją trwa i przelewaniem się w nim drgań,—przepraszam cię za cudackie powiedzenie,—eteru życia, w płodnych i jałowych chwilach, aż, bodaj, zanadto. Jestem przytem wojskowym nie przygodnym, rotmistrzem, pochlebiam sobie, z *a priori* posiadanym, wprost obowiązkowym, zapasem soków ducha, głęboko nie neurastenicznych. Co zresztą: neurastenja! Plwam na nią.

Zachybotał się płomyk świecy. Otworzono drzwi (wszedł właśnie wachmistrz) i wdarł się dech zimnego i oślizgłego wiatru, tego, co mrozi może i tak zwane dusze. A płomyk jęknął jakby. Komedja, kabotyństwo! Wachmistrz zdał krótkie sprawozdanie. Dobra nasza! W tej chwili siadam na koń i uczynimy nocne zwiady.

Żegnaj, ty, kochana. Pisz-że, pisz. Ucałuj Lusię i Wacka, matce swej do nóg się pochyl odemnie.

Twój zawsze

JULJUSZ.

Opole.

Łaskawy Panie!

Pan ma słuszność: z zamierającem sercem śledzimy tu na Śląsku tworzoną historję dni bieżących. I lud, i mieszczaństwo i my, inteligiencja. Mówię, naturalnie, o polakach. Ale śledzą i prusacy—po swojemu i kraczą już o swym tryumfie, a w takim razie bodaj o ostatecznej chyba naszej tu zagładzie. Ta przedwieczna prawie Polska, co tu jedną ze swych komór narodowych zaległa, i dotąd tak żywa,—jeszcze skurczona. Rozpacz w duszach się tai, tych czulszych i odzywających się na tętno powszechnej matki naszej. Rozpacz, że wiemy tak mało o wszystkich przejawach i drgnieniach jej, i rozpacz, by to, co prusak od lat knował, nie stało się nagrodą jego wytrwałości.

Mówi pan, że po nad wszelką istotną wygodę materjalną i rzekomą kulturalną my, polacy «niemieccy», winniśmy, gdy przyjdzie chwila, przełożyć dobro zrzucenia z siebie prusaka bezwzględnie i nazawsze. Tak! I jeśli teraz mogą się znaleźć u nas niejacy «ideowcy», którzy, pomimo wszystko, przeciw temu się opowiedzieli, my, bodaj wymownem milczeniem, odrzekliśmy im, co należy. Ale nie samem milczeniem. Przez Boga, nie samem niem! I tylko tak okropnie żałuję, że po-

dobnych panu narazie nam zbrakło i że to, choćby poufne, podziemne, wzajemne uświadamianie się nie ma często należytych kierowników.

Wiemy tu dobrze, oczywiście, o orjentacji rodaków w Galicji (przynamniej tej «głośnej» ich części), bo najprzód: wojna trwa już przecie czas pewien, następnie zaś: nie zaniedbali o niej najserdeczniejsi nasi z tryumfem i szczerze rozgłaszać. Nam, «wasserpolakom». Teraz, gdy trzeba, znów na chwilę jesteśmy niezaprzeczalną częścią plemienia polskiego w oczach panów landratów i wszystkich policjantów. Wolno nam dyszeć po polsku, ale... W «zjednoczonej» przez «przyjaciela» pruskiego Polsce mamy conajmniej dyszeć podobnie. Tak mówią! Tak obiecują! Wasserpolskie buty, gdy udepcą wespół z poznańskimi, kaszubskimi i już bodaj ułudnymi wendyjskimi ziemię «Hinterlandu», Mazury, Podlasie i Łomżyńskie, przy pomocy butów pruskich, stworzą trwałą opokę, na której zbuduje nam prusak kościół, jak okiem sięgnął, narodowego szczęścia i zbawienia.

Chełpią się ci zbawcy nasi zwycięstwami. Pan tam w Danji wie o tem też coś chyba, choć ma możność spoglądania i na odwrotną stronę medalu. Zwyciężamy ciągle. My. To jest «wasserpolacy» i dodatek, państwo pruskie właśnie. Tak obowiązani jesteśmy głosić swemu mózgowi, bo więzienna krata, albo coś jeszcze gorszego, mrozi nieco... Ale instynkt nie umiera przecie, ani na-

wet karmiony po prusku mózg. Nasza prastara ziemia piastowska, choć zdradzona przez zaprzańców piastowskich, polskie zachowała ucho, które słyszy. A nasze polskie pragnienie spiętrzyło się aż ku szczytom świadomości: w Polsce nam już być nareszcie, lecz jednocześnie zdławić nam i, gdyby można, unicestwić prusaka. Gdyby można! Wespół z kim? Z Anglją, Francją, Rosją i resztą Polski? Nam, «wasserpolakom»? Jakżeby zapłacił los za wieki hańby i upodlenia, katuszy! O, gdyby wiedziały te psy pruskie... One wiedzą zresztą. Ale nie wiedzą aż do głębi, bo inaczej nawet takiego, i równie nędznego, szantażu zaniechałyby, jaki czynią.

To niedobrze, że pan nie wierzy «w prawdziwie odpowiedzialną prężność ducha wasserpolskiego». A polskiego wogóle? Oto zagadnienie! Jednak, jestem przekonany, myli się pan pod tym względem na szczęście i przyszłość, już niedaleka, to pokaże.

Trzebaby panu wracać koniecznie. Koniecznie! Ja wiem i rozumiem, że sprawy, o których mi pan doniósł, ważne są, ale tu być teraz—to może ważniejsze jeszcze? Uciekają w przeszłość dni i nie wróci żaden. I, nie wiedząc, zbliżamy się ku katastrofie. Coraz już bliżej ona. Za parę miesięcy, za pół roku, za rok, mniejsza o to. Ale dla kogo katastrofa? Dla nas, nietylko «wasserpolaków», lecz polaków poprostu, czy dla nieśmier-

telnego Ulrycha von Jungingen? Dajże, losie, by dla niego! Niech śmiertelnym się okaże. Niech, jako zbir ludów i historji, skończy się. Niech się skończą Prusy. Z szlochem, posypany popiołem pokutnym za wszystkie grzechy swoje i swej matki polskiej, z kotwicą, symbolem nadziei, przy narodowym okręcie, szarpanym przez wściekłe fale zalewu od wieków teutońskiego, wyciąga lud śląski ramiona ku Macierzy i czeka na wielką godzinę. I prawda, panie, czy teraz, czy za lat sto, lecz skończą się Prusy, *muszą* się skończyć, kainowy pomiot, państwo demona i furji? A Śląsk i Poznańskie już teraz oderwane będą?

Gdy pan wróci, ujrzy pan naocznie «prawdziwie odpowiedzialną prężność ducha wasserpolskiego». I może zdziwi się pan więcej jeszcze, niż my się sami dziwimy.

Czekam pana. A tymczem szlę serdeczne pozdrowienie nietylko od siebie, lecz i od tej tak drogiej nam i panu, naszej i pana, ziemi śląskiej.

Pański

AMBROŻY.

P. S. Oddawca niniejszego jedzie do Kopenhagi w swych sprawach handlowych. Może mu pan ufać. To człowiek uczciwy i umie milczeć.

Szeklany.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Jaśnie wielmożnemu panu hrabiemu ośmielam się donieść, że, według rozkazu, wszystko już w Szeklanach przygotowane na przyjęcie jaśnie wielmożnych hrabiostwa i ich krewnych, o których pan hrabia wspominać raczył. A więc dolne trzy apartamenty dla pana hrabiego Macieja z rodziną, dla księcia Alfreda z rodziną i dla księcia Witolda z strzelcem, że to się z nim nie rozstaje. Górne dwa apartamenty na prawo dla pana hrabiego Żołchowskiego z siostrzenicą i dla pana Niżyńskiego z rodziną. Na lewo zaś dla pana barona Połtackiego i dla pana Watarskiego, też z rodzinami. Pytali pana administratora w powiecie, co to za zjazd się szykuje? Odpowiedział, że familijny, bo czy nie? I dodał pan administrator, że jaśnie wielmożny pan hrabia staropolskiej gościnności radby dowieść, bo pałac księcia Witolda w Lelwie i księcia Alfreda w Dańkowcach przez austryjaków rozgrabione, pałac pana Żołchowskiego w Sielinie i pałac pana barona Połtackiego w Niezgorzewie przez niemców spalone, a pałace pana hrabiego Macieja w Wądolinie, pana Niżyńskiego w Rogalach i pana Watarskiego w Zgowie—nawpół spalone lub ograbione.

Był tu przejazdem do Falkowa gubernator. Zatrzymał się nawet na dwie godziny w pałacu, bo coś się w jego samochodzie zepsuło i musiał palacz naprawiać i nasz mechanik. Nikogo akuratnie nie było, tylko ja, bo pan administrator w Pętrzycach w cukrowni, a pan rządca w objeździe. Przyjąłem, czem mogłem, pana gubernatora. Moja zawinęła się z przekąskami i czarną kawą. Oglądał ciekawie wszystkie apartamenty, że to odnowione, i rozpytywał, dla kogo? Kiwał głową, że jaśnie pan hrabia tyle straty poniósł w Walirzewie i Stopkach. Powiedziałem mu też o domach kaliskich. I kiwał głową, że cała prawie liczna rodzina jaśnie pana hrabiego tak skrzywdzona przez tych szwabów i austryjaków, i mówił, że przynajmniej w tej przykrości pociechą dla wszystkich jaśnie państwa będzie to zjechanie się i przebywanie razem czas jakiś. A bo nie, proszę jaśnie pana hrabiego? Mnie poklepał po ramieniu i powiedział, że jestem «stary, ale jary jeszcze» i napewno najulubieńszy z jaśnie pana hrabiego kamerdynerów. Jakby mię miodem posmarował. Słodko mi się zrobiło, i odrzekłem mu, że jaśnie pana hrabiego miałem szczęście jeszcze niemowlęciem na rękach po tym samym pałacu, mój Boże, obnosić.

Pytał jaśnie pan hrabia w ostatniej kartce, czy spokojnie tu i czy niema naprawdę obawy, żeby wdarli się niemcy? Nie, proszę jaśnie pana

hrabiego. Nawet pan gubernator, kiedym go o to spytał, odparł mi: «Napisz swemu panu, że co mogło być, to już było, a teraz pędzić będziemy szwaba do Prus i że zresztą w tych stronach zatrudnoby mu było nawet wtedy się pokazać».

Jaśnie panu hrabiemu donosząc o tem wszystkiem, całuję rączki jaśnie pana hrabiego i jaśnie pani hrabiny.

PAWEŁ.

Moja i ja okropnie jesteśmy zgnębieni: od syna ani słowa z pozycji. Gdyby jaśnie pan hrabia raczył się może przez stosunki między panami gienerałami i pułkownikami dowiedzieć? Takbyśmy byli jaśnie panu hrabiemu wdzięczni! Do nóg upadam.

Sztutgard.

(Po niemiecku).

Drogi Panie!

Okólnym szlakiem dotrze mój list do pana Jedzie znajomy do Szwajcarji i stamtąd go panu do Warszawy przeszle.

Jeszcze mam tak żywo w pamięci nasz wspólny pobyt w Sztutgardzie. Ale, choć zaledwie siedem miesięcy od tego czasu upłynęło, wydaje mi się, że było to przed laty i że nietylko czas legł między nami, lecz i wszystko, co się w ostatnim okresie stało. Jestem oto urzędowym wrogiem pana. Mam pana, przynajmniej jako rosyjskiego poddanego, nienawidzieć i panem, jak teraz «patryjotyzm» niemiecki nakazuje, pogardzać. Należy pan dodatkowo do narodu, który mojemu nie umiał za nic «wdzięcznym» być, a teraz, jak słyszę, tam, w rosyjskiej Polsce, przeciw nam i słowom naszego cesarza się opowiedział.

To wszystko sobie uświadamiam, to wszystko odczuwam i rozumiem. Siostrzeniec mój właśnie z rosyjskiej Polski nadesłał mi list, pełen oburzenia na ziomków pańskich i pełen głębokiego przeświadczenia, że powtórne podejście do War-

szawy armji niemieckich jest już tylko sprawą czasu. Ja jednak mam złudzenie, że list mój z Szwajcarji nadejdzie i nie zostanie przez władze niemieckie w Warszawie skonfiskowany, bo ich tam—nie będzie. Lecz, jako ostrożny niemiec, nie podpisuję się na wszelki wypadek. Pan odgadnie, od kogo, a adres mój zna pan przecie.

Robię sobie wyrzuty, że mój patryjotyzm załamuje się tam, gdzie szczególnie krzepkim okazać się winien: nie wierzę w wzięcie przez nas Warszawy, *eo ipso*—Polski rosyjskiej. Wiem, to źle. Nawet tu, w Sztutgardzie, stolicy Wirtembergji, obowiązują nas wiary i orjentacje... pruskie, to naturalne. Żeglujemy ku przyszłości pod skrzydłami nad-żeglarza, pruskiego orła, i wydaje nam się chwilami, że orzeł Rzeszy nigdy piór, ni dziobu, ni szponów nie posiadał. Zwłaszcza tych ostatnich. I nietylko tak u nas, w naszej Szwabji. A Bawarja? Saksonja? Hesja? Baden? A księstwa i książątewka? Ale zegar dziejowy wybił: my wszyscy niemcy przecie.

Z jakąż ironją myślę o naszej wiosennej rozmowie. Pan pamięta, — to było przedwiośnie raczej? Nasza przedwiosenna, ale nie zimowa, rozmowa miała niby wiosenne dać pędy, piękniejsze i bujniejsze od tych, któremi zieleniły się słabiuchno gałęzie drzew parku królewskiego. I dała istotnie! Ilekroć jestem w parku (chodzę tam czasem z małą Klarą i Fritzem, gdy jest su-

cho i gdy wiatr nie dmucha), wydaje mi się, że cień pana błądzi i że polski, słowiański romantyk, jeszcze przecie młody, zadumał się. Patrzą czarne gałęzie i śmieją się. Z pana? Ze mnie? Z nas obu? Z wszystkich?

Znam ten śmiech. Gdy nasi szli na wojnę, widziałem w oczach ich i na ich ustach taki. A teraz tyle tych oczu i ust tyle umarło już. Może śmieją się już tam, w mogile, i słyszy ich ziemia, część tej przecie, po której chodzimy, i zamyśla się.

Gałęzie drzew się śmieją... Bo one nie umarły, straciły jeno tę zieleń i ten kwiat, co przyszedł po pańskim już wyjeździe, a które były tylko dodatkiem. Zapomnieliśmy — pan i ja — że nie o zieleni nam mówić trzeba było i o kwieciu, o runi nowej, lecz o drzewach poprostu, nawet czarnych, nagich, co, choć trupy, trupami nie są pono. Przyjdzie słońce — pan rzeknie. Przyjdzie znowu przedwiośnie i skończy się zima, odtają głuche ziemie, drgnie skorupa. Zakolebią się te trumny może, co w martwej uległy się opoce, i dadzą świadectwo *innej* prawdzie. Spłynie łzą odkupienia lód serc i krzyknie dusza... Może, może... Ja też śnićbym gotów, bom, choć stary, jeszcze trochę neoromantyczny. Ale...

Pytał mię Fritz dzisiaj: »Dziadziu, a czy listki i kwiatki na wiosnę będą takie same? I czy drzewa dadzą w lecie takie same owoce?« Coś złamało się we mnie. Bo listeczki i kwiatki —

wiem—będą takie same, ale jeśli owoce dum naszych będą takie, jakie nam tegoroczne lato dało?

Siostrzeniec zapraszał mię do odwiedzenia Częstochowy, gdzie już nareszcie, jak donosi, hellbergowską Matkę Boską musztry niemieckiej nauczono, by poznała swój względem nowej ojczyzny obowiązek. Mamy tam już u was Grossgarteny, Kaiserbergi, Neu-Breslau'y. I zgoła wypadkiem przypomniałem sobie, że Alt-Breslau, Breslau poprostu, Wrocław, na starej polskiej ziemi się znajduje, a cóż w niem słowiańskiego zostało, proszę pana, i w Prusach wogóle i bodajby w Berlinie? I czy zostać miało obowiązek? Bo, pomijając wszystko, nie zanika, nie kurczy się, nie wsiąka w inny tylko ten naród, który naprawdę i z całej duszy, z całego mozołu lat, miesięcy, dni, godzin, minut i sekund, z najświętszego wysiłków uniesienia, temu się *nie daje.* Prawda, panie?

Nie wierzę, by niemcy zdołali zagarnąć i utrzymać rosyjską Polskę. Ale wierzę, że gdyby to nastąpiło, z winy i zła polaków przedewszystkiem, stałaby się ona względnie prędko *istotną*, wraz z resztą ziem polskich, częścią składową Giermanji. Mógłbym się cieszyć wtedy, jako niemiec. Ojczyzna ma, rosnąca od wieków, sadowiąca się wciąż mocniej w przełęczy między dalekim Zachodem i Wschodem, dążąca do stworzenia z siebie jeśli nie imperjum świata, to im-

perjum nieco na los świata wpływającego, urosłaby przez Polskę przedewszystkiem, krainę bajki, zaiste, choć—okropnej.

Mój drogi panie! Z dalekiej ziemi rodzinnej, Wirtembergji, ściślej mówiąc—Szwabji, wyciągam do pana, polaka, dłoń i życzę panu z całej duszy, by los wam pozwolił uniknąć tego, dając możność oglądania ukochanej przez was ojczyzny, Polski waszej, w świetle nowych jej nareszcie ducha wartości. Dotąd jeszcze jestem wstrząśnięty wielu słowy waszego narodowego poety, Słowackiego, o których mi pan wspominał. I myślę, że u nas, prócz żyda Heinego, nikt chyba nie zdobył się na równoległe o Niemczech biczujące wyjawy?

Dziś rano doszły mię słuchy o nowym artykule Hardena w «Zukunft«. Żałuję, że nie mam jeszcze samego tygodnika pod ręką. Może to zbyteczne jednak i słuchy, nawet przekręcone, są w każdym razie *też* wyjawem, nieco innym, lecz ściślejszym jeszcze, od Hardenowskiego, ulepszonym — o Niemczech? Jakgdyby Niemcy same krzyczą o tem! Trąba niemieckich niebios zagrzmiała nad całą naszą ziemią i skojarzyło się niebo z ziemią i pobiegł grzmot...: Nowe majestatyczne Niemcy, dziecię nietylko 70-go roku, lecz «ojciec przyszłości»! «Niemcy prowadzą tę wojnę — pisze Harden — bynajmniej nie w celu ukarania winowajców, albo wyzwolenia narodów

uciśnionych, by następnie spocząć na wawrzynach swej bezinteresownej wielkoduszności. Działają one w niezachwianem przekonaniu, że akcja i sprawy dają im prawo do nowego miejsca w *wszechświecie* i nowego pola działalności. Wybiła dla Niemiec godzina stania się mocarstwem, kierującem całym *wszechświatem*».

Może Harden nie użył tych słów: «w wszechświecie» i «wszechświatem», może jestto tylko «rozszerzenie», przez wyobraźnię, czy też «ścisłość» famy, uczynione, ale czy o to idzie? Czy idzie o Hardena? Czy też o to, co wogóle przypaść do przekonania mej ojczyzny zdoła?

A jednak... Boże... Mielibyśmy się my, niemcy, do tego dotoczyć? Ów «wszechświat»—to uśmiech niemieckiego obłąkania, ale nie mądre i dumne słowo Niemiec przecie?

Jak zazdroszczę panu, że w pańskiej ojczyźnie, że w całej wojującej z nami—duchowo, czy czynnie — Słowiańszczyźnie, nie mogłoby być miejsca na podobne, tyczące się jej wyjawów, wątpliwości. To tyle! To tak olbrzymio dużo! I gdy ja, człowiek, korzę się przed mistycznym majestatem kosmicznego bóstwa, gdy korzę się przed Kosmosem, jakże, nie nakładając kaftana furjata na siebie, mógłbym zahaczyć się myślą o coś podobnego, choć idzie o moje Niemcy?

Gdy to piszę, zaczął padać pierwszy śnieg. Pierwszy śnieg... Patrzę na białe płatki i jestem

świadkiem, jak giną błotem, rozdeptane przez stopy przechodniów. I myślę: oto z moich niemieckich marzeń życie wiele błota niemieckiego czyni, a z pańskich polskich—polskiego.

A czy błoto niemieckie różni się czem od polskiego, proszę pana? To jest jedno — ludzkie, prawda?

Przyjdą: przedwiośnie i wiosna, przyjdzie lato... Przyjdzie słońce i śpiewy ptasząt przyjdą i wiewy zefiru i westchnienia rodzącej ziemi. A przecie płakać nie przestanie daleki bór i w łonie ziemi przewracać się będą, patrząc wygniłemi oczy, trupy...

Jutro pójdę do królewskiego parku z Klarą i Fritzem, jak często. Wspomnę nietylko nasze wspólne estetyczne wzruszenia z «Grosses» i «Kleines Haus'u», ale i wspólne rozmowy raz jeszcze.

A na gałęziach drzew może już nie dojrzę złowróżbnej i martwej czarności: zakryje ją i ubieli dzisiejszy śnieg. Ale któż powie sercu, że to nie pojutrzejsze błoto tylko, które niezdolne jest stworzyć chwilowej nawet—złudy?

Dłonie pańskie ściskam. Jeśliby pan zdobył «neutralną» możność odezwania się, proszę o to z serca.

Pański

* * *

Łańczyce Wielkie.

Do wielmożnego pana redaktora się odzywam, choć myśl ciężka i palce prawie chodzić nie chcą,—ani weź pióra w rękę. Ale nie sposób, bym się z panem nie podzielił i czytelnikami naszej kochanej «Jutrzenki» wiadomościami, jeśli jest okazja wysłania. Jedzie z naszej wsi do Warszawy gospodarz Jacenty Wielgorek i on to pisanie wielmożnemu redaktorowi zawiezie, da Pan Jezus, szczęśliwie. Przyjdzie jednak nieborzątkowi dobrze głową kręcić, aby się tam dobrał, że to niemcy wszędzie, a jeśli tu i ówdzie już przepędzone, to kolej zrujnowana, mosty powysadzane, szosy popsute. Okrutnieśmy tu dużo przeżyli, na wołowej skórzeby nie spisał, i nawet tera skóra, ale nasza własna, cierpnie, gdy się wspomni to wszystko. Pan Bóg strzegł, że z życiem uszliśmy. Ale co czeka jeszcze? Bo to mówią, że niemce znowu wrócić mają. A one same, kiedy odchodziły, gadały: «Do widzenia», «afidersen». To «afidersen» w uszach ciągle. Jakby właśnie trucizna, blekot, domieszany do wszystkiej myśli. A mówili (byli tacy), że te niemce lud uczciwy i szanujący nietylko Pana Jezusa, ale i Matkę Boską, choć lutry.

W gruzach fabryka, to jest cegielnia pana Obawskiego, co na pół wiorsty od Łańczyc. Dwór w Żołkowie spalony, zabudowania wszystkie go-

spodarskie także. Z śpichrza zabrali omłot do ostatniego ziarnka, wywieźli słomę, siano. Konie, bydło, świnie, owce popędzili, albo zarżnęli, wszystek drób, co gadać, zabrali i uprząż i myślę, że kamień tylko na kamieniu został. Powiedzieli, że pan dziedzic zdrajca, bo rosjanom sygnały podawał i że to za to. Przywiązali go do słupa we własnem obejściu i mieli już rozstrzelać, aż tu krzyki: «Kozaki»! Uciekli, jak kto mógł, oficer ich szablę nawet zgubił, ledwie dopadli koni. Z naszej wsi widzieli, jak cwałowali. Kozaki za nimi w nogi—wyciągnęli się sznurem na drodze, a na czele jakiś brodacz. Trwało to krótko-długo, przelecieli wszyscy koło wsi naszej, że to na boczną drogę wpadli, a później zaczęło się. Pierwszy raz i dotąd ostatni widziałem, jak się ludzie rżnęli. Nie zapomnę, póki życia. Straszne rzeczy. Właśnie skradałem się z pola z Kubusiem do chałupy. Chałupy, mówię. Ale usta, nie wiedzący, kłamią, niedawne wspominając. Pół chaty rozwalone od jakiegoś zabłąkanego szrapnela. I nietylko tak z moją. Wigorczaka sadyba spalona. Od innej bomby zapaliły się dom i obejście. Kilkanaście chałup podpalili niemce, choć żadnemu z gospodarzy nie mówili, że sygnały rosjanom podawał. Co było, grabili, kwitki dając. A te kwitki, pożal się, nawet na to, co pan redaktor może się domyśla, niezdatne: twarde i małe. Zresztą u nas ludziska i bez takich zbytków rady sobie dają

i czy o tem myśleć tera? Tydzień huczało dookolusieńka i trzy razy mieliśmy zbójecką gospodarkę pludrów. Pouciekało naszych gospodarzy i bab, i dziewuch i parobków wielu, ale może gdzie po drodze kulami dostali, bo dokąd uciekać? A kto mógł, chował się po dziurach, piwniczkach, strychach, aż czasem i zgorzał, jak Daniel Skrzypkowski, naprzykład.

Cośmy byli gospodarze, to tera jesteśmy żebraki prawie. Jeśli ludzie nie pomogą, jakie towarzystwo, czy rząd, zginiemy i pójdziemy na zupełne dziady. Zebraliśmy, cośmy mogli, i wyprawiamy właśnie Jacentego Wielgorka do Warszawy, by przemówił tam do kogo trza od gromady, do Komitetu Centralnego, o którym słyszeliśmy, czy do gubernatora, czy co? Aby tylko co wskórał i nas w niedoli nie zostawiono. Niech i wielmożny pan redaktor przyczyni się swojem słowem. Może ogłosi co z tego listu i może dobre ludzie się znajdą, co pomogą? Może ziarnem, może bydłem, może pożyczką? Tylko że tera takich, jak my, tyle w Polsce i kto o nas pomyśli, jeśli o innych myśleć trzeba?

Pana Jezusowej opiece wielmożnego pana redaktora i «Jutrzenkę» polecając, kłaniam się nisko.

WALENTY SOCHA.

Warszawa.

Mój Bartku!

Siedzę, no, znów w tej Warszawie, bo gdzież mam siedzieć? W budzie, za książką i kajetem, w ławce, spuściwszy oczy i modląc się do przyszłości studenckiej. Czas mi! Przecie, do licha, mam już lat dziewiętnaście i miesiączek, i trzy dni, i pięć godzin i piętnaście sekund, jak wyrżnął! Więc, pojmujesz, w tej ósmej klasie naszej sztuby kulawo mi już duchem i tak chciałbym, żeby się to skończyło!

No, czy uwierzyłby kto, że były wakacje? Lato? Śmiech, żarty, laba? Że romansowałem z Heniutą (tylko mnie nie zdradź, ladaco)? Że przewracała oczy do mnie pani Sobiszewska, wiesz, ta z Modłowa? I nawet całowała Zośka, wspaniałości kobyłka z czeladnej pani Sobiszewskiej? Człowiek wzdychał, konno jeździł, strzelał, wiosłował, pływał, grzyby zbierał i kwiatki, piankę życia... A teraz kuj znowu i patrz na zdychające twarze belfrów i drynia—i swoją własną.

Nie poznałbyś Warszawy. Obóz i szpital, to nasza stolica. I, jak przerwała się nagle laba moja na wsi z powodu tej cacanej wojny, tak przerwała się, czy też urwała, dawna Warszawa, a poczęła się, no, już ci rzekłem — jaka. Ma się

wiedzieć, zostałem jednym z «braci współczucia» w wolnych od sztuby i obkuwki godzinach. Nie sądź, szelmo, że tylko dlatego, by mieć sposobność okadzania spojrzeniami, i szturmowania uściskami łapek lub kibici *(sapristi)* koleżanek, «sióstr współczucia», jak je nazywa Orzechowski Janek, ten święty z miną wisielca. A namnożyło się ich! Miałbyś używanie, żerujący wyżle. Młode (przynajmniej większość), przystojniutkie, no, i warszawianki, więc oczy wszędzie, nieledwie i w stopach, i—wabiące.

Myślę, że część grzechów będzie mi odpuszczona, jeśli nie zanadto oddam się podziwianiu wabiów tych «współczuciówek» i skieruję swoje własne współczucie w stronę chorych i umierających żołnierzy, których przecie w lazaretach i w naszym też niebrak. A żeby tak i część luf «jemainowanych» i prawdziwych została mi odpuszczona, a w końcu roku egzaminy na maturę, byłbym jednem kopytem w wiecznej szczęśliwości, to się wie.

Tomek Herski i Edek Mazecki dali drapacego na wojnę. Z najwłaśniejszej woli. No? A Sylwka Narockiego i Wita Stypułowicza wzięli przy tegorocznej brance i ani się spostrzegli kawalerowie. Słuchaj, długoż potrwa ta heca, wojną zwana, jak myślisz? Tu na niektórych starych paniach cierpnie pomarszczona i łuszcząca się skóra, bo słyszały, że prusacy dopuszczają się

gwałtów. Dopiero teraz wyłazi z worka, ile to my jednak mamy chodzących i bojących się cnót, zwłaszcza wśród takich, które nie lubiły dawniej o tem gadać i które mają lat koło stu?

Belfry, jak zwarzone, bo to, panie dobrodziejski, obciął im drynio część strawnego. No, i odbija się na nich ogólny wygląd obecnej fizys społecznej. Ale przygnębienie ich zupełnie nie wpływa, niestety, na paraliż oświecania nas, jak za najlepszych sekund dawnej epoki kamiennej. Te twarde czerepska nie podległy rozwojowi i nawet wojenny okres nie zdołał stworzyć w ich przymóżdżkach wojny z przesądem. Przygnębieni są właśnie *przy gnębieniu* nas. Bodaj ich wszystkich wraz z dryniem w sołdaty zabrano, a nam wydano—«przyspieszone» patenty.

Daj pyska i pisz, o ile cię szwaby z twego Głupkowa jeszcze nie wykurzyli, albo nie uczynili cię podporą armji swego *Vaterlandu*. Bo nuż? Ę?

Twój

KOSTEK.

Wołkowiec.

Wielmożny Panie Dziedzicu!

Tak, jak mi pan dziedzic kazał, siedzę kamieniem i pilnuję dobra pana dziedzica. Ale dusza na ramieniu już nie od dzisiaj, a nie wiadomo, czy zupełnie jej z ciała los mi nie wytrzęsie. Herszko, żem mu to obiecał pięć rubli i dziesięć korcy kartofli, podjął się dostawienia tego listu do Wałgorzewa. A stamtąd na Odłów puści go dalej przez swoją, żydowską, pocztę, którą oni mają taką, że żaden austryjak jej nie wymaca, choćby i od naszego księdza proboszcza był chytrzejszy. Przyznam się panu dziedzicowi, że za te pięć rubli i kartofle wartoby Herszkowi pysków nabić, taki wykorzystacz. Ale co robić: spokój pana dziedzica droższy mi i myślę, że w lepszym czasie pan dziedzic o mnie nie zapomni?

Cudem się trzymamy. Nie ruszyli austryjacy dworu, ani zabudowań, wzięli tylko wszystkie konie, prócz dwu gniadych, bułanka i łaciatej klaczy, że to już na nic niezdatne. «Rekwirowali» i wszystko prawie bydło i nawet ukradli te dwa charty, com strzegł ich, jak oka w głowie, że to «jenerałowi komenderującemu przydadzą się do zabawy». Wiadomo, złodzieje. Ale Boga prosiłem

i proszę, by ten złodziejski apetyt miał granice i by panu dziedzicowi coś zostawili, choćby trochę zboża na zasiew, albo meble w mieszkaniu. Śpichrze wypróżnili do cna prawie, zabrali też wolant, najtyczankę, karetę i tę odnowioną żółtą brykę. Szory wszystkie zagrabili. Trzy dni kwaterował sztab we dworze i musiałem się w ich fagasa zamienić. A kiedyś zagroził mi jakiś osiełporucznik, że mnie «przypuknie» (umiał hycel po polsku, może polak?), jeśli nie wyśpiewam, gdzie schowałem wina pana dziedzica, te lepsze? No, i wyśpiewałem, bo co miałem robić, kiedy tak dobrze o tych lepszych wiedzieli (mnie się zdaje, że powiedział im o tem kowal ze wsi, pan dziedzic wie, ten łotr?). Jeszcze mi przecie miłe chodzenie po tym świecie, choćby zrujnowanym, jak szczerze ręce Jezusowe kocham i pana dziedzica szanuję, choć miałbym się na jego niełaskę narazić. Więc co ja winien, wielmożny dziedzicu, doprawdy? Musiałem otworzyć te niby ślepe drzwiczki w lochu na lewo i, choć serce mi się krwią oblało za pana dziedzica, dać im tych dwadzieścia węgrzynów, sześćdziesiąt malag, piętnaście portwajnów, trzydzieści likierów, dziesięć muszkatów i, co najgorsza, tych osiemdziesiąt szampanów, olaboga. Jak się to rzuciło na te butle! Myślałem, że nie oficerowie, ale zwyczajne sołdaty, chamy, co nigdy niczego nie wąchały. I to się nazywa sztab, austryjackie wojsko! Pochlali się,

sprowadzili sobie dziewki, jakieś austryjaczki, co za nimi się tłukły, i dobrali sobie nowych kilka: Rózię Arona, którą prawie za włosy przyciągnęli, pannę Emilję ze szkółki, Zochę Walczarkównę, pan dziedzic pamięta, tę pierwszą we wsi elegantkę?—i moją żonę. Łotry! Na naszej ziemi, w pana dziedzica dworze, za pana dziedzica stołem, przy pana dziedzica winie i likierach! Bartłomiejowa musiała zgotować kolację, a ja czarną kawę—i podawać.

Pistolet czy rewolwer jeden z tych psubratów przystawił mi do skroni, gdy się zbuntowałem, i, śmiejąc się, komenderował... Własnej żonie musiałem kawę podawać! Jenerała i pułkowników nie było, same smyki. Ledwie na kolanach ubłagałem, że mi żony zanadto nie tarmosili. A ona, ni żywa, ni martwa, musiała jeszcze śmiać się do nich, by mnie nie przykatrupili. Leżałem później chory i żona także, a skończyło się na tem, żem jej, niech pan dziedzic daruje, po łbie nakładł, bo mogła była swoją drogą, szelma, mniej zęby do tych złodziei szczerzyć: wcale to nie było aż tak potrzebne.

Pana Spańszewskiego w Działdowcach podpalili, pana Wielickiego w Sąskowie ograbili. Jeszcze się nam udało. Waliły i waliły ich wojska, a główna bitwa była, mówią, o jakieś dwie, trzy mile stąd. Teraz cicho. Ani ich, ani rosjan. Ale czy nie wrócą? Rosjanie podobno tęgo ich

prażyli. Kto jednak wielmożnemu panu dziedzicowi wróci za konie, bydło, zboże, wino i likiery? Proszę pana dziedzica, żeby, jeśli będzie mógł, dał mi znać, co mam robić? I może jakieś pieniądze przysłałby pan dziedzic na pierwsze potrzeby?

Pilnuję, choć dusza na ramieniu. Ale wierzę, że to wielmożny pan dziedzic oceni. Pani dziedziczki rączki całuję i moja żona, panu dziedzicowi przesyłam pokorne uszanowanie.

IGNACY STRZYGOWSKI.

Armja czynna.

(Po rosyjsku).

Donoszę pokornie, że jego miłość, mój pan, pan porucznik, otrzymał ciężką ranę w głowę i leży obandażowany w szpitalu polowym i starszy nasz lekarz wojskowy i młodsi lekarze i sanitarjusze i siostry miłosierdzia zabronili mu ruszać się i za dużo myśleć. Więc ja, wierny deńszczyk, służby sprawując, piszę do pani o tem, żeby się pani o pana nie martwila i wiedziała, co jest, a Pan Bóg da, wszystko będzie prędko dobrze. Pan porucznik dostał odłamkiem szrapnela podczas ostatniego ataku na bagnety, kiedy szwab-złodziej zdradziecko z ukrycia plunął ze swojej podłej baterji na naszych zuchów tem paskuztwem. Pan porucznik trochę gorączkuje i trochę czasem nawet mdleje i nie może dobrze mówić jeszcze. Ale oczami się ciągle uśmiecha i kazał mi pani napisać właśnie, że czeka od pani zapisanego arkusika i całuje panią i kłania się pani. Więc proszę bardzo, bardzo, żeby pani jaknajprędzej do mojego pana napisała i bardzo ślicznie, jeśli można, to mu ulży, i z wielką radością będzie do zdrowia przychodził. A teraz uniżenie się kłaniam i przepraszam, że piszę

krzywo i ołówkiem, ale zabrali atrament i rygę, a ja bez tego nie potrafię.

Pana porucznika wierny deńszczyk

LEONID.

Ten starszy doktór w szpitalu to polak i pan porucznik jeszcze prędzej do zdrowia się pokwapi, że to, wiadomo, swojak leczy i swojego słowem miłem podtrzymuje. Więc niech się pani nie smuci.

Koleszów.

Chère tante...

Piszę do Mińska na ręce pana Jazdowskiego, a niech ten administrator cioci łamie sobie głowę, gdzie ma ją odszukać i bazgroty moje wręczyć? Sądzę, droga ciociu, że jeszcze ciocia w Wybrożach u siebie, na łonie nietylko zimowej przyrody, lecz i spokoju (o, to tak ważne teraz!), wolna od pomyśleń nawet o rzeczach, które nam (mamie, papie i mnie) nerwy trochę psują. Szczęśliwa cioteczka! I, choć cioci Kair wścieknie się (*excusez)* w tym roku (już się wściekł; ciocia czytała, że kraj faraonów brany jest w wojenną «opiekę» przez «żwawego» reumatyka z nad Bosforu przeciw Anglji, którą kocham?), to może białoruskie zimowe nastroje choć częściowo i w drodze wyjątku zdołają dać cioci złudzenie *d'un petit rêve*— na jawie, oddalonej od tak zwanych pól bitw i związanych z niemi rozkoszy?

Już tam przecie w waszych stronach niemców ani poświeć i zresztą nie doszli byli na szczęście do stref, zaszczycanych przez ciocię. Zaszczycane zaś przez nas uszczęśliwili, i to tak, że cioci nawet we śnie się to nie »wytroi«. A papa na jawie, choć książę i paryżanin, klnie, na czem świat stoi,—zupełnie po furmańsku.

Gdybyśmy mieli tylko Koleszów, mogłabym rzec tragicznie i z uczuciem: jesteśmy zrujnowani. Ale, ciocia wie, takich Koleszowów mamy kilka, no, i różne domki w Warszawach i Paryżach i, co szczególnie ważne teraz, gotóweczkę w banczkach, które, coprawda, kapitałów nie dały ruszać papkowi, ale odsetki płacą mu na szczęście.

Trochę mię głowa boli od książęco-furmańskich «sapristi», o których wspomniałam. Dziwię się, że paryżanin może pozwolić sobie na bezowocne i utrudzające pobudzanie duszy do popełniania podobnych gminności? Ale przypominam sobie, że przecie w Paryżu—nie z wszystkiego ryż robią i że tam na każdym kroku dają się słyszeć miłe «zaokrąglenia» kamelotów i że biedny papko miał sposobność czerpania, poprostu wypadkiem, z tej krynicy.

Nie poznałaby ciocia Koleszowa! A co mię najwięcej oburza, że to wszystko się tym nadszprewskim panom przyda. Ja zaś, jako wychowanica Francji i *une petite amie* Albionu, nie mogę przecie tego lekko trawić. Obrabowali Koleszów! Wszystko, co dało się i nie dało, wzięli ci panowie na wieczne przechowanie w swych tak mało greckich penatach. Okropnie — *mauvais genre.* Bo przecie czasy *raubritterów* minęły już dawno, a oni zresztą rycerzami są tylko... kufla i kradzionych butelek z szampanem i likierem, ciociu. Wydało mi się trochę, że oglądam na jawie prze-

żywane myślą tryumfy band świętej pamięci kondotjerów włoskich, albo radości duchowe niemieckich knechtów. Rozumiem. To jeszcze ciągle ci sami, naturalnie. Tantem tedy, jak się to mawiało, z pałacu i obejścia koleszowskiego prawie sielankowe wspomnienia. No, na szczęście pałacu nie spalili, tylko stajnię i obory. I chlewy ocalały. Niebardzo to zaszczytne pozornie dla nas, ale myślę, że, szczędząc te ostatnie, szczędzili ci panowie, to jasne, siebie. O, tak, papo jest — *furieux.* Wolę to po francusku wyznać, bo mniej jest jakby—wybitne.

Mieszkamy w trzech dolnych pokojach na prawo od atrium, ciocia wie, tych «gościnnych», w które byle co z ocalonych resztek wstawiono. Tak to przyszło księciu panu wraz z dodatkiem w własnem *palazzo* gościny poszukać. Mama smutna i popłakuje. Jestem oburzona na tych panów, ale i śmieję się. Bo co to wszystko pomoże? I zresztą miny papy każą drgać muskułom mej twarzy.

Ciociu, ciociu! *Ces barbares* (nazywają ich tak różni reporterzy, więc i ja mogę) zniszczyli zupełnie mój niebieski pokoik i ten różowy i błękitny, zrujnowali mi buduar i sypialnię. Wszystkie moje książki albo pokradli, albo, okaleczone, porozrzucali po podłogach. Rozbite moje śliczne lustro! W gruzach mój kominek! I tylko ocalały te wszystkie myśli, co kiedyś przed nim po gło-

wie się błąkały. Ale myśli nie zdołają ci panowie nigdy zniszczyć i zresztą—po co?

Sprawiedliwość nakazuje mi wyznać, że wszystko w pałacu od «A» do «Z» — rozwalone. Strach! Jadalnie, salony, gabinety—to już prawie wspomnienia. Papy apartamenty i mamy—ruina. Papie skradli nawet ten zbiór fajek po dziadku Eustachym. Jeszcze jedno silne słowo posłał im papko w ślad... daleki. I—*quelle imbecilité! A quoi bon?* Gdy nie mogli, lub nie chcieli, zagrabić, niszczyli poprostu. Skąd ta zaciekłość przeciw papie, co chyba niczem tym panom nie zawinił, z wyjątkiem, że jest—polskim paryżaninem? I że ich, tych panów, miał zawsze w pewnem, uprzejmem zresztą, obrzydzeniu? Myślę: czy to sam «Kronprinz» raczył grabić, bo tak to uczyniono podstawowo? Czy też dawny kandydat na tron Węgier, a obecny, jak słyszę, Belgji, *monsieur* Eitel Friedrich?

W dwudziestu sześciu pokojach rozbito nam wszystkie sprzęty (niech ciocia uszanuje sumienność mego sprawozdania!): szafy, kredensy, biurka, stoły, krzesła, skrzynie. Nawet ten najskromniejszy, dębowy, garnitur nie ocalał. Sufity potrzaskane i podziurawione. *Quel goût!* I prawie wszystka odzież, bielizna (moje przecudne koronki, mój Boże!) już nie istnieją. Pani Węczychowska płacze: w śpiżarni myszy nie mają się czem pożywić, a piwnice, no, już wiadomo, w jakim stanie.

Duch tych panów nie oszczędził nawet służby. Stary Piotr, Józef, Bronisław, Jacek i Stanisław będą musieli, jak Feniks, odradzać się z popiołów swoich mebli. Spalono im w mieszkaniach w oficynie wszystko. I co ciocia na to? Ładny romans, prawda? Pokochali nas, niema co. Powozów i karet — ani, ani... Uprząż porżnięta, albo spalona. Wszystek inwentarz,— *bon soir, Adelaïde.*

Ale moje drzewa! Moje drzewa, pod któremi biegałam dziewczynką, pod któremi przechadzałam się, jako *jeune fille,* z *mademoiselle* i nietylko, ostatecznie, z *mademoiselle...* Nasz ogród, *mój* ogród! Ciociu, ciociu! Dlaczego się stało to wszystko? Dlaczego się to stało? Ograbili galerję. Podobno na dziesięciu wozach ją wywieźli. Nasz Van Dyck i nasz Matejko i ten Mont-Blanc Calame'a — już nie nasze. Ale dopiero w ogrodzie, to jest w jego wspomnieniu, stanęły mi łzy w oczach. Drzewa połamane i wycięte... Naturalnie. *On a encore quelque chose,* jak wspomniałam. *Et on est princesse, vraiment riche jeunne fille d'une beauté, comme on me dit, rare. Dieu!* I nawet w takich chwilach i przy takich widokach, *il faut être distinguée,* ja to rozumiem.

Rozmawiałam z mamą. Żal mi jej. Po co się ona tem wszystkiem przejmuje? Mówiłam jej, że trzeba koniecznie zająć się tą nędzą, co kwili naokół. Biedna mama... Ona tylko, zdaje

się, pieniędzy dać gotowa. A ja czuję, że to troszkę za mało i że co innego też jakby potrzebne. Jaki ten Wyspiański jednak śmieszny. To on przecie powiedział, że Polska—to tam, w sercu?

Nasz paryżanin rozkrzyczał się znowu. Mnie żal, ma się rozumieć, i papy. Marzę o chwili, kiedy stanie się znowu—księciem. A tymczasem niech ciocia kochana da mi małą radę: jak ja naprawdę mogę się teraz przydać ludziom? I, jeśli cioci nic nie przeszkadza, proszę przyjechać zaraz. Spotkamy się w Warszawie. Ciocia jeszcze młoda i czasem bywa trochę zadumana: może coś razem obmyślemy?

Ściskam cioteczkę *très sincèrement. Au revoir!*

ILA.

Milanówek.

Drogi ojczusiu!

My tu sobie siedzimy i już się nie boimy niemców, bo ich sołdaty przegnały za dziesiątą granicę, akurat, jak okiem sięgnął, a batem trzasł. A ojczuś tam daleko jeszcze z nimi ciągle wojuje i może ojczusiowi nawet na chwilę spokoju nie dają? Mama kazała mi napisać do ojczusia, więc ja, ojczusiu, wziąłem pióro i piszę. Już mi się zepsuła moja forteca i moje ołowiane konie. A ten wypchany żołnierz powalał się atramentem, kiedy leżał na Wandzinym kajecie, co go świeżo zasmarowała ćwiczeniem do *mademoiselle*, a ja go na nie cisnąłem. Wandzia chciała mi naderwać ucho, ale *mademoiselle* nie dała i tylko powiedziała, że jestem *un vilain garçon*. A co, ojczusiu, zrobiłem takiego? Pamięta ojczuś, jak ojczuś mówił, że kiedyś w szkole piłką, umaczaną w atramencie, palnął w papę samego profesora? A ja przecie Wandzi w papę nie palnąłem? Bawię się czasem z Mańcią. Ale ona, mój ojczusiu, chciałaby tylko w gospodarstwo, albo w matkę i ojca, a co to jest? I ciągle zapłakana. To ona tak za ojczusiem płacze. Chodzi do śpiżarni, bo nie chce mamy martwić, i tam płacze. Ciągle płacze w śpiżarni za ojczusiem. A jak się wypłacze, to zagląda, co stoi

na półkach, a mama myślała, że to mysz szkodę robi. Wczoraj płakała znów w śpiżarni za ojczusiem, a później włożyła palec w krem, co Agnieszka ubiła na obiad, a jeszcze później w usta i tak ciągle, aż mama przyszła i w skórę jej dała. To płakała nietylko za ojczusiem, ale i za ten krem.

Mnie się nudzi, mój ojczusiu! Żebym był oficer, jak ojczuś, tobym jeździł na koniu i bardzobym dużo dyrygował, bo to musi być straszna przyjemność, i salutowałbym nawet mamie i *mademoiselle* i nawet Agnieszce. Mój ojczusiu, niech ojczuś zbiera dla mnie muszle, jeśli są. I skorupy od ślimaków i wszystkie ładne kamienie i kawałki od szrapneli i bomb, mój ojczusiu, i może od szabel, karabinów i armat? A może ojczuś przyszle mi jaką całą szablę i karabin, to będę raz oficerem, a raz żołnierzem?

Mademoiselle mówi ciągle, że francuzi muszą pójść do Berlina i złapać tego kajzera, co zrobił z ich Francji rumowisko. A jak to można, ojczusiu, zrobić z Francji rumowisko, jakby ze starej budy? I, ojczusiu, czy to nieprawda, że berlinki robią się nietylko w Berlinie? Przecie dlatego, mój ojczusiu, Berlin się tak nazywa?

Ja bardzo mocno ojczusia całuję, a później napiszę znowu. Ale ojczuś musi też napisać i zbierać szrapnele dla mnie.

ZIUTEK.

Łomża.

Mój kochany!

Przeczytałem właśnie w «Kurjerze» szczegółową deklarację Komitetu Narodowego. A więc dzieje się coś, czego zapowiedź unosiła się już w powietrzu i co stało się nieodzownością nie od dzisiaj, początkiem. Naturalnie, wzruszyło mię to. Oto po Polsce austryjackiej przychodzi do głosu Polska rosyjska, by głośno rzec nietylko swe słowo, lecz i zadzierzgnąć ten pierwszy węzeł między umarłą czynną przeszłością, a przyszłością, ku której idziemy. Nareszcie!—oddycha pierś. I, choć serce w niej się tłucze na myśl, co i jak przyniesie nam owa przyszłość, westchnienie ulgi to istotne: przecie się coś jakby zaczyna!

Pytałeś mię w swym liście, jakie stanowisko zdecydowałem się zająć ostatecznie, jako obywatel kraju i działacz, wobec tego Komitetu? I czy się waham? Czy sympatje moje i antypatje uległy jakim zmianom? Czy stałem się krańcowszy, lub umiarkowańszy? Choćbym silił się na jakąkolwiek szczególną odpowiedź, usta moje odrzekną odruchowo: stanowisko polskie. I tylko jedno gnębi mię, że pod to stanowisko wielu z rozbieżnemi pojęciami i dążeniami, szczerze lub obłudnie, się podszywa.

Nasz Komitet jest przecie odpowiedzią życia na Komisję Tymczasową galicyjską i różne Rady. Ale i tamci «polskie stanowisko» zajmowali! Jak to boli i zdumiewa, jak gryzie! Mamy niweczyć tu, na królewiackim gruncie, ziarno, zasiane przez ślepców, czy obłąkańców z za kordonu. Szczytne i wielkie zadanie! Ale mamy zarazem, niwecząc, stwarzać życie nowe, podjąć tradycję dawnych lat i w myślowych ramach nowej przyszłej Polski budować podstawy pod nią.

Mój Boże! Jakich rąk i serc, i dusz i mózgów do tego potrzeba! Jakiego ognia i stalowego hartu, stalowych ramion! Oczywiście, że, jak całe chyba Królestwo, rozumowo i odruchowo opowiedziałem się za przymierzem z Rosją dla walki ramię przy ramieniu przeciw wspólnemu śmiertelnemu wrogowi, niemcowi. To przecie i dla ciebie i dla mnie i dla nas wszystkich z Korony tak naturalne, że mówić nawet o tem śmiesznie. Ta naturalność jednak, co z duszy nam spłynęła, to najsilniejszy, choć najprostszy, cement, spajający nas teraz i będący przyczynkiem bardzo cennnym do stanowiska polskiego właśnie. Rochu kochany! My, stare kamraty, jesteśmy szczerzy przecie z sobą! Nikt nas nie słyszy i czytać nikt tego nie będzie, a przecie, choćby mię słyszała Polska cała, i dlatego tembardziej jeszcze, krzyknąłbym: polakiem być teraz, to wystarczy! Patrzę, muszę patrzyć na Komitet Narodowy, jako na wyjaw i zamierzenie

ducha polskiego przedewszystkiem, jako na pierwsze, acz nieudatne, ogniwo w nowym łańcuchu narodowej epopei. Ty wiesz, jak głęboko obcy są mi ludzie, co się w nim znaleźli, jak nie podzielam ich wiar, opinji i wielu dążeń, jak niektórzy z nich są mi nawet wrodzy. Ale ogarniam ich teraz, na *początek*, *polskiem* spojrzeniem, jako polaków, i tylko jako *takich*.

Słuchaj! To nieprawda, coś napisał mi, że teraz, jak i zawsze, *różnice* są alfą przedewszystkiem. Brzydki, na szczęście bez złej woli, fałsz! Teraz, i nie od dzisiaj, od kilku już miesięcy, nastała epoka całkowania. Słyszysz? I jest miljon zagadnień i jedna olbrzymia dziedzina, naród, gdzie wszyscy odnaleźć się wzajem możemy i powinniśmy—polacy. Nie ty, lecz Aleksander Świętochowski ma słuszność, że życie będzie i musi należyć do tworzących czyn. Obraziłbyś się, gdybym ci rzekł, że wychodzi z ciebie polski warchoł, polski gębacz, polski sejmikowicz, polski pieniacz, polska zguba. Obraziłbyś się! Twoje różnicowanie ma być subtelnością, tworzywem dla Macierzy, a pragnie być tylko jej nieszczęściem. Nie idjota mówi z tobą! Odłóż szlachetne i niezbędne różnicowanie do lepszych i właściwych czasów, gdy już po wojnie Polska dźwigać się będzie z tych gruzów, prostując pierś i wyciągając ku zorzy odnowy ramiona.

Tyle jest zadań wspólnych! Tyle pracy wspólnej! Tyle obowiązków wspólnych! Gdybyś się podwoił i potroił, części nawet z nich nie podołasz. Tak olbrzymi jest wspólny warsztat idei i czekających na ucieleśnienie czynów *polskich* i tylko *polskich* obecnie—w tym cudownym, choć szarym, choć tragicznym, pełnym szlochu i jęku i oparów krwi, okresie. Ty pamiętasz, ty pamiętasz? *Musi* zmienić się Czepcowe powiedzenie, ludowej krzepkiej Polski słowo, i różne pany, my, bez względu na to, czy bogacze, czy inteligientny proletarjat, my, mózg polski, i, jak dotąd, ciągle jeszcze ramię polskie, możemy, i wraz z nami lud, wiele mieć, «inom my *musimy chcieć*»!

Rochu, stary towarzyszu! Z zapałem i radością stanę do pracy na ogólno-narodowym, polskim gruncie, na polskiej glebie czynu przedwstępnego do wielkich późniejszych czynów naszych może, a może już naszych tylko potomków. I dlatego: precz z partykularyzmem, choćby najszlachetniejszym! Całkujmy się na *dobę bieżącą*, nie powtarzajmy starych grzechów i zbrodni! A zresztą, Rochu. Niech nas, takich innych, runie na pola pracy ćma, — słowo nasze stanie się mocniejsze i mocne i nasz czyn także, i usłyszy i ujrzy nas—Polska. Że już nie mówię o jakiemś tam «dopełnieniu» rażących istotnie «luk» w Komitecie Narodowym...

Budujmyż podstawy! Niech każdy swą cegłę niesie, szykujmy kielnie i cement! Polskę tworzyć nam trzeba i szukać wespół z Słowiańszczyzną i całym światem kulturalnym nowych dróg nietylko do lepszego i szczęśliwszego współżycia, lecz i do przyszłych ludzkości—świtów.

Rochu! Wierzę, że cię przekonam. Wierzę, że spotkamy się niebawem przy wspólnej, ogólnej pracy. Że tam, w warsztacie, uściskam twą kamracką dłoń. I bodaj przez przestrzeń — to wszystko jedno. Warsztat taki duży! To całe Królestwo! To Polska cała!

Pozdrawiam cię serdecznie. Czekam listu.

WŁODZIMIERZ.

Skierniewice.

Szanowny Panie!

Doprawdy, anibym się spodziewała, że od pana w tych czasach list dostanę. Jaki pan dobry, że nie zapomniał o mnie i że znowu poczuł chęć odezwania się do swojej wiernej dawnej uczennicy. Bo przecie wierna panu jestem. Pan wie, jak się do pana przywiązałam i jak serdecznie, szczeze do niego myślą zawsze się garnę. Teraz, kiedy już jestem «dorosła», tem łatwiej mi to powiedzieć. I tem żywiej, śmielej mocne «dziękuję» wyznają me usta.

List od pana! Przetarłam oczy. Ania, która mi go wręczyła, a która, oczywiście, poznała na kopercie charakter pisma pana, już zdaleka, biegnąc, machała nim z tryumfem. Wzięłam list i patrzałam. Doprawdy. I czytałam go długo i musiałam Ani co chwila coś na odczepne z jego treści rzucać.

Mój przyjacielu, nasz przyjacielu! Nasz przyjacielu! Jak daleko już w przeszłości jeszcze bliskiej zostało wspólne nasze, tak miłe i serdeczne, obcowanie! Zginęły jakby wszystkie ślady i tylko myśli zostały żywymi świadkami tego, co minęło, i takie dowody, jak choćby list pana—dzisiejszy.

Dzięki, dzięki! Jak warjatka, cieszę się i, choć dla radości teraz przyczyn nigdzie niema, będę radosna choćby przez godzinę, choćby przez pół.

List pana powiedział mi, że, choć milczał pan, przecie wspomnieniem zabłądził czasem w Skierniewicach, szukając mię. Jak mi przyjemnie! A ja o panu myślałam tak często i z niepokojem, z żalem może: dlaczego pan zamilkł?

Wojna? To wszystko, co z nią związane? Łamałam głowę: gdzie pan jest teraz, co porabia, jak się czuje, co zamyśla, dokąd się wybiera? Lękałam się, czy nie wzięli pana do wojska? Czy, jako «sałdat», nie zawita pan i do Skierniewic bronić ich przed niemczydłem? Ale, wyznam, że, choć miałabym dzięki temu ujrzeć pana, wolałam nawet myśli o tem się wyrzec.

Wczoraj, zdaje się, było moje dzieciństwo. Wczoraj jeszcze byłam uczennicą. Wczoraj jeszcze kończyłam egzamina, o strachu przed którymi z uśmiechem zazdrości teraz wspominam. Wczoraj dawano mi patent. A dzisiaj jestem «dorosłą panną». Jestem «siostrą miłosierdzia». Jestem człowiekiem, co zdążył się już zaręczyć i przegnać do krainy pieprzu konkurenta. Jestem młodą dziewczyną, która z niewesołego, ale przez się zawsze cudnego, dzieciństwa wyszedłszy, wprost w paszczę okrutnej współczesności wpadła.

Wojna... Jakże złowrogie jest to, co ludzie tak nazwali. Jak groźna jest twarz tej rzeczy-

wistości. Pan nie widział tego, a ja to widziałam. Pan nie odczuł bezpośrednio tego, a ja to odczułam. Pan nie przeżył tego, a ja to przeżyłam. I słyszę, i widzę dotąd i czuję. I czuję... Teraz niema tu już niemców. Jest cisza i nuda zwykła jest—takie typowe skierniewickie. I znowu łyk skierniewicki wyziewa na wszystko swą pachnącą duszę. Ale wtedy? «Wtedy»? To *wtedy* wypalone zostało nie-tylko na licu Skierniewic, lecz i w mózgach nas wszystkich tu, do ostatniego moralnego dziada. Czytaliśmy w kronice wieczności, proszę pana, i w książce, mocno pospolitej, dnia bieżącego i w milczącej wizji przyszłości. O, doprawdy. Może nawet te dziady moralne zdołały coś dojrzeć i zrozumieć? Zdołały coś przeczuć?

Lecz naogół umieliśmy wszyscy bać się tylko śmiertelnie. Dosłownie: śmiertelnie. Albowiem dosłownie wiele chwil groziło nam śmiercią bezpośrednią, najzupełniej osobistą, bez jakiejkolwiek, choćby ułudnej, możnosci zwalenia jej, w imię współczucia chrześcijańskiego, na barki najbliższego bliźniego. Bo miłość bliźniego i miłosierdzie chrześcijańskie, zwłaszcza u gorliwych chrześcijan, najlepiej «rozkwitają» w takich chwilach właśnie.

Historycznych! Co pan chce? Czy mogły się spodziewać nasze Skierniewice, że dostąpią zaszczytu być nietylko świadkiem, lecz wprost przedmiotem «działań przeciwnika»? Że na polach, wy-

deptanych przez skierniewickich «obywateli», rozegra się jeden z szczegółów «wojny wojen»? Że w samych naszych Skierniewicach uszlachetniać będą sobą i ozdabiać miejscową atmosferę sztab i żołdactwo pruskie? I, choć skóra cierpła na nas, przecie i my mamy teraz miny «historyczne» i dumę, i godność i odwagę nawet (już teraz!) też, naturalnie, «historyczne». Ojciec mię skarcił, gdym śmiała się wczoraj głośno. Powiedział, że to «nie wypada». «Dlaczego»? «Bo chwile są poważne». «Nawet teraz»? «Nawet, choć szwabi odeszli już — het». «Ale wrócili znowu pod Kutno i tłuką ich rosjanie». «Więc czego ty się śmiejesz ostatecznie?» — pyta ojciec i, ma się rozumieć, robi «marsa». «Niczego — odparłam. — Cieszę się tylko, że my tu już możemy robić — marsowego (ojciec służy przecie, wraz z całym wyborem skierniewickim, w miejscowej bohaterskiej straży ogniowej) marsa i drżyć... z gniewu na bezczelnych szwabów, którym raz jeszcze powąchać dymu się zachciało».

Mój Boże, co za omen. Nie tknęli szwabi pięknego parku tutejszego, który pan tak lubił! Duch pana jakby wzbronił im przyjacielskiej usługi, mającej może, na wzór działań w wielu innych miejscowościach, ulżyć goryczy istnienia stuletnich olbrzymów. Ten park, jedyny zakąt i ucieczka w Skierniewicach, gdzie każdy krzak, drzewo każde i każda grudka ziemi nasycone są

dobrem i kochającem je spojrzeniem oczu pańskich, gdzie wszystko wzięło w siebie tyle z duszy pana podczas długich i niezliczonych samotnych błądzeń jego, mówi wymową obielonych śniegiem gałęzi, krzyczy jakby o tem, co tuż, pod parkanami jego, się działo... Byłam w nim przedwczoraj z Anią. Wspominałyśmy pana. Jakże nie wspominać, będąc w parku skierniewickim, gdy się zna pana? I chciałam przysiąc prawie, że imię pana tam szumi wśród gałęzi i że ten park kocha pana i o nim pamięta. Ania zaśmiała się: «Będziesz miała list od pana Kazimierza»! Chciałam ją bić, że budzi nadzieję, co się nie ziści. Po co? Idjotka? Aż oto dzisiaj... O, mój panie!

Gdy pracuję w lazarecie, gdy z duszą podwójnie człowieka staram się podejść do cudzej niedoli, nietylko cielesnej, rozumiem, że jest w tem i część zasługi—pana. W takich chwilach, choć był pan niby tylko ostrym, lecz sprawiedliwym, moim nauczycielem, przed którym, nie wiem czemu, «kolana ze strachu mi się uginały», i choć, mimowoli, w stosunku moim do pana pozostało (mię to gniewa samą) nieco żakostwa i naiwnego zawstydzenia, czuję w panu nie wyłącznie przyjaciela, lecz i, niech mi pan to pozwoli, prawie brata! Pańska mała siostra, pańska młoda siostra—to ja. I wiem o tem coraz lepiej,— mój bracie! Teraz żywiej rozumiem pański smu-

tek, pańską melancholję. Jak melancholję zastygłego ogrodu, po którym błądził pan tyle, samotny. I jak smutek ziemi teraz, zgiętej pod ciężarem mogił i krzyżów. A żywiej rozumiem, bo wniknęłam nieco duszą w tragiedję człowieka i żyć zaczęłam nietylko własną troską.

Mój panie Kazimierzu... Dawna Mila, obecna «dorosła panna», pragnęłaby istotnie dorość choć trochę do zaszczytnego powołania stania się świadomym i nieco bodaj wartościowym czynnym członkiem społecznej gromady—nawet w Skierniewicach. Zdaje mi się, że niezwykłe przeżywane chwile, też *nawet* w Skierniewicach, i nietylko dla mnie, krzyczą o konieczności tego tak wymownie!

Niech pan pisze, panie Kazimierzu. Mój złoty. Koniecznie. Tak się ucieszę. I odpowiem na stu stronnicach, aż mię pan skrzyczy, znudzony śmiertelnie. Ale to nic. Biorę na bezczelność. Więc na pewno? A tymczasem tysiące pozdrowień i raz jeszcze za list podzięki!

Ania kłania się serdecznie.

MILA.

P. S. Nasze wspomnienia z dworca jakgdyby zniszczone: dworzec i budynki stacyjne w gruzach. Martwa, a przecie żywa, rzecz już trupem. Niemczydła nietylko dworzec wysadziły w powietrze: most, *nasz* most—ruiną! I czy myśleliśmy

wtedy? Czy myślał pan zwłaszcza, któremu ten most tyle wzrokowej troski podczas swej kilkoletniej budowy zawdzięczał? Patrzał pan na niego, wytwór szablonu, okiem romantyka. A oto, jak spojrzeli oni! Och, niemce...

Warszawa.

(Po rosyjsku).

Kochany bracie i kochana bratowo!

Donoszę, że nie jestem zdrów, ale wam życzę zdrowia jaknajwięcej, bo dopiero teraz widzę, że choroba, a szczególniej kalectwo, to najgorsze nieszczęście człowieka. Byłem szczęśliwy, mając zdrowie. I choć na wojnie różnie bywa, a w każdym razie nie jak w chacie, albo w gościach, albo cerkwi, czy gdzie, jeno tak, że aż ciarki przejdą nieraz, to przecie, mój Boże, co to, gdy krzepkość, a więc i wesołość, dopisują? A teraz nie mam się czego weselić. Bo leżę, albo siedzę słaby, niczem ten cherlak, wiecie, Ilja, co przed cerkwią w Iwanówce żebrze i o swojej odciętej nodze wciąż myśli. I ja myślę o nodze. I czy wiedziałem, kiedy zdrowym parobkiem z chłopcami i dziewuchami hulałem, że Ilja-kulas to ja będę, o, Boże? Boję się. Boję się, że mi utną nogę i zostanę bez niej na całe życie. Gnoi mi się rana i mówią, że jeśli nie będzie lepiej, to trzeba to zrobić.

Kochany bracie i ty, kochana bratowo, przyślijcie, jeśli możecie, kilka rubli, to sobie kupię papierosów, jabłek, cukru, kiełbasy, papieru listo-

wego i jeszcze czego. I wiedzcie, że nie macie się smucić, bo ja się już smucę dosyć, i co to zresztą pomoże? Jeżeli gnoić się będzie coraz gorzej, no, to utną nogę, wola boska. I tylko tę pociechę będę miał, że się z wami prędzej zobaczę, bo mię, jako inwalidę, puszczą. Dobrze, że nie żyje już ojciec i że matka już nie żyje, boby się smucili. A z tamtego świata to może nie dojrzą, albo, innemi sprawami zajęci, nie zwrócą uwagi. I to wiedzcie, że nie macie się smucić jeszcze i dlatego, że mi tu dobrze, nikt mi krzywdy żadnej nie czyni, grzeczni są dla mnie wszyscy. A ci, co odwiedzają nas, polacy i polki, jak się mówi o nich, przynoszą nam trochę i żałują nas bardzo pięknie, aż nieraz cudno wyrozumieć, a zawsze przyjemnie. Słowa mówią osobliwe, dźwięczące miękko, jakby kto po uchu gładził. I te słowa pomagają nam do lepszego znoszenia smutku i cierpień. Bo to przecie nietylko, że się jest chorym lub kaleką, ale i wśród obcości, co z początku, kiedy nic się nie wie, może się wydać nawet ciężką. A te siostry też są bardzo dobre i grzeczne i naprawdę miłosierne, za co niech Bóg je nagrodzi. I takie delikatne, nawet eleganckie, że odrazu poznasz, że polaczka. Mówią przecie, że polaczki są bardzo grzeczne kobiety i honor swój znają i uprzejme, jakby hrabianki. I właśnie, choć słyszysz obcą mowę, to myślisz, że, jak dobre usta przemawiają,

to i przyjemnie i zrozumiesz sto razy prędzej. I lekko ci na duszy i sercu, a w każdym razie widzisz, że my ludzie—i kwita.

Ich sanitarjusze i doktorzy wszystko właśnie polacy. Bo to my przecie teraz wszyscy bracia i w tej Warszawie to najwięcej jest polaków i nawet szyldy nietylko po rosyjsku, ale i po polsku i tabliczki z nazwami ulic. I nawet żydzi tu, choć z nosami garbatymi, do polaków, jak u nas do rosjan, są trochę podobni. A mnie się podoba, że będę miał co wspominać i że oni dla nas, rosyjskich żołnierzy, dobrzy i wyrozumiali. To i nie żal było ich Warszawy przed niemcem bronić i kawałkiem szrapnela w nogę dostać, że aż strach. Życzę sobie, żeby i w domu było tak czysto, jak tu, i żeby ze mną byli tak, jak tu, grzeczni, choć nic nie mówię na was, kochani bracie i bratowo.

Te siostry, co nas doglądają, to zmieniają się. Ale najwięcej przesiaduje siostra Kazimiera. My wszyscy lubimy ją bardzo, bo bardzo jest delikatna i tak dba o nas, jak o swe dzieci. I uśmiecha się do nas, kiedy ból zanadto chwyci i kiedy ciemno się w oczach robi. A kiedy miewam gorączkę pod wieczór, kładnie mi często dłoń na czole i wtedy mi się zdaje, że to moja nieboszczka matka, albo siostra nasza, Jewdokja, co już przecie umarła, albo moja biedna narzeczona, Łukierja, co też już nie żyje. A później wspominam sobie

że to szpital, a ja żołnierz ranny. I że to jakaś Warszawa, i że to polscy doktorzy i sanitarjusze i że to siostra Kazimiera. Ale ja nigdy nie zapomnę siostry Kazimiery...

Pozdrawiam was, kochani bracie i bratowo, i oczekuję od was listu i, jeśli możecie, tych kilku rubli—i nie smućcie się.

Wasz brat

DYMITR.

Mój adres: Warszawa. Szpital polsko-amerykański, Sewerynów 5. Dla szeregowca Dymitra Wierszkowa.

Zwiencewo.

Szanowny Panie!

Chciał panu donieść, bo to pan pisze z przedłożeniem wstąpienia do tego Komitetu Polskiego, co się w naszem gubernskiem mieście urządza. Bardzo, ma się wiedzieć, zaszczyt mi, że panowie o mnie pamiętali, choć ja, mały człowiek, niczem dla takiej cześci się nie zasłużył. I żonie mojej, Lubowi Nikitównie, też zaszczyt i mojej najstarszej córce, Zinowji, bo Marusia, Nastia i Wasia jeszcze nic nie rozumieją. Ale ja rzadko w naszem gubernskiem mieście bywam i bardzo teraz roboty mi przybawili. Po swojej części muszę rozjeżdzać od rana do wieczora po powiecie i nie zawsze nawet w domu nocuję. A także ja już oddawna z polakami coraz mniej, to i zapomniał prawie po polskiemu i nie wiedziałby nawet, jak mówić. I co, wprzód wszystkiego, nie mogę wcale ani trochę robić coś w tym Komitecie, bo i za siebie ledwie tu uśpieję. A co pan pisze, że, jeśli nie będę mógł pomóc robotą, to zawsze można pieniędzmi, to ja, proszę pana, ciężko swoją pensję zarabiam i, doprawdy, nie mam czem się dzielić, chociaż pan mówi, że tam teraz w Warszawie i nad Wisłą wszędzie tyle biedy, że aż strach. Ja nawet nigdy nie był w tej

Warszawie, ani nawet nad Wisłą nigdzie, a urodził się w Samarze, chociaż moje rodzice byli polskie. Ja wiem, że to wszystko jedno, bo rubel zawsze rublem, i każdy, choćby cygan, dać może. Ale że pan do mnie czystoserdecznie, jako do polaka właśnie, to i ja też czystoserdecznie, od duszy, jak Boga kocham.

Kłaniam się panu i całemu Komitetowi uniżenie i szczerze życzę: Panie Boże dopomóż, jak to się po staropolskiemu podobno mówiło, a co kiedyś od ojca, jeszcze w Samarze, kiedy żył, słyszał.

Bardzo z szacunkiem

WIKTOR CZYROWICZ.

Jurborg.

Panie Aureljuszu!

Spodziewaliśmy się i nie tych «gości» z zagranicy. Ano, ofiarował ich los i cóż było robić? Pyta pan, czy dali się we znaki? Jak gdzie. U nas, co osobiście nas tyczy, uszło, a gdzieindziej też podobno. Tym łaskawcom idzie, jak widać, o przedmioty, mamonę i inwentarz specjalnie. A my, inwentarz ludzki, *schwammdrüber*... Nasza Żmudź święta jakby dawne umarłe lata znów przeżywała. Ale przecie nie zginął duch krzyżacki i krzyżak, co gościny swej nie zdołał w posięście swe zamienić, pamiętał o nas dobrze.

Żmudź święta... Dziwnego uczucia doznaję. Z dziada-pradziada tu siedzę i nie wiem, kto ją kocha więcej: litwin, zwłaszcza taki z Wileńszczyzny, czy ja, polak, któremu jednak do tej Żmudzi—nic? A, gdy teraz i na niej ślady klęski, jakiemiż łzami płaczę? Litewskiemi? Polskiemi? Żydowskiemi? Rosyjskiemi? Ale, rzecz dziwna, w moich ludzkich łzach tyle jest i być musi,—czuję to i tego chcę,—bólu polskiego. I cóż my, polacy, winni, że tu siedzimy? Że Litwa i Żmudź drugą ojczyzną nam się stały, ojczyzną równorzędną, i że, nie chcąc tu czynić Polski, mamy ją i tutaj?

W tych ciężkich chwilach, które przeżyliśmy, my wszyscy tutejsi poczuliśmy się dziwnie mocno i wspólnie dziećmi jednej ziemi. To było miłe, dobre, ciepłe, było serdeczne i piękne. To napewno upominek, którym niemcy nas, wbrew swej woli, ponad program, obdarzyli? Powinniśmy im być wdzięczni za to. Winniśmy może uczynić ten upominek płodnym? Pan uśmiechnie się pewnie. Wy z Królestwa źle czujecie Litwę, źle ją rozumiecie. Ale my... To jest, ma się rozumieć: ci, co pragną.

Chodziłem dziś rano znów po mieście. Przecie sześć razy mieliśmy tu prusaków! A z tych «prusaków» wielu mówiło wprawnie po litewsku Powtarza się... Wśród waszych «prusaków» tylu mówiących po polsku. Tu zaś *littauisch redende Preussen,* czy może *Preussen littauischer Zunge?* Siódmy pułk dragonów pruskich tu, w Jurborgu, szczególnie tem celował. Nie wiem, jacy prusacy grabili u nas sklepy: «swoi», czy prawdziwi? Czy może ci i tamci? Ale jednako zląkł się ich Jurborg. Dotąd wszystkie prawie jeszcze okna i drzwi domów gruntownie deskami zabite, a życie istnieje — przez pół. Czy tylko u nas? A Szawle, Kielmy, Rosienie? A Borek, Skirstymoń i reszta?

Wiele wody w naszym Niemnie upłynie, nim znowu do nas uśmiech dawny życia zawita. Ale los w każdym razie był może tu dla nas łaskawszy, niż tam dla was. Nie było tu u nas

Kalisza, nie było Częstochowy, nie było Łowicza, Łodzi...

Myślę: czy duchowy Grunwald stanie się kiedykowiek? To mnie nurtuje, mnie, polskie dziecko tych litewskich niw! Czy ramię mózgu i serca polsko-litewskiego wyciągnie się ku szalbierstwu i podłości Krzyżaka, by zdusić je—na zawsze? Wspólnie. Pomimo wszystkich przesądów i walk wzajemnych, pomimo potwarzy. Taki Grunwald czeka na nas jeszcze. Jest przecie naszym—obowiązkiem!

Tamten fizyczny prochem wobec tego będzie. Prawda, panie? I przecie z Litwą skrzyknąć się musi Polska cała. Wy musicie! Czem wobec tego będą te straty, choćby najboleśniejsze, najdotkliwsze, które wam i nam zadała tu teraz dłoń—prusaka? Gdybyż się to ziściło?..

Serdecznie pana pozdrawiam. Czekam wieści.

WALENTY ŻELICKI.

Warszawa.

Mój bio-filozofie!

Dziwnie się człowiek czuje teraz za ladą w księgarni, albo wśród półek, nabitych od podłogi do sufitu «bibulastym wyrobem», tam w «oficynie», za kulisami sklepu, t. j. «frontu», czy też w piwnicach, zawalonych «własnym nakładem», lub w komis wziętym «towarem». Przeszły, jak widziadło, dawne czasy i nawet trudno uwierzyć, że istniały. Bo: wojna, wojna! I w księgarstwie, jak we wszystkiem, uczyniła ona prawdziwe spustoszenia.

Mój miły, co, w swych badaniach zagrzebany, patrzysz, pomimo wszystko, nawet w dniach bieżących, okiem trochę... elastycznem! Nie pomyślałeś pewnie należycie, jak wyschnęły raptownie weny tak zwanego społeczeństwa i jak szybko więdnie potrzeba mózgu jego? Chociaż twoja biologja powinna ci coś i na temat organizmu narodowego zaszeptać. A byłoby dobrze, altruistyczny samolubie, w kapliczkach «gorliwego powołania» przyciasne, jak widzę z listu twego ostatniego, nabożeństwa odprawiający, i swej biologji w tem nieco pomóc. «Zdychamy». Nie tak, jak ty, naturalnie, bo zresztą ty nie «zdychasz», zdaje się, ani tyci. Moglibyśmy, uczciwszy

uszy, tak na dobrą sprawę całkiem budę zamknąć, a kluczyk powiesić na kołku wieczności. No, przesadzam. Przyjdą jakieś tam inne nowe czasy, kiedy dłoń rzekomej (przeważnie) potrzeby zdejmie ten kluczyk i jemu podobne z kołków, lecz tymczasem... I przytem maleńkie: jak długo trwać myśli owo «tymczasem»? Czy przez ciąg całej wojny?

Ano, mówią przecie: teraz głowy czem innem zajęte, a rękoma i nogami, ani brzuchem, niestety, czytać niepodobna. I gdyby nawet okazało się to wykonalnem, to i tak te ręce i nogi, a zwłaszcza brzuch, do tylu ważniejszych rzeczy potrzebne. Czytanie gazet zaś, dań, składana molochowi konieczności, dość chyba sumiennie czynieniu zadość potrzebie trzymania palca na pulsie idei świata odpowiada. Ani słowa. I dlatego rozumiem w zupełności, że teraz *musimy*, choćby dla honoru, unikać bibuły... bibuły... bibuły... Ma ona tylko wyjątkowo pewną wartość w naszej dobie Marsa. Naprzykład, jako papier listowy. Albo jako papier do owijania masła, czy świec stearynowych. Czy wreszcie jako papier do pewnego, bez względu na epoki, najnaturalniejszego pod słońcem i nie ulegającego odmianie użytku. Bo o papierze na gazety, czyli gazetach, wspomniałem już przecie.

Troszkę melancholijnie ja i mój pryncypał, raczej mój pryncypał i ja i jeszcze inni podobni

mnie w sklepie, patrzymy na te stosy bibuły, tak mało nadającej się do wzmiankowanych użytków i niezdolnej już się nadać do użyźnienia inteligiencji niedawnych p. t. odbiorców. Odbiorców... Śmiesznie brzmi teraz to słowo. Poprostu cuchnie ironją, obrażającą zwłaszcza kieszeń mego pryncypała. My, że to jeszcze nie mamy własnych księgarni, lejemy łzy liryczne ideowo. I wzdychamy górnie, bo i jakiż interes mielibyśmy w więcej ziemskiem odczuwaniu?

Nasi dwaj służący, nasi chłopcy księgarscy i my wbród oddajemy się ćwiczeniom z dziedziny dodawania. To takie niebolesne. Ilość bowiem przewijających się dziennie przez księgarnię «odbiorców» niezdolna jest, doprawdy, przyprawić o paraliż z utrudzenia żądnych tych ćwiczeń: ambicji naszej i zdolności. A bibuła w różnokolorowych okładkach, z rysunkami na nich, lub bez, ze wzgardą—na wargach omal chciałem powiedzieć—patrzy w przestrzeń, lub na tych białokruczych «odbiorców», i myśli... O czem?

Pamiętasz, gdy była «rewolucja», «mózg zbiorowy» pożerał bądź co bądź cośkolwiek? Różne socjologje, ekonomje polityczne, historje, polityki i t. d. Dał on nieco upust swej gonitwie z wywieszonym jęzorem na płodnem polu baj dla starych dzieci i namaścił się «powagą». Łykał jednak i trawił... podobno na zdrowie, nietylko na swoje i sortymentowców, lecz i wydawców zdro-

wie. A teraz, gdy słowo choćby jedno zaryzykujesz na temat «wydawca», rozglądają się zaraz, gdzie kaftan furjata i którędy najbliżej — do Tworek?

Tak. Przyszły podobne czasy oświecone, cóż chcesz. A nie ma z tem nic wspólnego to, że, pomimo bankructw i zastoju, pomimo nędzy tylu ludzi—kawiarnie, restauracje, «kinemy», teatrzyki, teatry i inne budy przepełnione, jakgdyby za odwiedzanie ich jeszcze dopłacano. Zdaje się, że trzeba posiadać dostateczną ilość głupoty i bezczelności, by ubliżyć teraz komukolwiek pytaniem: «Czy pan czytuje książki?» Ale gdybym spróbował spytać: «Czy pan myśli o kałdunie?» Bez książki, jak logika szczeka, można się obejść i żyć, i jeszcze jak! A spróbujmy obejść się bez tego, co kałdun dostaje? Ocho! Jeszcze takiego idjoty na świecie nie poświeciło.

Stoję za ladą, palcem prawie w nosie dłubiąc. Jak Boga kocham, nie mam nic innego do roboty. To jest—do roboty takiej trochę z «jambitu» księgarskiego, do którego przyzwyczaiły się moje podrygi fachowe. Dziwi mię, gdy trudzę się sprzedawaniem zacnym łaskawcom «map teatru wojny» i niektórych «bieżących» mądrości, które wyliczyć też byłoby sztuką conajmniej akrobatyczną, tak ich jest... wiele. Zero, plus dwa zera, plus trzy. Mój bio-filozofie! Gdybyś nawet odkrył nie wiem jak cudowne nowe prawo

życia, nie wpadniesz swym fioletowym mózgiem na owo, znane pewnie od wieków zamierzchłych, lecz wciąż pod korcem chowane. A mianowicie: że, by ocalić zdrowie w czasie wojny i wszelkiej ruiny szczególniej, należy, po za możliwem czerpaniem u źródeł kawiarniano-kabaretowych, zdławić w sobie resztkę kabotynizmu, usiłującego skretynizować nas do cna wmawianiem, że książka jakakolwiek, kiedykolwiek, gdziekolwiek i jakkolwiek potrzebna była. Chyba pornograficzna, jeśli można z odpowiednimi rysunkami. Albo kalendarz z rubrykami: «spis bielizny» i «przepowiednie szczęścia». Albo kucharska. Albo sennik. Czy zbiór kuplecików... Pornografji jakoś dotąd w Polsce idjoci-autorzy mało jeszcze fabrykują i nie tak wykończonej, jak francuska, więc co na niej szanujący się, bodaj teraz, zarobią? Kalendarz, niestety, wydać i sprzedać można raz na rok jedynie (ba! gdyby to można wydać i sprzedać 365 indywidualnych kalendarzy rocznie!) Książki kucharskie, no, taką żyłą złotą znowu nie są. Senniki mogłyby dawać lepszy procent. A zbiory kuplecików same majątku nie zapewnią.

Aaa...— ziewam za ladą. Ziewają i koledzy. Ziewa i stary. Łapiemy wrony. Obliczamy, ile to głów polskich zapłodni się myślą w tym roku i ile — dwie, czy trzy? — książek tłocznie, choćby warszawskie, w tym samym roku w świat sarmacki wypuszczą?

Chcielibyśmy powiedzieć staremu, by ratował w części «honor» ojczyzny, warszawskiego bruku i nawet tych «odbiorców», co, choć książkę kupią, chowają ją, pięknie nieczytaną, do szafy. Ale jeszcze nam posady, które, niech mu ziemia kie- dyś nie za ciężka będzie, pomimo przejrzystych dla niego czasów, nam zachował, miłe są.

Więc: pysk baczność! I najwyżej ziewnąć raz jeszcze sobie pozwalamy i jeszcze raz — i jeszcze.

No, do widzenia, bio-filozofie. Czekam no- wych bazgrot.

WINCENTY.

Jejsk.

Droga Pani!

Ach, jak ja się ucieszył, droga pani, że wy tam w Warszawie Komitet Obywatelski utworzyli i że zbieracie na wszystkich nieszczęśliwych, co tak teraz przez tych szwabów i awstryjców cierpią. Naturalnie, ja zaraz pomyślał: muszę zająć się i pozbierać co dla was. I, nie czekając, zrobił tak i teraz wam posyłam dwie paki z ubraniem i bielizną od znajomych i sto pięćdziesiąt rubli co wyciągnął od nich, i trzydzieści od siebie. Więcej nie mogę, naprawdę. Ale może przez miesiąc znowu trochę, postaram się. Moja droga pani, zaraz te paki, jak przyjdą pod pani adresem, proszę oddać Komitetowi Obywatelskiemu i niech tam rozprzedzieli między największych biedaków. A te pieniądze, bardzo ślicznie prosimy, też dla najbiedniejszych, o ile można, i tatarów, jeśli są (troszkę), bo dał sześć rubli i jeden tatar. No, a jeśli nie, to nie. I proszę powiedzieć, bo ja nie znam, do kogo pisać, że jeśli kto z polaków, albo ruskich, albo żydów, albo jakikolwiek z Polski, co ucierpiał przez wojnę, trafi do Jejska, to mu tu wyszukam kwaterę darmo i może utrzymanie i może nawet zajęcie. Ma się rozumieć, skro-

mniutko i dla wielu się nie znajdzie. Ale może dla kilku.

Tak całą myślą ja u was, w Polsce, i serce tak i dusza bolą, kiedy sobie przypomnisz, co podłe awstryjcy i niemcy tam robią. I tak sam sobie mówisz: czy choć raz kiedy przed śmiercią zobaczysz nareszcie tę Polskę, o której słyszysz z dziectwa i którą tak kochasz, jakbyś ją widział kiedy naprawdę, albo, co ważniej, jakbyś w niej mieszkał—i przytem całe lata? Ale, jeśli nawet kiedy się uda,—czy zobaczę tę Polskę, co była, i którą podłe awstryjcy i niemcy tak urządzili, czy już inną ze wszystkiem? No, tak czy inaczej, to będzie Polska zawsze! Chciałbym pojechać choćby dziś, zaraz, ale nie można. Wiecznie na służbie, albo chory. Znów chory. Mnie się zdaje, że to się nieważnie skończy to wszystko. Ot, czachotka!

Bardzo serdecznie pozdrawiam drogą panią i bardzo ciepło całuję ją w jej dobre ręce.

Wspominam często przebywanie pani w przeszłym roku w Jejsku. Ale było—za krótkie!

LUDWIK DOŁNECKI.

Archangielsk.

Moja kochana Izo!

Otrzymaliśmy twój list i wdzięczni ci jesteśmy za pamięć nietylko o nas, ale i o Zdzisławostwie, do których znajduje się dopisek. Słowa twe jednak do syna naszego i synowej w daleką stąd pójdą drogę: Zdzisław na wojnie, jako ochotnik, a Ada, jako siostra miłosierdzia.

Jesteśmy sami, znów sami. Na stare lata odjęte nam zostało złudzenie, że ten schyłek życia ogrzany będzie atmosferą ciepła serc, znajdujących się w bezpośredniem z naszemi zetknięciu i godzących nas przez to mimowoli z cierniem właściwej takiemu wiekowi melancholji. Tu zwłaszcza, na obczyźnie, w pięknej, ale zimnej, ziemi, co dla dusz polskich wygnaniem zawsze była. Lecz stało się. Zdzisław oświadczył o swem postanowieniu, ty zaś znasz jego charakter. A Ada... Uczucie, które ma dla niego, silniejszem nad życzliwość dla nas się okazało: łudziła się zresztą, że *tam* widywać go będzie mogła...

Nie wiem, jakie pobudki skłoniły Zdzisława. Nie umiem odgadnąć. Zbył mię kilkoma powiedzeniami, może nie chciał dostrzec, jak krwawi mi serce. Z dowodami jego zgodzić się nie mo-

głem. Wiedziałem z góry zresztą, że posądzi mię o ojcowskie samolubstwo. Ale męczy mię: dramat jego duszy, zaczęty wtedy, pamiętasz, po rozbiciu całej jego wiary w siłę moralną człowieka, kończy się tak... Miałem dwa listy lakoniczne. Jest zdrów i cały, to jest: był zdrów i cały. A jak teraz? Żona moja płacze czasem. Lecz łzy matki nie sprawią ocalenia syna, jeśli...

Nie, nie! Bóg miłosierny da, że wróci, bodaj kaleką, i że jeszcze, chociaż trochę, popatrzą na niego stare oczy. Ada pisała raz jeden. Pracuje. Przeszła tu kurs specjalny i pojechała w kilka tygodni po Zdzisławie, a teraz pracuje... pracuje...

W tej okrutnej dalekości od kraju myślą tylko, pełną niepokoju i udręki, mogę brać udział w jego przeżywaniach. Pragnę w tych chwilach, po za odczuwającym osobiste sprawy człowiekiem, być i polakiem. Teraz więcej może, niż kiedykolwiek. Teraz więcej, niż kiedykolwiek, wszystkich nas stało się to przecie obowiązkiem. Skołatanem sercem, a raczej jego męką, błądzę po nieznanych mi niwach młodej Polski, zastygam w labiryncie pragnień ostatniego polskiego pokolenia—tego dojrzałego i dojrzewającego—i staram się ułowić tętno. Wytężam słuch, jak czynią to w «Weselu», wytężam z całej mocy, i nie chcę się omylić. I pytam sam siebie, ja, stary, czy tragiczna szopka narodowa już na wymarciu, czy polskie—prawe i szubrawe—marjonetki już ko-

stnieją do cna, czy narodowa żywotna treść przychodzi do słowa?

Mroźno mi, ale nie od śniegów i lodów tutejszych. Ja tu znalazłem byt, nawet duchowe i mózgowe oparcie, życzliwych... Każda piędź ziemi zresztą tutaj zdaje się łkać polskim szlochem, litanją polskich tęsknot, co, wiecznie zmartwychwstające, nie dają umrzeć w tej obcości polskiej myśli. Mroźno mi, bo od mojego kraju wieje lodem serc, których nie znam i które mnie nie znają i których już nie poczuję—nigdy. Szczęśliwaś, Izo, że, choć także na obczyźnie i także dość dalekiej, młodsza przecie jesteś i masz widoki osięścia kiedyś wśród swoich i poczucia serca tego gromadzkiego i ujrzenia lepszego bytu...

A zresztą, może to wszystko ułudy tylko? I to gromadzkie serce i jego ciepło, i to westchnienie, pełne jęku, co rozsadza czasem pierś i czyni z trzeźwego wysokiego urzędnika sądowego «ckliwą galaretę», jak mówi pan Dyonizy, wiesz, chrzestny Zdzisława, rzetelna «ekselencja»? Może mają słuszność ci z polaków, co, odetchnąwszy w Polsce pełnią płuc swych polskiem powietrzem, z przerażeniem miazmaty moru ducha w niem znaleźli? Może wojna uzdrowotni to powietrze? Może straszliwy czas ciał ubijania da duszom narodziny? Może w ofierze, nawet takiej, dla ojczyzny oczyści się Naród?

A tymczasem dzień bieżący—nawet tu—o materjalności jeno myśli. Niech i tak będzie, skoro to potrzebne, skoro to konieczne, ale niech cud jaki i ducha głód zrodzi polskiego—przedewszystkiem. Utworzyliśmy tu oddział «Towarzystwa pomocy biednym rodzinom polaków, uczestniczących w wojnie, oraz zubożałej przez wojnę ludności polskiej». Utworzyliśmy i komisję, mającą z innemi miejscowemi organizacjami urządzić kwestę na rzecz ofiar wojny w Królestwie. Zebraliśmy dwadzieścia pak odzieży. Episkop archangielski i chołmogorski, Nafanaił, ofiarował na rzecz głodnych polaków sto rubli i w gazecie «Archangielsk» nawołuje do dalszych na ten cel składek...

Ale żeby, kochana moja, można było utworzyć towarzystwo nowych narodzin duszy polskiej i komisję do sprawdzania mogącego się może, wbrew logice, t. zw. mądrej, pojawić czwartego wymiaru polskiego serca, tu w Archangielsku utworzyć, i we wszystkich punktach, gdzie tętni puls polski,—i tam w Polsce? Do głodnych żądzą odnowy polaków wyciągnęłaby się dłoń Nafanaiła symbolicznego, tęskniącej duszy powszechnej, dając im swe, pozornie obce, ciepło.

Zbyt długo, prawda, wierzyliśmy w mistyczny swój mesjanizm i czas, byśmy spostrzegli, jak wiele nam brak jeszcze do urzeczywistnienia, bodaj w połowie, tej naszej—utopji?

Jeżeli możesz, Izo, przyjedź do nas. Będzie nam, żonie i mnie, lżej z tobą i mniej może cierpieć będziemy w swem osamotnieniu i strachu o zgubę Zdzisława i Ady. Spełnisz dobry uczynek. Cóż więcej ci mogę powiedzieć?

Całuję cię od siebie i żony serdecznie.

Twój

STRYJ.

Armja czynna.

Ty, droga!

Nareszcie piszę do ciebie znowu. Wybacz, wybacz, ale, doprawdy, te marsze i potyczki nie dały tak długo możności nowego złudzenia, że rozmawiam — z tobą. Nie jestem ranny. Twój strach o mnie był dotąd bezpodstawny. To dobrze—dla ciebie, bo, co do mnie, jestem przecie na to, jako żołnierz, ciągle przygotowany. Oswoiłem się oddawna z tą myślą i nawet wstyd mi, że się z nią oswajać jednak było trzeba. Lecz nie ja jeden wszak. My wszyscy. I, zdaje mi się, z punktu widzenia ludzkiego, to tak zrozumiałe. Możliwość śmierci, czyhającej ciągle na nas, łatwiej wydała się nam «naturalna».

A kalectwo? Czem jest kalectwo? Pół śmiercią, czy pół życiem, czy jednem i drugiem zarazem? W myślach, które, jak sępy, krążą bezustanku wokół nas, jedna jest wyczerpująca: o kalectwie. Bo ja wiem! Może się mylę zresztą. Może to ja tylko, albo mnie podobni tak szarpią się lękiem z tej dziedziny? Może są inni, co więcej się boją śmierci? Boję się kalectwa. Nie chcę być kaleką! To straszliwie silne pragnienie niezostania nim złamać, zdaje się, zdoła samo przeznaczenie, gdyby takiem dla mnie być chciało.

Nie umiem, ja, młody, zobaczyć siebie, poczuć siebie kaleką! Naprzykład, z oderwaną nogą. Jak szedłbym ku tobie, ukochana, albo na codzienną w zwykłych czasach przechadzkę, na samotne chwile rozmów duszy z przyrodą i przestrzenią? Jakie życie dla mnie bez mych błądzeń? Albo z oderwaną ręką. Jakżebym cię przytulił w tem prześlicznem *oburącz* objęciu, gdzie nietylko pierś czuje i twarz i usta, ale czują i dłonie—obie? Jak grałbym, ja, dla którego muzyka drugą miłością się stała? Albo — ślepym. Boże, Boże... Albo głuchym. Albo — niemym. Albo obłąkanym.

A śmierć? Nie boję się jej. Mnie tylko żal tak byłoby umierać, mając ciebie i nasze dzieciątko, i młodość swą i jeszcze nadzieje. Jeszcze nadzieje. Żyję niemi i tu i wiem, że one są jednym z urojonych celów mego trwania.

O, ty... Nie śmiem nazywać cię drogiemi imionami, osypywać pieszczotą w tym żołnierskim liście. Siedzimy, zaczajeni, zbliża się bitwa do nas, za parę godzin może już wybuchnie. Surowa dola szarego czuwania na pozycjach, jak szarość szynelów żołnierskich, onieśmiela mię, czyniąc sztywną dłoń, pragnącą napisać ciepłych słów tyle. I tylko myśl, jak jastrząb, wylata ku tobie, by przypaść u twych stóp gołębiem i zakwilić...

Jedyna moja... Całuję, całuję... I tulę do piersi rękoma, co istnieją, i patrzę oczyma, co są,

i słucham bicia serca twego słuchem posiadanym. Ciebie i dzieciątko obejmuję. Bądź ty spokojna, spokojna. Całuję jeszcze. Pisz.

Twój

KONRAD.

P. S. Spotkałem się tu z Kołastowskim. Służy w tej samej brygadzie. Wspominamy Warszawę i twoje czasy panieńskie. Kłania ci się.

Moskwa.

(Po rosyjsku).

Kochany Kazimierzu Stanisławowiczu!

List pański uradował mię bardzo. Sądziłem, że zapomniał pan już dawno o mnie i że nigdy już może nie wznowi się, bodaj piśmiennie, nasze krótkie, lecz serdeczne, obcowanie.

W dziwną chwilę przyszły te słowa: «Odzywam się do pana znowu i znowu wyciągam do niego dłoń nietylko człowieka, lecz i polaka, bo polak nie zapomniał, czego lat temu kilka w starej Moskwie od pana, rosjanina, zaznał: serca. I za nie — Bóg zapłać raz jeszcze!» I panu, kochany Kazimierzu Stanisławowiczu, też Bóg zapłać za to—«Bóg zapłać»! Moje rosyjskie «spasibo» niech będzie cząstką tego, które teraz cała Rosja, zda się, wam, polakom, mówi.

Przeżywamy niezwykłe chwile, pan ma słuszność. Lecz każdy — inaczej. Wstał Ilja Muromiec i otrząsa się. Nawet butla z wódką, co jadła mu mózg, wypadła z jego dłoni. I zapragnął pójść do swego przeznaczenia, zacząć spełniać nietylko konieczność dziejów, lecz może i potrzebę sumienia. Nie jestem entuzjastą. Nie jestem marzycielem. Nie jestem romantykiem. Nie jestem,

biję się w piersi, Don Kichotem. Nie jestem także słowianofilem, ani neosłowianofilem. Ale kocham Rosję i wierzę w nią. I wiem, że, jak zaczynają nareszcie przeglądać na ślepe, czy zaślepione, oczy zachodni publicyści, jest ona powołana do odegrania pierwszorzędnej roli w najbliższych dziejach ludzkości. I najzupełniej, dziwnie dobrze, wbrew osławionym, a ostatnio znów przez prusko-niemieckich «przyjaciół» podnoszonym zarzutom barbarzyństwa, jest podatna do wchłonięcia rzetelnej, nie z ducha pruskiego, kultury zachodniej. A skoro tak, jakżebym mógł, wraz z wielu rodakami, zamykać oczy na rzecz z bieżących może najważniejszą: stosunek jej, Rosji, do Polski? Wieki kopały między nami różne przepaści, z których najważniejsza według mnie, współzawodnictwo mocarstwowe, już nie istnieje. Może to lepiej, kochany Kazimierzu Stanisławowiczu? Niech pan zapomni na chwilę o dumie i ambicji polskiej. Może to lepiej? Wydarliśmy wam pierwszeństwo polityczne i nawet nie w Słowiańszczyźnie, bo czem, w ciągu stuleci, w niej, jako siła czynna i ochraniająca, się zaznaczyliście, że o rusinach, białorusinach, kaszubach, wendach, pomorzanach i ślązakach już nie wspomnę? I przez to wydarcie, wbrew woli waszej, ułatwiliśmy wam dążenie do pierwszeństwa duchowego, bo Polska i Rosja są i być muszą i zostaną, ja wierzę, największemi i najznamienniejszemi w rodzinie słowiańskiej.

Wyście dużo zrozumieli. Nauczyliście się trochę. I wiecie, *jak* wyglądałaby, logicznie i praktycznie, sama myśl o jakiemś pierwszeństwie politycznem teraz, gdybyście nawet — w imię już nie wiem jakich przyczyn — niezależność cudem odzyskali. Boże, dość spojrzeć na kartę. Warjatów zresztą wśród was niema.

A pierwszeństwo ducha? O to zmagać się będziemy! Gorącą krwią nabiegają mi żyły i zaczyna tętnić ona w mózgu moim, gdy myślę o tem. Temat? Cudowny temat! Nie dla poematu jednak, ani powieści, lub dramatu, choć jestem literatem, lecz dla—życia. Oczyma ducha widzę przepyszną perspektywę i walkę, zmaganie się Lechji z Rosją—najszlachetniejsze. W tej walce—źródło życia. W świętej walce, jedynej, jakiej istnieć wolno, błogosławionej. I kto zwycięży? Może nikt? Może Lechja równą Rosji się okaże, Rosja—jej? Może, jednym pierścieniem wysiłków opasane, dwoma połowami jednej bryły będą? Byłby to tryumf największy, prawda, Kazimierzu Stanisławowiczu?

Gdy u was zgliszcza i ruiny, gdy ziemia poryta, a na każdym kroku krzyż, bodaj wroga, na mogiłach, szczególnie, wraz z całą, wierzę, Rosją, ściskam wyciągniętą ku mnie po latach ponownie dłoń nietylko człowieka, lecz i polaka. Krwawi serce moje waszym bólem i męką, wstrzymuje bicie u krzyżów mogił u was, choćby wra-

żych. W dni, gdy pana w Moskwie poznałem, ciemno jeszcze było i zimno i tylko serca jednostek odszukiwały siebie wzajemnie, by wzajemnie ogrzać się bodaj trochę przy rozpalonym jeszcze rękoma Puszkina i Mickiewicza zniczu. Znicz zgasł, może nie istniał nigdy naprawdę, — pan pamięta, jak Puszkin i Mickiewicz się rozstali? I trwał ów mrok i wył tylko wicher mrożący i zabijający wszystko ku przerażeniu zobopólnemu i nie rozwiewający zapachu trupiego, wicher, którego imię poznaliśmy już nareszcie i istotnie tak tragicznie późno: prusak.

Wyście znali to imię! I w Rosji my, znający, istnieliśmy, ale była nas nędzna garść tylko. I może już rozumie Rosja: wojna, którą toczy, wojną jest przedewszystkiem o wyzwolenie się — prawdziwe i we wszystkiem — od niemca. Wiedzieli ci polacy, co Grunwald stworzyli, lecz ojczyznę swą i Słowiańszczyznę zdradzając, do końca go nie doprowadzili, czuli, że dokończyć go będą musieli kosztem strasznym, na ich sumieniu zawisłym, inni. Ale nie przypuszczali, nie byliby uwierzyli nawet, iż to uczyni książtewko pół dzikie wówczas jeszcze moskiewskie, rab tatarski, a w wyniku — olbrzymia i złowieszcza Rosja. Złowieszcza dla prusaka. Dla ducha podłości i szalbierstwa. Dla ducha moralnego kału, ohydy.

Rosyjski Grunwald... Boże, Boże! Tą proroczą wizją nie spłomieniły się usta waszego

Skargi, ani usta Słowackiego, ani Krasińskiego, ani Wyspiańskiego. I może jeden tylko Mickiewicz, ten olbrzym, zakołysał sercem dzwonu wieści, pan pamięta?..

«I mam je, mam! Mam tych
skrzydeł dwoje.
Wystarczą! Od Zachodu na
Wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem
o *przyszłość* uderzę...

I w dopełnieniu, by myśl była jasna, nie budząca wątpliwości, ani mogąca być do ogólników jeno policzona, to, czem uzupełnia orła-Konrada jagnię-ks. Piotr:

...Mój naród związany
Cała Europa wlecze, nad nim
się urąga...
Rzekł: «Pragnę.»—*Rakus* octem,
borus żółcią poi.»

Męczeńską Polskę od rakusa i borusa wyzwolić! Lecz nietylko Polskę. Całą Słowiańszczyznę. I nietylko ją. Europę. I nietylko tę ostatnią. Świat.

Oto idea! Oto powołanie! Oto—zadanie!

Dźwignął się potworny wielkolud, kroczy... Ilja Muromiec! Ilja Muromiec!!! Gdyby powstali z martwych konfederaci barscy, gdyby, odwaliwszy płyty grobów, wstali, pełni przerażenia mogił, Kościuszko, książę Józef Poniatowski, Chłopicki,

Traugutt? Co rzekłyby trupie, dla was wyroczne kiedyś, usta? Może, pomimo wszystko, *pomimo wszystko*, kochany Kazimierzu Stanisławowiczu, to, co oni uczynili, było zbędne i pomyłką i Polska winna była zwracać się zawsze tylko przeciw rakusowi i borusowi, przeciw temu ostatniemu przedewszystkiem, przeciw niemu wyłącznie? I tem otworzyć oczy—Rosji i pomóc jej w taki sposób do mającego być przez nią stworzonego Grunwaldu?

Może lepiej, że nie wstaną z prochu śmiertelnego drogie dla was widma Kościuszki, księcia Józefa, Chłopickiego, Traugutta? Może lepiej?!

Pan wyrzekł kiedyś prześliczne dla mnie o Adamie Mickiewiczu słowa: «Ojciec narodu polskiego». Męczyła mię myśl od tego czasu, a teraz męczy podwójnie: czy tam, w grobowej królów krypcie na Wawelu, w tym starym Krakowie, gdy z wieży «Panny Marji» i wieży katedry wawelskiej austryjackie kartaczownice wylotami w niebo zioną, nie śpią snem wiecznym w kamiennym świętym sarkofagu popioły nietylko ojca Polski, lecz i ojca Rosji—w najszczytniejszem słowa tego znaczeniu, ojca Słowiańszczyzny, całej zresztą przyszłej lepszej ludzkości, a może już—i teraźniejszej? Rosja nie zna Mickiewicza, choć go zna niby, nie ocenia, nie rozumie należycie! Co za tragiedja: nie zna własnego ojca, do niego się po synowsku nie przyznaje, nie czuje go krwią swoją!

A przecież ja, rosjanin, noszę w sobie te słowa, z paryskiej katedry wyjawione: «Polska i Rosja ukazują się na pobojowisku europejskiem, jak dwaj rycerze ze spuszczonemi przyłbicami. Nikt nie odkrył jeszcze ani ich godła, ani tajemnicy. Los tych narodów rozstrzygnie niezawodnie nietylko wielkie zagadnienie w Słowiańszczyźnie, lecz razem żywotne kwestje *religijne, filozoficzne i społeczne*»...

Nasza rosyjska przyłbica zaczyna się uchylać. I świat już odgaduje pomału nasze godło. Już. Ale nasza tajemnica trwa bodaj w połowie. My sami nie wiemy jeszcze, czego i jak chcemy istotnie, w jakich rozmiarach — i do czego dojdziemy. Oby nietylko do rzeczy największych, lecz i najpiękniejszych, najwięcej świetlanych, najszczytniejszych!

«Mylą się ci filozofowie—rzekł przecie Mickiewicz,—którzy się spodziewają, że nowa epoka ma przynieść zagładę Rosji. Poeci podobno lepiej odgadują przyszłość».

Oto nowa epoka się już zbliża. Za rubieżą nocy i chłodu i dreszczu świt wstaje... Chwała poetom, co orłową duszą w duszę narodów się wszczepiają!

Wy, współcześni, najwspółcześniejsi polacy z myśli jesteście Mickiewicza, gdy opowiedzieliście się, wbrew podszeptom i tradycjom odczuwań, a nawet i czynów, za Rosją. Jesteście z myśli

ojca waszego i ojca naszego, choć jeszcze przez nas nie stwierdzonego: «Zdaniem polaków Rosja powinna być wielka i świetna, ale z warunkiem, żeby uznała, co jest prawdziwą wielkością i potęgą». O, tak! Skrzydłem litosnej dobroci i uczucia i nas ogarniając, żąda ów duch świetlany tego właśnie, czego żądać może i powinien od ojczyzny swojej i każdy głęboko i czysto i święcie kochający ją rosjanin. Oto zabłysły w całej swej potędze prorocze słowa największego waszego poety: «Nowa idea powinna urzeczywistnić nadzieje obu narodów: polskiego i rosyjskiego, nie nadwerężając praw, jakie oba mają do cieszenia się bytem swobodnym».

Kochany Kazimierzu Stanisławowiczu! Urzeczywistnić to, o czem marzyli w młodości swojej, w czasie tajnych rozmów, Mickiewicz i Puszkin, a co dotąd, niestety, marzeniem jeszcze zostało i zostaje! Ale już niema tego przynajmniej, by dwa gieniusze słowiańskie potajemnie tylko o tem mówić mogły! Już możemy, my wszyscy, nietylko marzyć o tem i mówić, ale — krzyczeć! Niech krzyczą nie serca i dusze jedynie, niech krzyczą usta! I krzyk ten zapłodni, musi zapłodnić, przyszłość i urodzi się z myśli i odczucia, obcy krwi i żelazu, widomy kształt nowego życia. Wierzmy w to! Musimy wierzyć! Nam nie wolno nie wierzyć! Sama gorąca i szczera wiara w to będzie połową mozołu i odchyli, przez pół także, płytę

jednego z najstraszniejszych grobów tragicznych nieporozumień i nieszczęść.

«W niebie, stworzonem przez poetę czeskiego, Kollara, pełnem literatów i poetów słowiańskich, niemasz istotnych bohaterów, prócz polskich i rosyjskich»... Co za słowa! Czy świętokradcze? Czy—bezczelne? Czy doprawdy polaka, w dodatku z zaboru rosyjskiego, polaka, wyrosłego w odruchowej wprost nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, i w lekkiej, w najlepszym razie, dla tego wszystkiego pogardzie? W niebie słowiańskiem! Polak i rosjanin? I bohaterowie. Zwłaszcza ten ostatni! Cudownym zmianom czas podlega— i ludzie. Słowa dnia dzisiejszego, dnia najostatniejszego! Tak rzec zdolen przecie tylko polak naszej doby — i to niekażdy. A przecie... Oczy ducha przetrzeć trzeba. Wytężyć słuch i pytać, zali nie omamił? Nachylić się nad źródłem poznania i zaczerpnąć z niego usty zapiekłemi — i jeszcze nie wierzyć... Boże, Boże! Wszak to jeszcze raz Mickiewicz i tyle, tak strasznie dużo, lat przeszło od doby owej! Ale są słowa, których naród od wieszczów swych nawet nie wysłucha i dopiero młot dziejów kruszy granit czerepów...

My, rosjanie, nie wiemy jeszcze dotąd, że Mickiewicz to *także* nasz ojciec. A wy, polacy, rozumiejąc go, nie rozumieliście go lata całe i może dotąd jeszcze niezupełnie rozumiecie.

Niech pan pozwoli mnie, rosjaninowi, na tę uwagę.

Nie w niebie Kollara, lecz w życiu duchowem słowiańskiem tu na ziemi i, choć duchowem, widomem zupełnie, istotnym bohaterem jest, obok naszego Puszkina, ten wasz i nasz serca i umysłu—olbrzym.

Pokorą i uwielbieniem ducha swego osuwam się na kolana, ścielę się w myśli przed prochami Jego tam, w królewskiej krypcie na Wawelu, gdy na ziemi waszej grzmią armaty boruso-rakuskie i rosyjskie i gdy cała Polska i cały świat cywilizowany drżą o całość polskich relikwji.

Ale największą i może jedyną prawdziwą nietylko w Krakowie, lecz i w reszcie Polski, są te święte prochy.

Niechże je chroni cała serdeczna moc myśli i obawy i pragnienia ojczyzny waszej i mojej Rosji.

Śpiące, czuwają. Słyszą i rozumieją wszystko. Czują!

Nie na trwogę, lecz na tryumf wasz i nasz niech zagrzmi nad nimi «Zygmunt»!

Serdeczne uściski panu przesyłam. Niech pan napisze znowu, kochany Kazimierzu Stanisławowiczu!

Pański szczerze zawsze

BAZYLI SZATROW.

Warszawa.

Szanowny Panie!

Odpisuję panu według życzenia odwrotną pocztą. Pochlebia mi zaszczyt, który pan czyni mnie i mojej firmie, proponując mi wydanie najnowszego tomu swych nowel, ale nie mogę powstrzymać się od wyrażenia zdumienia, że zaszczyt ten spotyka mię teraz właśnie. Szanowny pan, oddany twórczości, nie raczył chyba, czy nie zdołał, zauważyć, że w dobie europejskiej, można rzec wszechświatowej, wojny zamilkły maszyny drukarskie (prócz drukujących gazety, afisze i cenniki), a mówią—armaty. Jako wydawca, a więc kupiec, nie miałbym nic przeciwko wydawaniu utworów zaszczycających mię propozycjami autorów nietylko podczas wojny, lecz nawet podczas dżumy i cholery, trzęsienia ziemi, nawet w piekle, czyśćcu i niebie, o ileby znalazł się pokup na nie, zatem—i odpowiedni zarobek dla mnie. Kupiec chce i musi być wszędzie i zawsze kupcem przedewszystkiem. Ale, wybaczy pan, szanowna publiczność inaczej się na pewne sprawy zapatruje i, gdy grzmią bomby i granaty, woli kinematografy, szantany, cyrki, teatrzyki. Gdyby w mocy, czy szczególnej chęci, poważanych panów auto-

rów leżało zmienić to przekonanie i porywy szanownej publiczności i skierować jej potrzeby ku tak zwanej literaturze, zwłaszcza narodzić się pragnącej, my, wydawcy, bylibyśmy im tylko wdzięczni za to i nie omieszkalibyśmy skwapliwie z takiego zmienionego stanu rzeczy, ku pożytkowi autorów i własnemu, skorzystać.

Nie śmiem proponować szanownemu panu ideowego zapoczątkowania w tym kierunku?

Jeszcze słówko. Trochę dodatkowem zdumieniem przejął mię fakt, że praca, którą szanowny pan raczył chcieć mię, jako wydawcę, zaszczycić, jest, pomijając już nieodpowiedniość czasów, zbiorem nowel. Wszak my, wydawcy, od lat szeregu mamy zaszczyt z naciskiem szanownych autorów informować, że nowel, jak to mówią, pies nawet czytać u nas nie chce, choćby to były klejnoty *à la* Maupassant, czy nawet, tak, nawet... *à la* Boccacio. Publiczność przecież dostaje wprost torsji na samo wspomnienie o nowelach i wogóle o utworach, liczących mniej niż stronnic—dwieście kilkadziesiąt. Dlaczego tak jest, publiczności tej tylko wiadomo. A może nawet i ona tego nie pojmuje? I w tym względzie ani ja, ani moi koledzy nie mielibyśmy również nic przeciw cudowi zmiany tego obyczaju szanownej publiczności ze strony poważanych autorów. Bo nam, proszę wierzyć, wszystko jedno, co wydawać, ale dokładać z kieszeni też nikt nie pragnie

i musimy się ostatecznie z zmysłami własnymi liczyć.

Polecając się na przyszłość, gdy czasy się zmienią i publiczność, łaskawym względom szanownego pana i w każdym razie co do utworu, liczącego nie mniej od dwustu kilkudziesięciu stronnic, i, jeśli można, pikantnego, kreślę się z wysokiem poważaniem.

ANTONI GOŁADOWICZ.

Właściciel księgarni nakładowej p. f. «R. Kolski i S-ka».

Kijów.

Mój ty kochany!

Nie masz się gniewać na mnie, że dopiero w dwa tygodnie po przyjeździe tutaj do ciebie smaruję. Ale co ci miałam donieść, żeby cię w cholerę nie wpędziło? Albo żebyś nie chodził, jak struty? Albo może i nie beknął gdzieś w kącie? Ee... Życie mi się już przykrzy ostatecznie i żebym tylko miała jaki dobry rewolwer, albo jaką na pewniaka truciznę (bo w karbol niebardzo wierzę, ani w jodynę, a fosforowych zapałek tu nie poświeć i co zresztą takie świństwo?), tobym z przyjemnością skończyła nazawsze to głupie udręczanie się—i na co?

Myślisz, żem zapomniała, jak, gnając przed siostrami, skoczyłam z pierwszego piętra i, jak na złość, nic sobie nie zrobiłam, nawet choćby trochę? Jeszcze mię dotąd djabli biorą, że nie zdążyłam dośmirgać temi schodami aż na czwarte piętro i stamtąd łbem o podwórze stuknąć. Byłoby już dawno po krzyku i nie potrzebowałabym choćby teraz latać, jak opętana, po całym tym Kijowie, język wywieszać—i nic nie znajdywać.

Abo tak. Nic, ale to nic nie znalazłam! A, jak Bozię kocham, byłam i w Kole kobiet, i w kilku

biurach i u tego Paszewskiego, do którego dała mi adres w Warszawie Andźka. I u jakiegoś Rosencuga, żydziaka, w biurze, skąd zwiałam, bo mi tam jeden, co przyszedł w interesie, szepnął, że to biuro to na pokaz, a on, świnia, niby ten parch, kobietami handluje. Chciałam go w pysk trzasnąć, tego żyda Rosencuga, bo oczy mu się zaśmiały, gdy mię zobaczył. A tak mię temi ślepiami maglował i obszczypywał, że niech go, podleca, kaci.

Siedzę tera i piszę i myślę, co to będzie, jak mi ostatni rubel z kieszeni się wysmyczy? Mieszkam u jednej, co się z nią na poczcie zwąchałam. Taka w aksamitnej szubie i czapce ubieranej popielicami, bardzo porządna kobieta i dobra, choć kiecka obszarpana i zawsze ubłocona i choć się babsko jędzi. Ulitowała się mej doli sobaczej, więc, pomimo że to była poczta, rozbuksałam się, aż później wściekałam się bardzo sama na siebie. Dała mi utrzymanie i spanie w swoim pokoju za parawanem i ma czekać, póki jej będę miała z czego oddawać. Ale tymczasem, dla pewności, wzięła dziesięć fajgli i półtora funta tej czekolady, coś mi kupił na drogę. Ma syna, bardzo rzetelnie uczciwego chłopaka, który uczy się w gimnazji i oczami do mnie zawraca, aż z zawiasów wyłażą. Ale mnie przynajmniej nie podgląda przy mojem chodzeniu spać, nie tak, pamiętasz, jak ten mortus Witek, kiedy u Adelki mieszkałam? Jest u tej kobiety i jeden rosjan na kwaterze,

jakiś buchalter, z którym ciągle się kłócę. Bo on mówi, że ja «zajadła polka», a ja mu śpiewam, że mię razem ze swoją buchalterją i okularami tyle grzeje, co pusty piecyk. A przedtem z przyjazdu to mieszkałam trzy dni w jakimś knocie przy kolei, takich umeblowanych pokojach. Uciekłam jednak, bo najprzód: paskudzili wszystko na śmierdzącej margarynie, a po drugie: tam, wiesz, prócz pluskiew, karaluchów, pcheł, wszy i stonóg, takie i tacy w nocy nałazili, że aż strach. Jak to mówią, dom publiczny, nic więcej.

Sama nie wiem, co robić. Jak się nie uda na sprzedawaczkę, albo modystkę, służącą zostanę, pomywaczką, a nie dam się i nie chcę, żeby później na mnie pluli i dziewką obzywali. Pokażę tym wszystkim siostruniom, jak ich mam pięć, że bez ich łaski i opieki się obejdę. I że prędzej mię na katafalku zobaczą, niż za tego durnia Pompkiewicza mię wypchają, choćby miał jeszcze drugie tyle kapitału i jeszcze jedną kamieniczkę na Solcu. Tfu!

One pewnie tera za łby się biorą, że mnie nie upilnowały? I pytają swoich głupich mózgów, gdzie się mogłam podzieć? A ja sobie gwiżdżę na to i mam w pięcie i je i ich głupie strachy i zdziwienia. Może myślą, że poszłam na lekki wyrobek, jak mi to przecie Julka w złości prorokowała, jeśli nie wychycam się za Pompkiewicza. A żeby mię tak piorun najsiarczystszy, że im po-

każę, jaki to mój wyrobek lekki będzie! Wiem, że jeśli znajdę wreszcie coś, to od jasnego świtu do późnego wieczora, a może jeszcze i gorzej, harować przyjdzie. Ale przynajmniej będę, jak byłam, porządną dziewczyną i wszystkie ich obrzydłe przepowiednie w pysk im rzucę.

Słuchaj, ty. Choć mię chlasnąłeś wtedy brzytwą w szyję, łajdaku, i musiałam jeszcze przed doktorem i przed całym światem świecić, że to sama siebie tak ciachnęłam, by się przejechać na tamten świat nareszcie, i choć tyleś mi naurągał, że to niby miałam dryg do zdradzenia cię z twoim bratem,—myślę często o tobie. Co chcesz, myślę. Wiem, że się będziesz radował. Tylko nie raduj się zanadto, bo co zanadto, to niezdrowo. I masz wiedzieć, że szrama może jeszcze gorsza się zrobiła, bo poczerwieniała więcej. Tak że aż nawet radziła mi jedna facetka, żebym aksamitkę na szyi nosiła, to zakryje. Ale ja się nie chcę nikomu podobać. Więc uspokój swoje ciągłe głupie myśli i nie bądź o mnie zazdrosny. I nie groź mi już nigdy więcej w życiu brzytwą, bo, jeśli zechcę, to sama ją dostać potrafię i sama się ciachnąć, rozumiesz? I nie pij już nigdy drugi raz amoniaku. Gdybyś przez to umarł, to jabym cię na tamtym świecie jeszcze odnalazła i tak zbiła, że ruski miesiąc byś popamiętał. I nigdybym ci tego nie przebaczyła. I byłoby tak, jakbyś mię naprawdę zabił.

Drze mię okrutnie w nogę, co mi ją ten kawałek bomby z samolotu szwabskiego na Marszałkowskiej zranił. Mam szczęście! Szrama na szyi od twojej brzytwy i szrama na łydce od szwabskiej bomby! Ach, łotrus ten szwabiec! Myślę, że jakaś kara za to być musi i że przynajmniej żona go zdradzi, jeśli żonaty. A jeśli kawaler, żadnej uczciwej kobiety za żonę nie dostanie. Wczoraj, kiedy się nalatałam po całem mieście, zdrętwiała mi prawie ta noga. Dziś zaś mię drze, jakby djabeł cęgami szarpał. I lataj tu z taką nogą i szukaj, czego nie zgubiłaś, a czego znaleźć niepodobna!

Jak sobie wspomnę, że tam u nas wszędzie wojna i że nasi bracia tak blizko ją czują, że my w Warszawie już tych szwabów prawie wąchaliśmy, a wącha ich pół naszego kraju, to mi dziwno teraz. Bo tu nie czuje się tej wojny. Człowiek oczy wytrzeszcza i ledwie wierzy. Niema żadnej wojny!—chciałoby się przysiąc. Och, żeby... Nawet moich sióstr, choć takie podłe, żal mi. A pięciu szwagrów, zamiast używać w okopach, używałoby przy piecu domowym...

Nie rozumiem. Tu ludzie bogate, albo zamożne, pełno zakładów, sklepów i wszystkiego, a dostać pracę tak trudno! No, ale najechało biedy od nas i każdy chciałby przylepić się do czegoś. A ci, co są stąd, też z łapy nie puszczą i do siebie zgarniają.

Żebym to umiała, jak się patrzy, po rosyjsku! Ale ja tyle tylko, co rozmówić się o tem, o siem. Bo czy to myślałam kiedy, że uciekne do jakiegoś Kijowa? I że będę potrzebowała tu za fajglem się oglądać?

Najlepiej byłoby, żebym się mogła dostać do jakiegoś polskiego interesu. Tam się już po polsku wyjęzorzę, że cho. Po warszawsku! Przecie, chwalić Boga, niedarmo ten ozór w gębie noszę i ruszać nim potrafię. Tylko...

E! Będę mówiła, jak umiem, aby na początek. Myślałam, że jak słowo przemówię do polaka, że jestem potrzebowska, to mię wezmą zara. Jutro! Tu, trza ci wiedzieć, w tym Kijowie jest polaków kupa, więc, żeś polak, czy polka, guzik ci pomoże.

Choć uciekłam i choć w Warszawie też ciężko i choć chcę tu zostać, cni mi się już i tęskno mi do tej Warszawy, do swojego kraju. Ja tam nie jestem zwyczajna wyjeżdżać do jakichś Kijowów i lubię tylko swoich i swoje. A w dodatku te polaki kijowskie to jakieś zupełnie inne, niby polaki, a dziwne, po polsku tak paskudnie mówią, że niejeden rosjan w Warszawie, a nawet czasem i w Kijowie, lepiej. I czy to nie wstyd i jak ja mam ich za swoich uważać? Ech!

Poznałam się tu wypadkiem z facetem, tylko nie bądź zazdrosny, ty, djable, bo ci nic nigdy już nie powiem. Pytałam o drogę i akurat był

polak i akurat warszawiak. Tak się ucieszyłam! Odrazu jakby mi kamień z serca zleciał i rozmawialiśmy ze cztery godziny i zaprosił mię do restauracji na obiad. Nie chciałam, świeciłam, że już jadłam. Ale poznał, że trajluję. Więc poszliśmy i wsunęłam zrazy z kaszą i jabłka opiekane, bo zupy nie chciałam, a on jadł i zupę. I tak się nagadałam, jakby z jakim bratem, albo przyjacielem. Bardzo sympatyczny facuś i taki rozumny, po pańsku mówi, prześlicznie, że nigdybym tak nie potrafiła, i aż dziwnie w tym Kijowie, gdzie polaki tak paskudnie szwargoczą. No, ale królewiak! Kłócił się ze mną, kiedym mówiła, że żyć nie warto i że, choć mam osiemnaście lat, to już mię nie od dzisiaj ciągnie «tam». A to człowiekowi lżej, jak się taki z nim wykłóci i mówi mu, że głupstwa klekce i prosi, żeby tak nie myślał. Abo nie? Nie zna mnie, cóż ja dla niego?—nic,—a prosi i tłomaczy i burczy. Prawie żyć mi się znowu zachciało. No, i przecie rozumiem, że jeszcze jestem taka młoda i że pewnie żyć, aby tylko coś mieć można, to musi być swoją drogą nie taka marna i głupia i zbyteczna sprawa! Rozgniewał się, kiedy powiedziałam, że poszłabym, gdyby można było, na wojnę, że hej! A co, i możeby mnie utłukli, to i koniec hecy. A sołdat byłby ze mnie byczy. Bo siłę przecie, ty wiesz, mam i niedarmo wieprze u ojca czasami w Kutnie, kiedy kazał, ubijałam, choć tera by-

łam sprzedawaczką w galanteryjniach i choć pod koniec moje «paluszki» nawet w modach tak zręcznie się ruszały...

Wiesz, ciągnie mię wściekle bez przestanku «tam». Ale chcę wiedzieć jeszcze, ile i jak cierpieć mogę, czy też muszę? Żeby nie to... Jednak ten facet gadał prawdę: bo ja przecie dopiero mam osiemnaście lat!

No, nie bój się. Będę z całej duszy chciała nie chcieć choćby dla ciebie i chociaż mię brzytwą chlasnąłeś, ty, szelmo. Cieszę się przynajmniej, że, jako najstarszy, wybór miałeś i że cię w sołdaty nie zabrali. Tylko, pamiętaj, nie pomyśl już nigdy o żadnym amoniaku naprawdę!!!

Pisz do mnie na «poste restante», jak przedtem. Bo ja nie wiem, czy będę długo jeszcze u swojej dobrodziejki. A nuż całkiem zabraknie okrągłych? Ale nie waż się przysyłać mi nic, bo ty sam nic nie masz.

No, całuję cię i ściskam!

Twoja narzeczona i zawsze ta sama,
żebyś nie myślał, że inaczej,
CEŚKA.

Armja czynna.

Kochany i miły Jędrku!

Tyle czasu zbieram się napisać do ciebie. I ciągle coś, mówiąc szczerze, ciągle to, co nas tu wszystkich pochłania: wojna—przeszkadza... przeszkadza...

A przecież trzeba się odezwać. Sądziłbyś może, że już zawitałem do krainy, co nosi sielankową nazwę: «Wieczne odpocznienie». Cóż znowu. Trwam jeszcze, jak widzisz.

Swoją drogą chamskie «raz maty rodyła» przeobraża się tu w pełną mimowolnego filozoficznego pojmowania konsekwencję, co nie pyta...

Właśnie: nie pyta.

Tyle żyć młodych, mój Boże. Tyle jakichś, nieświadomych siebie nawet dobrze, nadziei, wiar, zapałów... Tyle porywu, cichego, rzewnego smutku, co w radość kiedyś, kiedyś może miał, powinien się był, choćby na mgnienie, zamienić...

I wiemy wszyscy tutaj: to ułudy. To—idjotyzm. Bredzenie dzieci, czy szalonych, gdyby—było.

Bo najgłupszy, najtępszy rozumie: jedna chwila i ujrzy się tak dobrze oczyma faktu, jak jeno naprawdę stać się mogło, może—musiało?

A to już obojętne chyba, i dla nas tutaj i dla was tam, czy stanie się to za sprawą szrapnela, czy bomby, czy granatu, czy kuli, czy bagnetu, czy jeszcze inaczej...

Czy trzeba żałować młodych żywotów naszych? Tyle ich, i u nas i u nieprzyjaciół naszych, ginie na zawsze. To jednak ważkie słowo: na zawsze. Przyjdą miljardy innych, jak były miljardy, ale tych żyć już nigdy nie będzie.

Czy nie obojętne? Odejść tak trochę na stronę, nawet bez lodu w duszy, nawet bez sarkazmu, i spojrzeć oczyma bezstronnemi. Co zmieni się od zaniku tych żyć na świecie, jak co zmieniło się od zaniku tylu innych dotąd? Może każda grudka ziemi, po której stąpamy, to był kiedyś człowiek. A teraz czemże ona, jak nie prochem, który dobrze, jeśli, potem naszym umierzwiony, zboże, owoce i warzywa nam zrodzi?

Tu nawet nie będzie tej pociechy. Ziemia, którą depcemy, poryta i poszarpana okopami, wilczymi dołami i podobnemi rozkoszami, na długo stanie się bezpłodna.

Jaką prawdą jaskrawi się czyjeś kiedyś powiedzenie: «że przyjdą nowi». Istotnie, przyjdą nowi i, choć zgoła ostatecznie różni, tak niezwykle podobni właściwie.

Numery się zmieniają, lecz nie treść. Mimowoli każdy z nas ma to w głowie. I z przestrachem jednocześnie odpycha od siebie swą godność

i wartość «numeru». Zwykły ludzki strach, czy też śmiertelnie silna żądza okłamania samego siebie—w imię miłości własnej osobistej? I zresztą, jak świat, może wszechświat, zwierciadlić się potrafią, żyć, trwać—w «numerze»?

Zdaje się, że są chwile, kiedy najobskurniejszy, najwięcej po ziemi pełzający Awwakum lub Sawa, Stanisław lub Dydak, czują coś nietylko już z marzenia o nieśmiertelności, ale i z odbicia w nich kosmicznej treści.

Czujna śmierć, sprzątając naszych kamratów, daje nam, pozostałym, nieco czasu jeszcze na «kończenie rachunków z życiem». Dość różnie rachunki te kończymy. Co człowiek, to typ ostatecznie, a raczej usiłowanie typu. A mnie, idjocie, wciąż się zdaje uporczywie, że bodaj takie przeżywania tutaj i takie namacalne, bezzłudzeniowe już napewno, obejrzenie niezawodzącego przeważnie końca wszelkich spraw—musi, powinno ofiarować możność i potrzebę jednakowego przygotowania się do pożegnania bytu.

Tak mi się pragnie ciągle zdawać...

Wiem: to zabawne. Bo życie jest tak rozmaite i ludzie także i to właśnie jego treść stanowi i inaczej byłoby «nie z tego świata». I gdy jeden do Hadesu, modląc się, idzie, inny radby przed takiem odejściem pić choćby «denaturówkę», a inny ściskać kurtyzanę, inny w karty «łupić», a jeszcze inny mieć oczy

w rozwarty sezam cudów ducha i przyrody wtopione...

Wszystko wszak względne i absolut, co tak wyczerpuje śmiesznych Don-Kichotów, jest mitem, mydłem, jak mawia jeden znajomy mój porucznik. Szarem w dodatku, bo życie jest szarem. Szarem mydłem...

Zabawny byłeś, pytając, czy badanie człowieka nie zanika istotnie na polach bitwy, lub w okopach? Przypisuję to twemu dowcipowi, który lubi czasami ważyć właśnie tyle, co dowcip naszych nieprzyjaciół, niemców. Zdaje mi się, że nigdzie jeszcze nie mogłem, chcąc nie chcąc, badać tak bliźniego.

Pytałeś też, czy ludzie naogół cenią swe życie? Owszem, cenią. Mają prawo! Ale czasami demon jakby rodzi się w tym, co patrzy trochę z boku i znajduje się wypadkiem w roli widza. Demon zaś pyta: zali nie śmieszny ten pan? I o co mu tak idzie? O siebie? A któż on jest? I co straci świat, gdy on się «wykopyrci»?

Właśnie: co straci? Czasem myślę: co straciłby, gdybym ja się «wykopyrcił»? Że się we mnie dla mnie wszechświat zwierciadlić przestanie? Przecie, pomimo najszczerszych mych chęci, nie potrafił, nie potrafi się on zwierciadlić we mnie i dla innych? Że wszechświat jeszcze raz—któryż z rzędu?—umrze, gdy ja umrę? Przecie istnieje współrzędnie w innych tylekroć i istnieć będzie!

Gdy ludzie tak walczą o swe życie, gdy ranni błagają o pomoc, a pół martwi odpychają śmierć od siebie, śmieje się demon. Zda się, ujmuje on często oślizgłą i lodową dłoń śmierci i patrzy w jej krwawe oczodoły przenikliwie. Śmierć kosi pracowicie, ziejąc bez skąpstwa swym tchem. I umierają swoi i nieprzyjaciele. Z przerażeniem, z okrzykiem buntu tak często. I uśmiecha się demon. Czego płaczą, czego zawodzą, czego skarżą się, czego się boją? Że jeszcze młodzi tacy? Że tacy zdrowi, tędzy? Że silni? Że w domu żony, kochanki, narzeczone, dzieci małe? Że jeszcze żyćby pragnęli, że żyli tak mało, nic prawie?

A, szaleni, o wszystkiem pomyślawszy, nie pomyśleli jeno o tem: ukochani przez bogów umierają młodo.

Och, jak tu szczególniej dopiero, gdy dusza kurczy się z bólu i przestrachu, rozumie się okrucieństwo starego i niby banalnego powiedzenia!

Śpijcie wy, śpijcie... Trupy z wygniłemi oczami, ciała bez członków, szkielety, czy pół szkielety. Bo może to największe, najdziksze wasze «szczęście», że bez woli swej, wbrew swej woli, już śpicie—na zawsze?

Zapewne, mój kochany. Straszna to rzecz—śmierć, nawet na wojnie. Jakto? Skończyć się? Na wieki wieków? Nie być już nigdy? Stać się

prochem, ziemią, nawozem, gazem? Ale gdzież, jeśli nie na wojnie, śmierć jest najmniej straszna, bo staje się już twym gościem codziennym, przyjacielem, zasiadającym do wspólnego z tobą ogniska, jedzącym z tej samej, co i ty, misy, kładącym się spać obok ciebie i mówiącym z tobą we wszystkie wolne twe godziny, a tkwiącym w tobie i w niewolne? Gdzież więcej można się z nią oswoić, do niej przywyknąć, jak do własnego cienia, jak do siebie? Z nią się zżyć? Może zżyć się z śmiercią, to znaczy zżyć się z samym sobą prawdziwie — nareszcie?

I gdy, choć się nie chce, choć się tę możliwość zwala na wszystkich, byle nie na siebie, podchodzi nagle ta śmierć już tak blisko, że zrasta się z człowiekiem, by go w siebie, czyli w śmierć, zamienić, co ma uczynić ten człowiek? Umrzeć musi! I jak! Lekko, prawie niespodzianie, łatwo! Raz, dwa! Kula, szrapnel, czy granat, czy bomba, czy bagnet, — przecie to obojętne. I skończyła się tragiedja, może najokropniejsza, bo życia, choćby najszczęśliwszego, i...

O, tak. Demon, co tkwi w bliźnich moich i we mnie, śmieje się. Czy ma słuszność? Co czekałoby tych wszystkich już niby «szczęśliwych»? Życie? Właśnie. Kłopoty, udręka, zmartwienia, przejścia, walka codzienna, dojrzałość, zrozumienie zbyt wielu rzeczy, może wszystkiego, pospolitość, marność, chamstwo i starość... starość... starość...

Zimny dreszcz mię przechodzi. Zaczną niezadługo pewnie znowu wyć armaty. Siedzimy w okopach. Ale nie szrapneli przecie się boję...

My, co tworzymy wojnę, nie wiemy może nawet, nie umiemy wiedzieć należycie, jaką wzajemnie «usługę» sobie oddajemy?

Serce, dusza wzdrygają się. Wszystko się wzdryga, o ile «coś» istnieje. Lecz swoją drogą: nie wiemy...

Zaszyci jesteśmy w okopach. Rzadko wysuwamy uszy—i ostrożnie. Zaszywszy się, staramy się pamiętać, że żyjemy. Ja piszę ten list. Kolega obok smaruje też coś. Inni śmieją się. Inni swawolą. Jeszcze inni grają na doraźnych, czy prawdziwych, instrumentach i śpiewają...

A poco to? Poco to bodaj udawanie, jeśli—niem jest? Jedna miłosierna kula i, choćby najtęższy był żołnierz, czy oficer, najmłodszy, najświeższy, najwięcej życia żądny—*finita la commedia*. Osiągnie, wbrew woli, swe «szczęście».

Może dlatego, nie wiedząc i pragnąc tak—na polu śmierci—życia, się śmieją? Czy śmieje się może raz jeszcze demon?

Żegnam cię do przyszłego listu. O ile go napiszę. Bo przecie, jak się rzekło, wbrew naszej woli czasem i t. d... Ale pewnie zdążę. Mój

kochany, nawet w takim interesie trzeba być, jak w niejednem w życiu, «wybranym»!

Serdeczne uściski.

MAREK.

Pisała do mnie Mania. Chora. Odwiedź ją.

Gniezno.

Kochany kolego!

Siedzicie tam u siebie w swojej norze wiejskiej i nie wiecie nawet, że (stało się to przed godziną),—umarł Józef Chociszewski.

Właśnie w tych czasach...

Gotów jestem dopatrywać się w tej śmierci jakiegoś symbolu. Chcę rzec: *le roi est mort...*—król umarł, niech żyje król! Król — to, ma się rozumieć, tylko jeden z szeregowców idei—prawie może nieśmiertelnej?

A więc Chociszewski już trup. Zamknęły się stare powieki i nie ujrzą już niczego zmęczone żywotem oczy. «Trudem dobrym potykałeś się»...—chciałoby się rzec także. Trudem dobrym szeregowca idei, który musi zmartwychwstać w innym, i to jaknajprędzej, aby nie ucierpiała nieodzowna ciągłość. I wówczas, gdy stanie się to, śmierć owa, choć tak bolesna, straci swe ogólno-polskie znaczenie, zachowując jeno osobiste.

Ogólno-polskie. W odwiecznem Gnieźnie, w naszej Lechji wielkopolskiej, w chwili rzeczywistszego i więcej dojmującego, niż kiedykolwiek,

rozczłonkowania niepodzielnej Polski, umiera ten prawy polak, co ją nad wszystko i tak tkliwie ukochał.

Myślę, jestem pewien, że w sercu każdego z nas, jak Polska długa i szeroka, bez względu na nasze przekonania, znajdzie oddźwięk śmierć ta. Musi.

Czy myśleliście, będąc tu po raz ostatni, gdy widzieliśmy obaj Chociszewskiego, że już nigdy więcej nie ujrzycie go, że Chociszewski *skończył się* dla was? Może patrzyłyby wasze oczy dłużej na postać szanowną, a serce tkliwszem objęłoby ją ciepłem—pożegnalnem?

Dla Polski i o Polskę walczył, jak umiał, jak mógł, i nam, co tak wiele tę Polskę w ustach mamy, godzi się, prawda, w dzień śmierci jego uczcić ją w sercu najżywszem o nim pomyśleniem?

Ale może najpiękniejszem byłby—czyn? Zrobić coś, co uradowałoby żywego Chociszewskiego, a martwemu złożyłoby u stóp wieniec dzieła, związanego z jego imieniem, pięknego i trwałego?

W tych czasach?—powiecie. W dobie zaduchu społecznego i zbliżającej się od strony Królestwa zawieruchy wojennej, w epoce ryczących armat i gwiżdżących kulami karabinów w rosyjskiej i austryjackiej Polsce, w Belgji, we Francji, w Serbji i Turcji? W chwili, kiedy tu u siebie,

ściśnięci już całkiem, dyszemy pod coraz dokładniejszą prasą «przyrodzonych» obrońców naszego prawa—z «łatwym trudem»? W okresie, kiedy najmądrzejszy poznańczyk głupim się stał, a najgłupszy — prawie mądrym, tak obaj, doskonale nic nie wiedząc, o wszystko i z lada powodu drżą?

A jednak, gdyby Chociszewski zdołał podźwignąć się z trumny choćby na minutę i ujrzał w *takiej chwili* właśnie czyn jakiś niby dla niego, a właściwie dla największej jego w ciężkiem i znojnem życiu miłości, Polski, przez część bodaj naszej społeczności w Księstwie podjęty, wypełniłby się po brzegi odczucia radością najwyższą, że przynajmniej śmierć jego taką rzecz sprawiła. Śmiercią budząc życie, otrzymałby jedyną może za trud całego istnienia nagrodę.

Spytacie: o jakim czynie myślę? Nie wiem. Zbyt głupim na to narodowo i społecznie, by móc określić. Czuję tylko, że tak być powinno i że...

Zajęczały właśnie dzwony katedry. Jak głucho i ponuro spływa ich głos i chłoszcze całe Gniezno! Całe Gniezno? Całe Księstwo chyba, cały zabór pruski, całą Polskę. Z prastarego chramu bieży ten polski zew i polskie sprawia zawodzenie—nad czem? Kajać nam się przykazuje, czy szlochać nad niedolą braci, do kainowej walki przez los przymuszonych, czy dolewać łzy do

strumieni polskiej krwi, tak obficie teraz we wszystkich Polskach płynącej? We wszystkich Polskach! A może szlochać poprostu każe nad ciągłym jeszcze faktem istnienia Polsk tylu i niewiedzą, kiedy się to, i kosztem jakich i ilu ofiar, skończy?

Zresztą—chimery... Rozgorączkowana wyobraźnia, nic więcej, bredzenie... Dzwony, zdaje się, biją na jakieś nieszpory tylko, naturalnie, gdyż może nawet nie z powodu śmierci jednego z stróżów sztandaru polskiego?

Gniezno... Gopło... Lechja... Dziko brzmi to, bo sielankowo, w czasach, kiedy na takie, o jakich wiemy, sielanki jest miejsce. A w tem odwiecznem Gnieźnie, gdy coś się przełamuje w dziejach świata i może w naszych, oddamy prastarej polskiej ziemi jednego z tych nielicznych, co naprawdę był z niej.

Polski Bóg, ja nie wiem—Światowid, czy jakiś inny—patrzy na niego, chrześcijanina. A w polskim fantastycznym raju, co istnieje w duszach naszych, zasiadł już Chociszewski u podnóża Kochanowskich, Staszyców, Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, Asnyków, Wyspiańskich i tylu innych—obok Lompów, Stalmachów i Miarek...

W złą godzinę zabrał nam go los. Ale może i w dobrą: by nie ujrzał, choćby myślą, nowych potoków łez i krwi polskiej.

Czy przyjedziecie na pogrzeb? Zdążycie! List ten posyłam przez umyślnego. Dzisiaj

jeszcze odbierzecie. Tak chciałbym z wami pogadać! I może obmyślimy jakie godne zmarłego i trwałe ideowe uczczenie?

Ściskam was serdecznie i czekam.

Wasz

TADEUSZ.

W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!

Piszę do was, ludzie, chrześcijany-katoliki i wy, chrześcijany prawosławne, i wszystkie inne dobrej woli, ale chyba nie lutry. Bo żeby lutry Boga w sercu miały, toby nie mogły robić tego, co robią, o, Jezu miłosierny, najświętsza Matko, a przez co skóra cierpnie i dusza z ciała wychodzi.

Widzi mi się, że umrę już niezadługo i że niema zbawienia ani dla mnie, ani dla mojej starej, co się tu trzęsie i płacze, jakby co pomóc miało, albo co. Zamknęły nas tu niemce w szopie i nie kazały się ruszać, bo zasadzkę na ruskich urządzili i czekają, i stąd strzelać będą i na ruskich iść. A nas, mówią, starą i mnie, jak tylko oficery z pozycji nadjadą, polowym sądem osądzą i rozstrzelają, że to niby z wiatraka swojego dawaliśmy znaki ruskim, w którą stronę strzelać z armat mają. I, choć kląłem się i stara się klęła i choć na kolanach o miłosierdzie żebraliśmy, pobili i wtrącili nas i tera czekamy ostatniej godziny, jako nas widzisz i słyszysz, Chryste.

Ludzie, chrześcijany-katoliki i chrześcijany prawosławne, bracia i znajome i nieznajome, bliźnie, w Boga wierzące i w Marję najświętszą! Klnę wam się sumieniem, że to wszystko podłe kłamstwo. I że ani stara, ani ja żadnych znaków za-

dnym ruskim my nie dawali i nawet nie wiedzieli, że jakie ruskie są w sąsiedztwie. Niech krew nasza padnie na dusze tych, co Bogu zdadzą rachunek za zagubione życie nasze. I może który z was, ludzie-chrześcijany, katoliki, albo prawosławne, natknie się na ten kawałek papieru, com go w kieszeni odnalazł i co go swoim ołówkiem od rachunków zapisuję i co go tu w butelkę pustą, co była w szopie po oleju, włożę. I odda synowi naszemu, jeżeli żyw będzie, Mateuszowi Sobieńczakowi, sołdatowi *** pułku, *** roty, aby wiedział i aby pomścił niewinną śmierć naszą, i Ignacemu Sobieńczakowi, ślusarzowi w Warszawie, Pańska 11. A wy, ludzie kochane, chociaż obce, pomódlcie się za dusze Bartłomieja i Marjanny. I, jeśli nasze trupy odszukacie, albo z luterskiej mogiły odgrzebiecie, pogrzeście po bożemu, jak należy.

Światła bucha tyle przez szpary w szopie, bo słońce na świecie. Ale już dla nas skończyło się słońce. I tylko w królestwie Pana Jezusowem ujrzymy światłość znowu, już wiekuistą, daj nam i wam, po najdłuższem waszem życiu, ludzie. Niemce gadają za szopą, strzegąc nas. Nie zdążą ruskie, bo czy wiedzą? I nie uwolni nas nikt,— śmierć jedna.

Żegnajcie nam, synowie kochane, i ty, synowo, i wnuczki i wy wszystkie ludzie sprawiedliwe i miłosierne, chrześcijany prawdziwe, na wieki.

Boże, bądź miłościw nam grzesznym. Boże miłosierdzia, daj siłę umrzeć mojej starej i mnie. Boże, nie opuszczaj nas. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!

BARTŁOMIEJ SOBIENCZAK.
Właściciel wiatraka pod Wolą Gołdzewską.

Łowicz.

Ty Dziubuś kochana!

Piszę, choć nie wiem, czy dojdzie ten list. Może dojdzie. Przecie nie wszyscy tu zginiemy, a adres twój będzie na kopercie. Ktoś wyszle, musi wysłać! Chyba że wejdą do Łowicza niemcy. Ale i wówczas — może przez kogoś, co i tak się ma przekradać...

No, no! Tylko nie sądź, że naprawdę zbieram się umierać. Ani myślę. Mówię tylko na wszelki wypadek, rozumiesz. Gdyby jednak nawet to nastąpiło, nie smuć się, moja miła: trudno. Ma się rozumieć, tak żal byłoby życia. Jestem przecie młoda! A, choć siedzę tu w piwnicy razem z innymi i choć wszyscy drżymy ze strachu, —gdyby nie było tak okropnie smutno, śmiałabym się, bo właśnie... młoda jestem.

Cudowna rzecz: młodość. Pojmuję, że jej nie pojmuję, i to jest podobno nieodzowne nieszczęście młodości. Ale ją mam i ona to, droga, sprawia, że nawet teraz i tu—żyję, nie trwam.

Piszę na beczce. Pierwszy raz od posięścia sztuki bazgrania. Musisz wybaczyć, że bazgrzę naprawdę. Ale jak można inaczej na beczce i gdy się siedzi na jakimś starym trójnogu, który nie wiem, do czego służyć zdołał?

Pełno nas tu. Nietylko mama, ojciec, ciocia Ewa, Cezia, Benia i Antoś, ale i cała fura sąsiadów z tej samej kamienicy i niektórzy zupełnie obcy, co uciekli tu z ulicy, gdy pierwsza niemiecka bomba znowu na rynek upadła.

I my znowu w piwnicy, w której już i tak, chwała Bogu, wszystkie pajęczyny i wszystkie cegły ścian w przeciągu dwu nocy i dni przeliczyłam. I znowu to letnie mieszkanie, o którem nie śniło się nigdy, i w chłód taki—i na jak długo?

A jeśli nasz dom «dostanie» i zwali się, grzebiąc nas łaskawie?

Widzisz, Dziubuś. Ty siedzisz teraz pewnie w swoim pokoju i ani podejrzewasz, co ze mną? Jak tobie tam dobrze i przyjemnie! A może myślą szukasz mię troszeczkę? Może wiesz z gazet, jak blisko już niemcy Łowicza? Może twe serduszko bije teraz właśnie z niepokojem, pytając: co z nią? Dziubuś! Może to tak?

Co to będzie, Dziubuś? Już dwa dni nas tak te szwaby po lochach trzymali, po piwnicach, i nasz kochany Łowicz, ten stary nasz Łowicz, któryś tak polubiła, bombami prażyli. I teraz znów. Jużeśmy się tak ucieszyli: uciekli, znikli, jak obrzydły sen. Przecie, Dziubuś, my już teraz trzeci raz tych szwabów przeżywamy, a za pierwszym, kiedy szli, mieliśmy ich nawet tu.

Ojciec siedzi ponury, aż przykro patrzyć. Próbuje z nim rozmawiać pan Znaniecki, wiesz,

ten grubas. Ale co to za rozmowa? Mama daje «jeść» Cezi i Beni. Jeść—to znaczy jakiś czerstwy chleb i kawałek czekolady. Antoś odął się i nie chce, mówiąc, że poczeka, aż się «uspokoi». Ciocia Ewa odmawia litanję. Pani Bronikowska (jest tutaj ze swym «starym»), klęcząc na piwnicznem paskustwie, mówi: «Pod Twoją obronę», a jakiś chłopowina, co tu zemknął z ulicy, porzuciwszy konie i wóz z nabiałem, przywiezionym do miasta, chlipiąc za wozem i końmi, śpiewa «Kto się w opiekę»...

Na dworze zaś «gra». Żebyś ty słyszała tę muzykę, Dziubuś! Mówią, żeście ją trochę w Warszawie przeczuwali, gdy niemcy byli już o kilka wiorst od was. Ale co to! Przecie Łowicz teraz *bombardują!*

Będziemy liczyli godziny. A one tak wolno upływają, wiemy to z doświadczenia. Och, jak wolno. I ten strach o miasto kochane, o ludzi. Piętnaście osób utłukli szwabi za poprzednim razem, a zranili dwadzieścia pięć. A ile utłuką i poranią teraz?

I czy znowu palić będą te śliczne wsie księżackie? Dziubuś! Tak, jak słoma, paliły się te nasze wsie kochane, łuny naokoło krwawiły się. A teraz? Któż dojrzy z piwnicy?

Nasza łowicka ziemia, nasze Księstwo! Nasi księżacy i księżanki, nasza «malowana, jak z obrazka, mała Polska»! A co będzie, Dziubuś, potem? Co z tego Księstwa zostanie?

Wierzyć się nie chce, że ty tu latem jeszcze byłaś i żeśmy tę całą «malowaną, jak z obrazka, małą Polskę» zchodziły i zjeździły z ciocią Ewą, panem Gustawem i z Hieronimem. Widzisz, to był czas najwyższy. A kto mógł to, będąc nawet najprzenikliwszym, przeczuć?

Tam, gdzie lekko i swobodnie stąpałyśmy wesołe, rozśmiane (ach, ten Hieronim ze swymi dowcipami! Co z nim, biedakiem? Czy żyje? Tylko jeden list miał stryj Faustyn od niego z armji), gdzie zboża śpiewały piosenkę o swawolnym wietrze, a malutkie gaiki pozdrawiały nas tak serdecznie cieniem, tam teraz okopy i trupy, i krew, co źle zaschnęła, i kruki...

Gdy szwabi uciekli parę dni temu, pół Łowicza wyległo za miasto zobaczyć pola bitew. Boże, mój Boże. Pierwszy raz coś podobnego oglądałam. I pamiętać będę do końca życia, choćbym żyła lat tysiąc.

Prawie w moich oczach rozerwało, Dziubuś, jednego chłopa na Pijarskiej. Uciekłam, ma się rozumieć. Trzęsłam się później, choć nie chciałam się bać i choć się nie chcę bać—i teraz.

Wiesz, Dziubuś? Człowiek boi się i jakby jednocześnie rodzi się w nim inny, który prawie czeka.

Zburzyli prawie całkiem ratusz! Okaleczyli kościoły. Czy tak każe im ich luterskie sumienie? Porujnowali różne domy. Na Piotrkowskiej, Zduń-

skiej, Pijarskiej, na Starym i Nowym rynkach, wszędzie...

A teraz pewnie będzie gorzej. Wyją te ich bomby... Znowu gdzieś jakaś trzasnęła. Co za huk... Pewnie całą noc tak lać tem okropieństwem zamyślają. Jakiś «z waszecia», co tu siedzi, mówi, że szczególniej na Nowy Rynek się zawzięli. Skąd on to wie? Co może wiedzieć w piwnicy? A może kieruje się słuchem? Taki ma już dobry, specjalny—łowicki?

Ile dni, Dziubuś, my tu siedzieć będziemy na tem podziemnen, zimnem (zimno mi, choć mama dała mi pled, co Antoś chwycić zdołał) letniem mieszkaniu? A to nasze letnie *wówczas* w lecie w Retkach, Dziubuś, i później rzemiennym dyszlem po Łowickiem? Boże, uwierzyć już—trudno!

Piszę przy świecy. Uciekając tu, porwaliśmy, co się dało (przecie posiadamy doświadczenie z poprzedniego siedzenia!). Ale mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy z epoki jaskiniowej, albo—z klatki. Tak nam tu dobrze i przyjemnie. Benia bierze się do skrobania kartofli. Leży ich tu dość w kącie. Ugotujemy je na maszynce. Zrobimy herbaty. Będzie cała kolacja—i tym biedakom z ulicy też coś dać trzeba. Jak ten chłop wzdycha... Miał tylko tę parę koni.

Chcę pobiec na górę do mieszkania po parę jeszcze poduszek, kołder, kap, krzeseł, po różne drobiazgi. Ale ojciec nie pozwala. Znowu gdzieś

trzasnęło. Co za huk straszny. Ojciec chce iść sam. Ale znowu ja nie pozwalam i mama. Chciał iść Antoś,—niepodobna. Ofiarują się: ten chłop i jeden młody rzemieślnik, i ten «z waszecia» i pan Znaniecki. Nie, nie! Za nic. A nuż wtedy w dom «trzaśnie»? I co? A w piwnicy, choćby trzasnęło, jeszcze może choć tyci nadziei... nieprawdaż?

Słuchaj, Dziubuś! Jeśli ten list otrzymasz, odpowiedz natychmiast. Może, może szwabi będą już wtedy dalej od Łowicza, niż na odległość strzału armatniego?

Całuję, ściskam, pieszczę.

LOTKA.

Warszawa.

(Po rosyjsku).

Drodzy moi: ojcze i matko i wy, siostry i bracie!

Zawiadamiam was, moi kochani, że wycofano mię z szeregów, bo w bitwie zranił mię odłamek szrapnela w lewą rękę i w prawe biodro, kiedy, po pięciu dniach bitki, jużeśmy niemca przeganiać zaczęli. Przywieźli mię pociągiem sanitarnym. A wnieśli do niego na noszach sanitarjusze z Czerwonego Krzyża i tacy tutejsi ludzie, jak się mówi polacy, z jakiegoś Towarzystwa Wioślarskiego, jak objaśnili, co niosą człowieka, niby dzieciątko, bez bólu i wstrząśnienia. I delikatni są, niczem nasza nauczycielka we wsi, Raissa Dymitrówna, albo bo ja wiem, kto.

Muszę wam powiedzieć, że nie możemy się skarżyć na tych warszawiaków. Jacyś ludzie poczciwi, prawie jak u nas. I, choć wiarę mają inną i inaczej mówią, przecie chrześcijanie, jak my, i całkiem chętni dla nas.

Papierosy, chleb, ciastka, jabłka, gruszki, orzechy, nawet winogrona nam dawali, jakieśmy przechodzili przez Warszawę, żeby tam dalej bronić im ich miasta. A, słyszałem, bardzo kochają

tę Warszawę i gubernje, do niej należące, co w kupie nazywają swoim krajem. Jest ich tu, no! A i żydów też, jakichś innych, niż gdzieindziej, w takich długich palciskach i małych czapeczkach, ale szwargocą całkiem, jak wszystkie żydy właśnie.

A i teraz ci polacy, jak odwiedzają nas w szpitalu, to przynoszą także papierosy, tytoń, jabłka, cukierki. Ale najwięcej to mi ulży, kiedy przynoszą dobre słowo. Bo tytoń z dymem pójdzie, jabłka, ciastka i cukierki się zje, a dobre słowo zostanie w pamięci. I ogrzeje trochę w tej obcości i niedoli.

Nie martwcie się. Cierpieć, cierpię, może czasem bardzo (osobliwie biodro mię boli), ale mężczyzna jestem przecie i żołnierz, więc co tam! Ot, bieda gorsza z innymi. Jednemu oczy wypłynęły: ślepy zupełnie. Drugiemu urwało prawą nogę i lewą rękę. Trzeciemu obie nogi. Czwartemu wybiło zęby i poszarpało język. I nie zliczyć wszystkich! Ale na to szpital. Nie zdrowym tu leżyć i darmo barszcz jeść.

Czysto u nas i porządnie, tylko trochę cudnie od tego mówienia innego, właśnie ich polskiego. Niby nasze, a nie nasze, ale swoje prawie na szczęście. Już rozumiem niektóre słowa. A śmieją się ze mnie koledzy, że po wojnie zostanę tu w Warszawie, bo bardzo mi jakoś, jak im się widzi, do serca przypadła i poszukam sobie jakiej polki na żonę. Ale to głupstwo, ma się wiedzieć.

Bo co żona to żona i myślę, że najlepiej, żeby się człowiek za swojaczką oglądał i nie szukał, czego nie zgubił, a co znaleźćby mógł niezawsze— na szczęście.

I zresztą, nie żeby was straszyć, ale dla prawdy tylko: po wyzdrowieniu na pozycje mi znowu i może się przecie zdarzyć, że kula mię ubije. Więc czy sens myśleć teraz, choćby żartem, o żeniaczce?

Wy się nie przestraszajcie. Jak Pan Bóg nie zechce, włos mi z głowy nie spadnie.

A póki co—będę nabierał krzepy, żeby dokończyć tym polakom obrony ich Warszawy od niemca.

Do nóg wam upadam, rodzice, was, siostry, ściskam i ciebie, bracie.

FIEOFAN.

Piszcie: Warszawa 198-y zapasowy szpital polowy. Senatorska 15. Dla szeregowca Fieofana Nardonowa.

Wołogda.

Mateczko!

Piszesz mi, że u was w Piotrogrodzie poważnie zabierają się do «szwabów» i że panowie baronowie nadbaltyccy, wraz z całą sforą swoich piesków różnego kalibru, poczynają, pomimo mrozów, czuć dreszczyk ciepła. No, pożyjemy, zobaczymy, jak mówią rosjanie. A tymczasem wartoby część tych panów zesłać choćby tu, do Wołogdy, by byli dalej od «Vaterlandu», któremu podobno ciągle cenne przysługi oddają, i by zakosztowali trochę słodyczy odwrotnej strony medalu losu, co im się nareszcie naprawdę już chybaby należało?

Ale nie! Przyszło mi do głowy, że tu przecie znaleźliby «Vaterland» prawdziwy, więc cóżby to była za maleńka zapłata niedołężnej słowiańskiej Nemezis? Bo nie wyobrazisz sobie, mateczko, ilu tu «szwabów» mamy teraz! Zatrzęsienie. Kilka tysięcy. I oczyma wyobraźni podziwiając to, pomyśl, jak teraz Wołogda wygląda!

A między tymi «szwabami» wielu, bardzo wielu bogatych, nawet mocno bogatych. Czują się, ma się rozumieć, jak u siebie. I, gdyby odjęto im tylko te mrozy, a dano kilkanaście knajp z pilznerem, kulmbachem i münchnerem, parę

dobrych «bumsów», parę własnych gazet i możność otwierania i prowadzenia gieszeftów i przedsiębiorstw, ile dusza zapragnie, oraz zniesiono jakiekolwiek ograniczenia charakteru «prywatnego», zaraz krzyknęliby *unisono:* «Dort Vaterland, wo Brod»! No, i «Deutschland über alles», naturalnie, więc i w Wołogdzie i wszędzie, gdzie się teraz, jako «wojskowo obowiązani», znajdują. To znaczy w Wiatce, Samarze, Orenburgu i t. d.

Ty wiesz, mateczko, że nie jestem pożeraczką cudzych narodowości, ani staram się o wyrabianie w sobie wstrętu do człowieka. Ale, wierzaj, te «szwaby» to moje choroba teraz. I czy moja tylko? «Kochamy» ich tu wszyscy prawie w Wołogdzie, rosjanie i polacy, jak psy dziada. I wcale nie jesteśmy zbudowani tem, że właśnie niniejsze strony uznano za stosowne tak obficie nimi uszczęśliwić.

Osobiście, kpię sobie z tego. Teraz jestem tu, a jutro mogę być u ciebie w Pitrze, pojutrze u cioci Feli w Wilnie, albo u dziadunia w Warszawie. Ale nie kpią sobie, prócz chyba «dobrych kupców», tu inni, w ich liczbie zaś i stryjaszek, który się wścieka na tych «szwabów» poprostu. A ja się wtedy do rozpuku śmieję, taki jest paradny. Żebyś go ty widziała, mateczko!

I sama nie wiem, którzy z tych «szwabów» wstrętniejsi: «echte», czy ci zrosyjszczeni, mówiący po rosyjsku, jak rosjanie, i niby rosjanie, a w du-

szy szwaby, albo gorzej: prusacy? I dla odmiany mówiący między sobą nietylko po rosyjsku, lecz i po niemiecku,—też jak niemcy.

Tu, moja mateczko, wielu, pomimo możności zarobienia, nie chce wynajmować mieszkań, albo pokoi, «szwabom». Stryjaszek pierwszy. W tym swoim murowańcu koło sądu nie wynajął ani kącika owym panom, choć dobrze mu dawali. Buta ich, brutalstwo, bezczelność, chytrość i obłuda zdążyły nawet Wołogdzie zalać sadła za skórę.

Żal mi tylko biednych i uczciwych i przyzwoitych. Przecie i tacy, jak wszędzie, się znajdują. Żal mi tych, co tak mało mają «szwaba» w sobie, albo nic, a tylko—ludźmi być się starają, choć niemcy. Oni cierpią za tamtych i na nich pada bez potrzeby to odium, na które sobie tamci «uczciwie» zarabiają. A jest między nimi, mateczko, biedy tyle: wędrowni akrobaci, zaskoczeni przez wojnę w Rosji, śpiewacy, muzycy, rzemieślnicy, robotnicy. Ale najprzykrzejsze dla nas i najboleśniejsze, to jest: dla nas, polaków, mateczko, czy, jeśli wolisz, słowian, że wśród tych «niemców», poddanych Niemiec i Austrji, znalazło się około czterystu polaków (poznańczyków i galicjan) i do pięciuset czechów, słowaków, rusinów, słoweńców, serbów i t. d. Siedzą tu bez zajęcia, które z powodu wojny i zesłania utracili, i... zaczynają mrzeć z głodu. Wielu zaś

tu, mateczko, nie usiłuje zastanawiać się nawet co to polak, czech, serb, rusin, słoweniec. Niemiecki poddany? Więc «szwab»! Poddany austryjacki? No, to austryjak, czyli «szwab» także! I takim też wielu pokoju odnająć nie chce. A bieda coraz gorsza. Pisała ci już stryjenka, że wszystko tak zdrożało. Ceny mamy już wasze, pitrowskie. Co zaś będzie dalej? «Szwabom», większej części, dobrze. Spędzono tu kupców, fabrykantów, przemysłowców, obywateli, inżynierów, bankierów i t. d. Żyją z «ciężko» zarobionego w Rosji grosza. Lecz ci? Niema wśród nich «Wurst-Millerów» (bogacz-kiełbaśnik z K.) ani «Farben-Schultzów» (krociowy wyrabiacz «kolorków» z R.). To wszystko przeważnie «hołotka», mateczko! Rzemieślnicy, drobni kupcy, technicy, oficjaliści prywatni, nauczycielowie. Wielu nie ma nawet odzieży odpowiedniej. Wysłano ich w lecie, a teraz mrozy kilkunastostopniowe, które, jak wiesz, potrafią dochodzić do trzydziestu pięciu, a trwać wogóle do końca kwietnia. Stryj i inni zorganizowali przy tutejszem katolickiem Towarzystwie Dobroczynności, za pozwoleniem władz, komitet dla zbierania składek dla najuboższych z tych polsko-słowiańskich «wojskowo obowiązanych». Ale co to znaczy! Kto co da? Wiesz przecie, że na palcach zliczyć można tutejszą stałą kolonję. Wydało się do siedmiu tysięcy obiadów bezpłatnych i zapewniło

się garstce dach nad głową. Trzeba jednak na gwałt o czem innem pomyśleć!

Mateczko! Moja ty! Nie odmów mi, proszę cię koniecznie, i poproś ojca *na wszystko*, by skorzystał ze swoich znajomości piotrogrodzkich i postarał się, wraz z innymi wpływowymi z kolonji i z pośród znajomych rosjan, o pozwolenie dla tych polaków «wojskowo obowiązanych» przynajmniej, mrących tu z głodu i «zdychających», jak oni się wyrażają, bez zajęcia, opuszczenia Wołogdy (no, i tych wszystkich Samar, Orenburgów etc.) i poszukania sobie pracy, gdzie im się to uda. Przecie tak było z polakami tego samego rodzaju w Kijowie, pamiętasz, dzięki zabiegom grona ludzi dobrej woli? A byłoby to — tyle! Mateczko! Wiem, że stryj ma pisać o tem do ojca. Ale wolę ubiec go i poprosić ciebie o to. To będzie pewniejsze, gdy twoje serce przemówi do mózgu i honoru ojca. On z tobą się tak liczy. Ma pisać i stryjenka. Zrób to jednak przedewszystkiem dla swojej Leny, którą tak kochasz i z którą, wiem to, więcej się liczyć będziesz, ty, droga, niż z wszystkiemi stryjenkami. I zrób to dla swego dobrego serduszka, co przecie zawsze dobre tak było naprawdę!

Zbierajcie też składki na tych polsko-słowiańskich «niemców». Napisz w tej sprawie do Załeckiego do Moskwy i do Parczyńskiej do Odessy i do Mołszowskiego do Kijowa. I koniecznie do

Rossowskich do Warszawy. Niech oni tam w pismach roztrąbią i niech coś z kraju i kresów, a i z Cesarstwa, kapnie!

Wiesz, mateczko: nudy wściekłe, że omal nie warjuję. Jakieś ty mogła mię tu, bodaj na te trzy miesiące, wysłać? Mnie, młodą piotrogrodczankę, czy warszawiankę, bo już sama nie wiem? Wstydź się! I cóż mi za pociecha, że mam być osłodą stryja i stryjenki, ich chwilowym «klejnotem»? Czy moja wina, że dzieci nie posiadają? Ach, z jaką «frajdą» znalazłabym się w Pitrze, nietylko (przyznaję ci się, kochana), żeby cię uściskać, ale i żeby zobaczyć nareszcie i coś innego, niż nowy *ad hoc* «Vaterland» i żeby jakoś, nawet podczas wojny, trochę się rozerwać. Słuchaj: przecie młoda jestem! No, a ty, coś była także kiedyś młoda, zrozumiesz mię chyba?

Całuję cię w oba ślepki i w buzię i w dłonie. Odpisuj zaraz i pamiętaj, by mój szturm odniósł skutek. Ach, jakbym się cieszyła! I zapowiadam ci, że nie wolno wam mnie tu więcej, niż jeden jeszcze miesiąc (ten ostatni!), więzić. Bo inaczej «zwieję» sama, ani się stryjostwo opatrzą, a ty—spodziejesz.

No, no, ty, mateczko! Całuję raz jeszcze. Ojcu dygi i bardzo uroczyste uszanowania i ucałowania—kochanych łapsk.

Wasza

LENA.

Warszawa.

Kochany stryju!

List stryja nadszedł wczoraj. Zaraz wręczyłam go cioci Leonce, która, czytając, rozpłakała się. Jaki stryj dobry, że odpowiedział i że nie pozostał obojętny na słowo prośby, zwrócone do niego. Ciocia Leonka i ja jesteśmy wzruszone hojnością stryja i z pewnym strachem pomyślałyśmy, czy wie o niej stryjenka i czy nie będzie miał stryj z tego powodu jakich przykrości?

Mamie nic nie mówiłam na razie. Ona bardzo biedna: ciągle jeszcze leży i gorączkuje, więc jak mówić? Doktór zalecił jej spokój, strzegę jej zatem, jak mogę, od wszelkich wieści i wzruszeń. Mama często pyta w malignie, czy nie było wieści od ojca? Biedactwo! Ostatnia kartka już z przed trzech tygodni, pisana w okopach, jak donosiłam stryjowi, i od tego czasu ani słowa. Drżę na myśl, co z ojcem i czy jeszcze żyje?

Ciocia Leonka zajęta zupełnie gospodarstwem, poczciwa. Chodzi na targ, bo służącą odprawiłyśmy, gotuje, sprząta i pilnuje mamy i Jerzyka, gdy ja na mieście, albo na pensji. Myślałam nawet o tem, by rzucić naukę na razie, bo w domum tak potrzebna i nie mogę wszystkiem cioci

Leonki obarczać. Ale ciocia Leonka za nic nie chce o tem słyszeć. Twierdzi, że powinnam korzystać z możności i nie zapominać, iż to mój rok ostatni. A kto wie, co przyszłość przyniesie.

Za te pieniądze, co stryj przysłał, zapłacimy część komornego (gospodarz bardzo nalega), najpilniejsze długi u kupca i w sklepiku i kupiemy mamie cieplejszą kołderkę na nogi i dwie wełnianie koszulki. Reszta pójdzie na aptekę, doktora i jedzenie. Okropnie drogiemu stryjowi dziękuję, że mamy nie opuścił. Niech Bóg stryjowi wynagrodzi. A jeśli ojciec wróci kiedyś, odda to stryjowi przy pierwszej możności napewno.

Doktór pociesza nas, że mama, aby leczona i doglądana, przyjdzie za jakie dwa, trzy tygodnie do siebie. Zostanie jednak dłuższe osłabienie, które na czas pewien nie pozwoli jej na zajmowanie się czemkolwiek. To nic. Aby wyzdrowiała. Ciocia Leonka i ja nie pożałujemy starań, by ją we wszystkiem wyręczać.

Jerzyk bawi się ołowianymi żołnierzami, których dostał w przeszłym roku na gwiazdkę od ojca, i nie rozumie, że ten ołów w żywe krwawiące ciało zamienił się teraz, stryju...

Ręce stryja całuję i stryjenki, Lilę ściskam i Felunia. Ciocia Leonka napisze osobno, a teraz pozdrawia serdecznie.

WALA.

Warszawa.

Mój kochany panie redaktorze!

Ja wiem, że gwiazdka, co świeciła trzem królom, kiedy szli do Pana Jezusa, znowu zabłyśnie za pięć dni. Ale przecie, kiedy Pan Jezus się urodził, nie było choinki i prezentów. Bo ja widziałam na tylu obrazkach stajenkę z Panem Jezusem bez choinki i bez żadnego prezentu. Więc i ja się mogę obejść bez choinki i zabawek, jeżeli jestem daleko mniej, niż Pan Jezus. I bardzo prosiłam mamę i tatę, żeby, zamiast mi to kupować, dali na nieszczęśliwe sieroty, co im tatów i mamy niemcy zabili. Ja się będę modliła co wieczór aż do samej Gwiazdki, żeby i inne dzieci tak zrobiły przez te dni, co zostały. I może Pan Jezus, co się urodzi, pobłogosławi nam wszystkim, jak się urodzi?

Bardzo się kłaniam panu.

ANDZIA WEYSZTOWICZÓWNA.

Białystok.

Kochany panie!

Posyłam do pańskiej gazety piętnaście rubli, które dostałem już teraz, zamiast choinki i gwiazdki, od ojczyka, matuni, babusi, cioci Magdaleny i cioci Zenejdy. A jak przyjedzie wuj Fredzio i da mi coś, to też przyszlę. I jak stryj Inocenty zajrzy i da, to też. Ma się rozumieć, okropnie żałuję, że dziadzio umarł w przeszłym roku, boby się przydał teraz. Przecie napewno dałby mi i jabym też zaraz panu przysłał. A, proszę pana, niech pan te pieniądze odda różnym dzieciom, co nietylko choinki i zabawek mieć nie będą, ale, jak wszyscy mówią, i chleba. Ja postaram się nie smucić, że nie dostanę fortecy i żołnierzy ołowianych, tych, pan wie, malowanych najlepszą farbą, co mi tatuś dawno obiecał? No, trudno, choć to wojna i ja chciałem także być, naturalnie, gienerałem i z Hindenburgiem w tej fortecy się zmierzyć.

Ściskam pana, a jak mię kiedy tato zawiezie do Warszawy, a pana zobaczę wypadkiem i powiedzą, że to pan, to naprawdę to zrobię. Tylko niech pan jaknajprędzej te pieniądze odeszle tym dzieciom.

BONIO PRZEMSKI.

Birsztany.

Proszę pana dobrego redaktora!

Ja to napewno chciałem dać na gwiazdkę dla biednych dzieci z Królestwa wszystko, co od ojczyka i matulki miałem dostać. I nawet, jak mamę kocham, ten drewniany pałasz, co mi go zrobił Maciej. Ale Lunia to jakby nie, proszę pana redaktora. Bo niby chciała dać tylko dwa ruble pięćdziesiąt pięć kopiejek, a za resztę żeby jej matulka kupiła nową lalkę, choćby gołą. A ja ją wstydziłem i mówiłem, że jeśli ja, mężczyzna, (bo ja mam już osiem lat, proszę pana!), mogę dać wszystko, to i ona też. Ale Lunia się rozpłakała. A że ja nie mogę znosić babskich łez, tak jak ojczyk, więc przytyknąłem ją kilka razy w ucho. Akurat przyszła matulka i kiedy to zobaczyła, to miała mi dać w skórę. Ale że ja chcę posłać i posyłam na biedne dzieci wszystko, ale to wszystko, bo i pałasz, więc matulka mnie już nie biła, tylko kazała stać w kącie pięć minut, a później przeprosić Lunię. Więc ja przeprosiłem Lunię, bo mi się jej żal zrobiło, i że to, proszę pana, jest w dodatku kobieta, a dla kobiet zawsze, jak powiada ojczyk, trzeba znać szacunek. I kiedy ja ściskam i całuję Lunię, ona mówi: «Boś ty mi nie dał dokończyć, Gabrysiu. Dwa ruble pięćdziesiąt pięć kopiejek

to ja chcę posłać pieniędzmi dla dzieci z tego, co ojczyk przeznaczył. A tę lalkę, choćby gołą, też dla nich. Bo trzeba koniecznie, żeby one miały i zabawki. A jak się poszle tylko pieniądze, to im kupią chleba i ubranka, ale nie zabawki. Wszystkie moje lalki mi się potłukły i nie mogę posyłać takich gratów, jak ty swój stary wyszczerbiony drewniany pałasz».

Więc my posyłamy, Lunia i ja. Ale ja i pałasz, bo pałasz nie ma głowy, ani rąk i nóg, jak lalki, proszę pana, i nie stłukł się. I piszę to wszystko panu, żeby pan wiedział, jak jest, i że mi bardzo żal, że ja Luni w ucho dałem.

Kłaniamy się panu redaktorowi i wszystkim bardzo grzecznie.

LUNIA i ja, GABRYŚ.

Warszawa.

Proszę pana redaktora!

Ja nie umiem jeszcze dobrze pisać, ale muszę sama, choć mamusia mówiła, że będzie trzymała za rękę i poprawiała. Po co? Prawda, proszę pana redaktora? Ja chcę posłać na biedne dzieci, co nie mają teraz przez niemców dachu nad głową, dziesięć rubli, które tatuś i mamusia mieli wydać na choinkę i na zabawki dla mnie. I piszę do gazety o tem sama, żeby te dzieci wiedziały, że ja naprawdę, a nie przez mamusię tylko, myślę o nich. I może się one choć trochę z tego ucieszą i będzie im lżej, że ja, Izia, je kocham?

Niech pan redaktor to wydrukuje koniecznie!

IZIA DALEWSKA.

Warszawa.

Proszę łaskawego pana redaktora naszego!

Myśmy się dowiedzieli, że cesarz Wilhelm dał w tym roku swoim wnukom prezenty na gwiazdkę. No, i, ma się rozumieć, jeśli była gwiazdka i jeśli to jego wnuki, to my się nie dziwimy, że on chciał dać, a one dostać te prezenty. Ale on, proszę pana, dał, jak piszą gazety, takie okropne rzeczy, że to przecie wstyd i grzech? I chyba Pan Bóg naprawdę go ukarze za to? A ten jego najstarszy wnuk, Wilhelm, czy będzie chciał się bawić modelem czterdziestodwucentymetrowej armaty, co dostał, i czy nie będzie rozumiał, jak my, że takie armaty zniszczyły całą Belgję? A ten drugi, Ludwik Ferdynand, czy nie rozpłacze się, kiedy się dowie, że, prócz munduru sapera i różnych narzędzi, co saper musi mieć, dostał i malutki aparat do podpalania domów i mostów? Przecie ilu biednych ludzi chodzi teraz przez niemców bez dachu, proszę pana! A ten trzeci, Hubert, co dostał dziadka do tłuczenia orzechów z głową jenerała Hindenburga, będzie chyba bał się po ciemku sam zostać, żeby go ten Hindenburg, choć taki niby wierny prusak, nie udusił? Bo przecie my ciągle słyszymy, że ten

Hindenburg najwłaśniejszych żołnierzy, ale nie siebie, bez liku na okropną śmierć wysyła...

My też, proszę pana, dostaliśmy zabawki na choinkę, albo i nie dostaliśmy, jeśli się wyrzekliśmy na biedne dzieci (Cypruś dostał, bo jeszcze mały i bardzo smutny, i Tomuś, bo płakał, jak się dowiedział, że może oddać na biednych; więc oddał część, a za resztę dostał pajaca). Ale, choćby nam kto dawał, to nie chcielibyśmy takich zabawek, co to przypominają ten wierszyk z bajki: «Dla was to jest zabawką, nam idzie o życie». Prawda, proszę pana? I jaka zabawa! O, mój Boże.

A może, jak pan to wydrukuje, to i inne dzieci napiszą panu szczerze, że oneby też nie chciały nigdy dostać takich zabawek?

My panu się kłaniamy i bardzo pana przepraszamy, że tu są aż trzy kleksy, choć to przepisane już czwarty raz. Ale to taki atrament, co prawie zeskakuje ze stalki i bryka po całym liście.

CYPRUŚ, TOMUŚ, ZIEMEK, ZDZICH i RAFAŁEK KOŻERSCY.